

**KAROL MAY**

**SZULER**

## ODWET

Winnetou powrócił bardzo prędko; obserwując obóz Yuma, przekonał się, że wystali dwóch wywiadowców.

— Tych oczywiście schwytamy? — zapytałem, on jednak nie odpowiedział wcale, gdyż uważał to za rzecz zupełnie naturalną.

Odjechaliśmy zatem nieco od lasu, żeby czerwonoskórzy nie posłyszeli kroków naszych koni, i skręciliśmy potem na jego południową stronę, wzdłuż której musieli posuwać się zwiadowcy. Mniej więcej po kwadransie jazdy skierowaliśmy się znów ku lasowi i dotarwszy do pierwszych drzew, zsiadliśmy z koni. Przywiązawszy je do krzaków, cofnęliśmy się i usiedli na ziemi, w upatrzonym miejscu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa musieli owi Yuma tędy przechodzić.

Tymczasem rozjaśniło się nieco; księżyc wszedł na niebo i oświetlił wspaniale łąkę; nie widzieliśmy go jednak, gdyż był jeszcze ukryty za lasem, który rzucał cień na dość znacznej przestrzeni.

Czekaliśmy może około dziesięciu minut, gdy wtem dobiegły nas kroki zbliżające się z prawej strony. Wywiadowcy nadeszli, trzymając się tak blisko lasu, że widzieliśmy dokładnie ich postacie, rysów twarzy nie mogliśmy jednak rozpoznać. Szli jeden za drugim. Jeden wyższy i tęższy od swego towarzysza wydawał mi się znajomy.

— Ja pierwszego, ty drugiego — szepnąłem do Winnetou.

Jeszcze chwila i przeszli obok nas, powoli, ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony. Wskoczyliśmy zza drzew. W paru szybkich skokach przebiegając obok drugiego, uderzyłem go pięścią w skroń, żeby ułatwić Winnetou walkę, a następnie chwyciłem pierwszego Indianina obydwoma rękami za gardło, uderzyłem go kolaniem w plecy i, pociągnąwszy wstecz, przewróciłem na ziemię. Gdy potem klęknąłem mu szybko na piersiach i zbliżyły się nasze twarze, poznałem, kogo mam przed sobą. Był to Wielkie Usta, wódz Yuma, we własnej osobie. Prawe ramię miał na temblaku i nawet, gdybym go tak mocno nie ścisnął za gardło, nie mógłby się bronić skutecznie swoją lewą ręką.

Rzut oka na Winnetou powiedział mi, że ten skorzystał wiele z uderzenia, jakie wymierzyłem towarzyszowi wodza. Apacz, klęczał na plecach zwiadowcy, zdjął z niego lasso i związał mu nim ręce z tyłu. Czerwonoskóry, oszołomiony chwilowo, nie próbował się bronić. Winnetou podszedł do mnie i, podczas gdy ja trzymałem wodza, związał go tak samo, jak swojego jeńca. Rozpoznał teraz rysy skrupowanego, zaskoczony, zawołał wbrew swemu zwyczajowi:

— Uff! Czy mój biały brat widział, kogo wzięliśmy do niewoli?

— Tak — odpowiedziałem, uwalniając szyję Vete-ya. — Połów był znakomity.

Jeniec zaczerpnął głęboko powietrza i zgrzytnął, patrząc na mnie przeszywającym wzrokiem:

— Old Shatterhand! Ciebie mógł tylko zły duch tutaj sprowadzić!

— Nie zły duch, lecz wojownik, którego widzisz przy mnie — odpowiedziałem, wskazując na Apacza. — Spójrz! Czy znasz go?

Właśnie w tej chwili ukazał się księżyc z poza rogu lasu, oświetlając jasno mojego czerwonego przyjaciela.

— Winnetou! Uff, uff! Wódz Apaczów! — wyrwało się z ust Yuma.

— Tak, Winnetou! — pochwyciłem. — Przyznasz zapewne, że nie oswobodzisz się już nigdy. — Kto dostanie się w moc Winnetou, ten odzyska tylko wówczas wolność, gdy mu wódz Apaczów da ją dobrowolnie.

— Mylisz się! — odpowiedział Vete-ya tonem groźby. — W ciągu kilku minut będę znów wolny.

— Jak to?

— Uwolnią mnie moi wojownicy. Ja i mój towarzysz wyprzedziliśmy ich tylko, a oni postępują tuż za nami. Jesteście zgubieni. Jeśli nas jednak zaraz rozwiążecie, będę gotów was puścić.

— Najgłupsze to słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedziałeś — zaśmiałem się na głos.

— Mówię prawdę! — obstawał wódz.

— Gdybyś mówił do ludzi niedoświadczonych, mógłby ci się udać podstęp; ponieważ jednak masz przed sobą mnie i Winnetou, więc to jedynie śmiechu warte, że nas usiłujesz zastraszyć. Czy twoi wojownicy mają konie, czy nie?

— Mają, wiesz przecież o tym. Tym prędzej przybędą tutaj.

— Więc oni mają konie, a wy nie jedziecie, lecz idziecie pieszo przed nimi? Nie uważasz nas chyba za dzieci! Już to, co powiedziałem, wystarczyłoby, żebyśmy wszystko zrozumieli; my wiemy jednak oprócz tego, że Yuma rozłożyli się obozem, a wy dwaj poszliście na poszukiwanie Mimbrenjów. Jesteście zwiadowcami i wasi wojownicy nie wyruszą nigdzie przed waszym powrotem.

— Obrażasz mnie! Jak możesz wodza nazywać zwiadowcą!

— Dlaczego nie, jeśli nim jesteś? Tak bardzo zależało ci na tym, aby mnie schwytać powtórnie, że sam się wybrałeś na poszukiwania.

— Ale ja powiadam raz jeszcze, że się mylisz. Rozwiążcie lassa, gdyż inaczej uwolnią nas wojownicy nasi w ciągu kilku chwil. Wtedy nie będę mógł się za wami wstawić; zginiecie z ich rąk niechybnie!

— Nie boimy się was — odparł Winnetou. — Tak jak schwytailiśmy przed chwilą zwiadowców, tak schwytaemy wszystkich waszych wojowników!

— Oni będą się bronić i zniszczą was — groził Vete-ya.

— Twoja mowa jest próżna jak worek od prochu, z którego wysypano ostatnie ziarno. Mówię ci ja, Winnetou, że ty sam wydasz rozkaz swoim wojownikom, żeby zaniechali wszelkiej obrony przeciw nam.

— Nigdy!

— Nigdy? Postąpisz tak, skoro tylko wstanie dzień! Jestem tego tak pewny, że nie będę chował przed tobą tajemnicy, lecz powiem otwarcie, co mam jeszcze omówić w tej sprawie z moim bratem Old Shatterhandem. Możesz się przysłuchiwać.

Zwróciwszy się po tych słowach do mnie, ciągnął dalej:

— Który z nas pojedzie z jeńcami do naszych przyjaciół? Jeden ma pozostać, ażeby obserwować Yuma i przeszukać okolicę ich obozu jeszcze dokładniej niż przedtem, a drugi musi sprowadzić naszych sprzymierzeńców.

— Niech Winnetou postanowi — odpowiedziałem.

— Więc ja zostanę, a ty pojedziesz. Gdy wrócicie, znajdziesz mnie na tym samym miejscu, gdzie teraz jesteśmy. Jeńcy wsiądą na mojego konia i pozwolą przywiązać się do niego. Na najmniejszą próbę obrony, odpowiedzielibyśmy nożami!

Przyprowadził konie. Jeńcy uznali, że muszą zrezygnować z wszelkiego oporu. Nie przyszło im na myśl wołać o pomoc, gdyż byliśmy tak oddaleni od ich obozu, że najgłośniejsze nawet wycie nie doszłoby do uszu Yuma.

Obydwaj czerwoni musieli wsiąść na karosza Winnetou i zostali skrępowani w ten sposób, że prawą nogę wodza związaaliśmy z lewą nogą jego podwładnego i na odwrót, uniemożliwiając im ucieczkę nawet w razie jakiegoś nieprzewidzianego wypadku. Niebawem odjechaliśmy w kierunku wschodnim, ku obozowisku Mimbrenjów, podczas gdy Winnetou udał się na zwiady.

Nie chcąc tracić czasu, korzystałem z blasku księżyca i jechałem galopem. Jeńcy zachowywali długi czas zupełne milczenie; na koniec jednak nie mógł się wódz powstrzymać od zapytania, do którego przywiązywał wielką wagę;

— Kto są ci ludzie, do których Old Shatterhand jedzie?

- Moi przyjaciele — odparłem krótko.
- O tym wiedziałem, nie pytając. Chciałem żebyś mi powiedział, czy to są blade twarze, czy też mężowie czerwoni.
- Czerwoni.
- Z jakiego szczepu?
- Mimbrenjowie.
- Uff! — zawołał przestraszony. — Czy dowodzi nimi Winnetou?
- Nie. Przebywa u nich tylko jako gość.
- Więc ktoś jest wodzem?

W innym wypadku z pewnością nie przyszłoby mi do głowy udzielać mu wiadomości. Obecnie jednak miałem ku temu ważne powody. Wiedziałem o nienawiści, jaką żywili do siebie on i Silny Bawół, więc jasne było, że imię tego wodza musiało Vete-ya odebrać resztę nadziei, jeśli ją jeszcze w ogóle posiadał. Dlatego odpowiedziałem chętnie:

- Nalgu Mokaszi.
- Uff! Silny Bawół! Właśnie on! Nie mógł to być kto inny!
- Przestrach cię ogarnia? Czy nie wiesz, że wojownikowi nie wolno bać się żadnego niebezpieczeństwa, żadnego człowieka?
- Ja się nie boję! — zapewnił dumnie. — Nalgu Mokaszi jest moim najzawziętym wrogiem. Ilu wojowników ma przy sobie?
- Daleko więcej niż ty.
- Wiem, że będzie żądał mojej śmierci. Czy weźmiesz mnie w opiekę?
- Ja?! Pytanie twoje jest pytaniem szaleńca. Chciałeś mnie zamordować przy palu męczarni, a teraz pytasz czy cię wezmę w opiekę!
- Ale obchodziłem się z tobą dobrze. Nie cierpiałeś ani głodu, ani pragnienia. Czy nie powinienes być mi za to wdzięczny?
- Kto może powiedzieć, że Old Shatterhand był kiedy niewdzięczny!
- Więc ja także Uczę na twoje względy.
- Masz prawo do tego. Jestem gotów uczynić dla ciebie to samo, co ty dla mnie uczyniłeś.
- Jak to rozumiesz?!
- Nalgu Mokaszi będzie żądał twojej śmierci; zaprowadzi cię do wigwamów Mimbrenjów, gdzie umrzesz przy palu męczarni.
- Ty dopuścisz do tego?!
- Tak. Ale postaram się, żeby się z tobą dobrze obchodzono podczas drogi i żebyś nie cierpiał ani głodu, ani pragnienia.

Wódz odczuł ironię zawartą w tych słowach i zamilkł. Wiedziałem jednak, że to milczenie nie potrwa długo. Indian z Meksyku nie można porównywać pod względem bohaterstwa z ich czerwonoskórymi braćmi ze Stanów Zjednoczonych. Apacz, Komańcz, nawet Dakota uważałyby sobie za hańbę wszczynać ze mną teraz rozmowę. Poddałyby się na pozór spokojnie swemu losowi, a równocześnie czatowałyby chciwie na sposobność ucieczki. Jeśliby się taka sposobność nadarzyła, poszedłby na spotkanie najokrutniejszej śmierci, nie wypowiedziawszy ani słowa i nie okazawszy ani jednym odruchem jak gorące żywi pragnienie wolności. Indianie południowi nie są jednak stoikami, udają ich wprawdzie, może nawet przekonani, że są nimi, ale w obliczu rzeczywistości znika ich rzekoma obojętność i nieczułość. Wódz Yuma wiedział, że u Nalgu Mokaszi nie znajdzie łaski; myśląc więc nad sposobami ratunku, doszedł na koniec do przekonania, że może go znaleźć tylko u mnie, albo przeze mnie. Wobec tego po kilku minutach podjął:

- Słyszałem, że Old Shatterhand jest przyjacielem czerwonych mężów?
- Przyjacielem tak czerwonoskórych jak i białych, jestem jednak wrogiem każdego złego człowieka, bez względu na to, czy barwę oblicza ma jasną czy też ciemną.
- Czy uważasz mnie za złego?

— Tak.

— A gdybym się poprawił?

— Nie masz na to czasu. Kto umarł przy palu męczarni, ten nie może się już poprawić.

— Więc daj mi czas!

— Dlaczego? Po co? Dla mnie jest rzeczą najzupełniej obojętną, czy się poprawisz, czy nie. Gdybyś nawet miał czas i mógł się zmienić, to przecież nie przyniosłoby mi to żadnej korzyści.

Po tych słowach spuściłem głowę i udałem, że się namyślam; następnie rzekłem:

— Jednakże zastanowiwszy się nad tym, dochodzę do przekonania, że przecież znalazłby się jeszcze powód, dla którego mógłbym zająć się tobą.

— Więc mów! Wyjaw ten powód!

— Jestem gotów złagodzić twój los, a może nawet będę przemawiał za uwolnieniem twoim, żądam jednak za to, abyś mi powiedział prawdę.

— Jaką prawdę?

— Zapytam o Meltona i Wellera; od szczerości odpowiedzi zależeć będzie twój los.

— Więc pytaj! Jestem gotów powiedzieć ci wszystko!

— Nie teraz, lecz później, gdyż zbliżamy się do celu naszej jazdy. Galop obu szybkoconych wierzchowców zaniósł nas w krótkim czasie na miejsce, gdzie obozowali Mimbrenjowie; zwolniłem więc biegu i ostatni kawałek drogi przejechaliśmy kłusem. Wkrótce wynurzyło się kilkunastu Indian, którzy, skierowawszy na nas swoje strzelby, kazali stanąć.

— Old Shatterhand! — zawołałem do nich.

Zostaliśmy przepuszczeni przez linię straży. Mimbrenjowie nie palili ognisk, cofnęli się w cień lasu. Ponieważ wartownicy nie mogli się oddalić, ażeby nas doprowadzić do wodza, nadeszło kilku wojowników; sam w ciemnościach niełatwo odnalazłbym miejsce postoju. Nalgu Mokaszi, zobaczywszy dwa konie, przypuszczał, że wracam z Winnetou, gdy jednak zatrzymałem się przed nim i zeskoczyłem na ziemię, spostrzegł dwie obce postacie siedzące na drugim koniu i zapytał:

— Powracasz bez wodza Apaczów? Gdzie on jest i co to za czerwoni mężowie, których przyprowadzasz ze sobą? Dlaczego nie zsiadają?

— Bo nie mogą. Z powodu ciemności nie widzisz, że są do konia przywiązani.

— Przywiązani? Więc to schwywane psy Yuma?

— Tak.

— To dobrze! Nie zobaczą już nigdy wolności i mam nadzieję, że najgorszy z nich Vete–ya, wpadnie nam również w ręce. Zdejmijcie ich z konia i przywiążcie do drzew!

Wydawszy ten rozkaz chciał się odwrócić od jeńców i rozmawiać ze mną w dalszym ciągu; dlatego rzekłem:

— Mówisz o wodzu Yuma. Czy nie zechcesz przypatrzeć się bliżej jeńcom?

Na te słowa podszedł Nalgu Mokaszi do konia Winnetou i spojrzał na postać pierwszego jeźdźcy. Następnie cofnął się szybko i zawołał:

— Uff! Czy widzę dobrze, czy też myli mnie cień, w którym stoję? Czy to jest rzeczywiście ten pies, który chciał zamordować moje dzieci?

— Tak jest.

— A więc naprawdę! Vete–ya! Słuchajcie, waleczni wojownicy Mimbrenjów Vete–ya w niewoli!

— Vete–ya, Vete–ya! — przeleciało przez szeregi czerwonoskórych. — Wszyscy zbliżyli się do nas, każdy chciał go widzieć, każdy ciskał groźby i przekleństwa, które nie dadzą się powtórzyć. Zerwaliby go z konia, pomimo więzów, gdybym temu nie przeszkodził.

— Cofnijcie się! — rozkazałem. — Jeniec należy do mnie; nie wy, lecz ja wzięłem go do niewoli!

— Ale ty należysz do nas, — przerwał mi Nalgu Mokaszi — dlatego jeniec jest zarówno nasz, jak i twój. Teraz jednak nie stanie mu się nic złego. Przywiążcie jego i towarzysza do drzewa i strzeżcie pilnie, żeby ich odeszła wszelka nadzieja ucieczki.

— Nie! — odpowiedziałem. — Przywiążcie każdego z nich do osobnego konia! Musimy wyruszyć natychmiast do Yuma, którzy obozują za północno zachodnim brzegiem lasu. Winnetou pozostał w ich pobliżu, ażeby ich obserwować.

— Czy napadniemy na nich?

— Sądzę, że nie ma wcale potrzeby rozpoczynać walki.

Nie miałem czasu naradzić się z Winnetou, ale jest on na pewno tego samego mniemania co ja, że weźmiemy nieprzyjaciół do niewoli bez rozlewu krwi.

— Tym lepiej; wówczas umrą wszyscy przy palu męczarni, a w wigwamach Mimbrenjów zapanuje wielka radość i uciecha. — Czy słyszeliście, wojownicy, Old Shatterhand każe wyruszyć w drogę!

Dwie minuty później siedzieli wszyscy na koniach i galopem popędziliśmy tą samą drogą, którą dopiero co przybyłem. O jeńców już się nie kłopotalem, przekonany, że znajdowali się pod strażą więcej niż pewną. Jadąc z Nalgu Mokaszi na czele oddziału, opowiedziałem mu przebieg naszej wyprawy wywiadowczej.

— Mój brat, Old Shatterhand, znajdował się w wielkim niebezpieczeństwie — rzekł wódz, gdy skończyłem. — Wojownicy Mimbrenjów wiedzą, że puma nawet w nocy nie zaczepia jeźdźca; nas nie mógłbyś oszukać. Psom Yuma uszedłeś, gdyż ich czaszki są wypełnione zgniłą trawą. Sądziś więc, że obejdzie się bez walki?

— Tak jest.

— Yuma są tchórzliwymi żabami, ale nadciągnęli z wielką siłą; jestem przekonany, że będą się bronić.

— Kto się broni, ten musi być napadnięty; my jednak nie będziemy ich wcale zaczepiać.

— A mimo to się poddadzą?

— Tak.

— Wtedy byliby warci, żeby ich opluwano i wyśmiano. Jestem stary i przeżyłem już wiele rzeczy, których inni nigdy nie doświadczą, nie zdarzyło mi się jednak widzieć, żeby się ktoś poddał bez przymusu.

— Usłyszysz resztę później, gdy się porozumiem z Winnetou. Teraz spieszmy się, aby jak najprędzej do niego przybyć!

Jak wiatr pędziliśmy wzdłuż lasu, dopóki nie dotarliśmy do miejsca, na którym rozstałem się z Winnetou. Stał tam, wyprostowany, w świetle księżyca, żebyśmy go natychmiast spostrzegli. Zsiadłszy z koni, przywiązaliśmy je do drzew wzdłuż skraju lasu; jeńców obstawiono podwójną strażą; wszyscy czerwonoskórzy usadowili się w cieniu i wkrótce zapanowała taka cisza, że chyba tylko jakiś wyjątkowy zwiadowca mógłby nas tutaj wyśledzić.

Winnetou, Nalgu Mokaszi i ja siedzieliśmy razem, żeby omówić plan pojmania Yuma. Żaden z wojowników nie odważył się zbliżyć do nas tak, ażeby móc słyszeć rozmowę; Indianin jest wprawdzie wolnym wojownikiem i nie zna wojskowej dyscypliny, dowódcy swemu jednak okazuje nie mniejszy szacunek, niż żołnierz generałowi.

Nalgu Mokaszi był daleko starszy niż ja lub Winnetou, a przecież ustępował nam pod względem cierpliwości. Zaledwie zajęliśmy miejsca obok siebie rozpoczął:

— Te psy Yuma zabiegły nam drogę; pośpieszmy się, nie pozwólmy im wrócić do ich dziur i jaskiń!

Winnetou zwlekał z odpowiedzią, ja również milczałem. Stary wódz był chciwy krwi; mnie jednak śmierć tylu ludzi przejmowała wstrętem. Pragnąłem doprowadzić do pokojowej ugody między obydwoma szczepami; atoli nie chciałem wyjawić tego w tej chwili wodzowi Mimbrenjów; wzbudziłbym podejrzenia i mogłem się spodziewać, że jego zapamiętałość

doradzi mu działanie na własną rękę i według własnego przekonania. Co do Winnetou byłem pewien, że zgodzi się ze mną przynajmniej w tym, żeby, ile możliwości, uniknąć rozlewu krwi.

Ponieważ zwlekaliśmy z odpowiedzią więc Nalgu Mokaszi ciągnął dalej:

— Czy moi bracia słyszeli me słowo? Czemu nie mówią nic? Old Shatterhand nie chce walczyć. Cóż więc mamy przedsięwziąć? Czy Winnetou może mi to powiedzieć?

— Mogę — odparł Apacz.

— Moje uszy są otwarte i pragną go słyszeć.

— Yuma poddadzą się nie podnosząc broni.

— W to nie wierzę. Gdyby tak postąpili, byłiby większymi tchórzami, niż mogę przypuszczać, pomimo mojej pogardy dla nich.

— Czy nie można dzielnego człowieka zmusić do poddania się bez walki? Dobry wojownik musi być nie tylko waleczny, lecz także ostrożny, rozważny i mądry. Kto może powiedzieć, że Winnetou zabrakło kiedy odwagi, że okazał się tchórzem? A przecież zdarzało mu się nieraz poddać wrogom bez walki. Gdyby walczył, padłby zabity, nie wyrządzając szkody nieprzyjacielowi. Pozwoliwszy się natomiast wziąć do niewoli, uciekał później i karał wroga. Co więc było lepsze: ślepa waleczność czy przezorna odwaga?

— Rozwaga — przyznał Mimbrenjo.

— A czy Old Shatterhand nie postąpił tak samo? Gdy go Yuma porwali, mógł się bronić, dopóki nie byłby padł pod ich ciosami. On jednak nie uczynił tego, lecz dał się pojmać. Popatrz na niego! Czy nie jest wolny? Czy nie wziął do niewoli ich wodza? Czy może postąpił jak tchórz? Nie! Działał roztropnie. Tak samo zrobią Yuma, gdy się przekonają, że opór byłby dla nich zgubą.

— Czy Winnetou potrafi ich przekonać?

— Tak, jeśli pomogą mi wojownicy Mimbrenjów.

— Więc powiedz, jaki masz plan!

— Otoczymy Yuma. Gdy Old Shatterhand odjechał, przypatrzyłem się dokładnie obozowi. Yuma są bardzo znużeni; śpią w trawie, na skraju lasu; nie rozstawili straży, gdyż liczą na swoich obydwu wywiadowców. Tylko w pobliżu koni, puszczonej na paszę, dwaj wojownicy czuwają, aby zwierzęta nie oddaliły się za nadto. Czy nie jest więc łatwo otoczyć śpiących?

— Od strony lasu łatwo, niepodobna zaś od strony łąki. W lesie jest ciemno, więc można się tam zakraść. Łąkę natomiast jasno oświetla księżyc, ludzie czuwający przy koniach zobaczyliby, jak nadchodzimy i zbudziliby innych.

— Tak jest, księżyc świeci jasno, a jednak oczy Nalgu Mokaszi nie widzą, w jaki sposób możemy sobie poradzić. Yuma nie spostrzegą nas absolutnie. Zakradniemy się pieszo, nie na koniach. Żaden z nieprzyjaciół nie dojrzałby teraz człowieka pełzającego na brzuchu w trawie.

— Uff! Jeśli Winnetou tak sobie tę rzecz przedstawia, to nie mogę nie przyznać mu słuszności. Co jednak dalej uczynimy?

— Zażądamy, aby złożyli broń.

— Czy mój brat ufa, że posłuchają?

Nalgu Mokaszi wypowiedział to pytanie z niezbyt tajonym uśmiechem. Winnetou zaś odparł spokojnie:

— Jestem nawet przekonany o tym.

— Wobec tego powiem wodzowi Apaczów, co się stanie. Yuma spostrzegłszy, że są otoczeni, przebiją się z łatwością przez nasz krąg i uciekną.

— Niech więc Nalgu Mokaszi powie, jak rozumie owo słowo „łatwo”! Czy mogą uciec przez las?

— Nie, gdyż tam będą stali nasi wojownicy ukryci za drzewami, a każdy z nich mógłby zabić dziesięciu wrogów, zanim jedenasty dotarłby do niego. Muszą więc rzucić się w stronę łąki.

— Ale tam będą przecież także nasi wojownicy!

— Ci nie przeszkodzą ucieczce, gdyż najlepszy nawet biegacz nie dopędzi konia.

— Uff! Zatem Nalgu Mokaszi myśli, że zaatakują nas konno?

— Tak jest. Skoro zobaczą, że są otoczeni, wskoczą na konie i przebiją się przez szeregi naszych, kierując się ku łące.

— Słusznie, ale koni nie dosiędą — odparł Winnetou z właściwą sobie pewnością.

Teraz dopiero zaczęło świtać w głowie Nalgu Mokaszi. Wydmuchnął powietrze przez usta z przytłumionym świstem, jakby na znak zdziwienia i zapytał:

— Winnetou chce im zabrać konie? Przyjdzie to z trudnością, z wielką trudnością.

— Przyjdzie to z łatwością, nawet dziecku. Bez koni nie przepuścimy ich. Każdą próbę w tym kierunku przypieczętują krwią.

— Wiec nie uczynią tego, ale się też nie poddadzą. Co zamysłła Winnetou wówczas?

— Wezwiemy ich, aby złożyli broń. Wielkie Usta każe swoim ludziom się poddać.

— Czy chcesz go zmusić do tego pod groźbą śmierci?

— Możemy spróbować tego środka.

— To się nie uda, chociaż jest tchórzem. Wie, że nie zabijemy go zaraz, lecz weźmiemy ze sobą, by umarł przy palu męczarni. Będzie się więc spodziewał, że umknie nam po drodze.

— Mój brat przypisuje mu zbyt wielką niezaradność. Czy przypuszczasz naprawdę, że Vete-ya pozwoliłby zastrzelić wszystkich swoich wojowników w tym celu, żebyśmy go samego wlekli dalej ze sobą? Czy nie zgodzi się, aby jego ludzie byli razem z nim w niewoli? Im więcej jeńców, tym łatwiejsza ucieczka.

— Ale tym większa nasza czujność! Gdyby ucieczkę miał zapewnioną, uwierzyłbym, że zgodzi się na pozór na nasze żądanie.

— Więc trzeba tylko dać mu tę pewność, a ja znam człowieka, który może to zrobić z łatwością. Jest nim Old Shatterhand.

— Old Shatterhand, mój biały brat? W jaki sposób mógłby wpoić w wodza Yuma mniemanie, że jeśli się podda ze wszystkimi wojownikami, będzie mógł umknąć — a jeśli nie, to zginie?

— Zapytaj jego samego! Podczas gdy ja rozmawiałem z tobą, on namyślał się nad tym. Vete-ya chce go oszukać, nie będzie więc trudno go w błąd wprowadzić.

Było to rzeczywiście godne podziwu jak Winnetou potrafił odgadnąć moje myśli. Nie wspominałem mu o tym, nie wiedziałem, jakie słowa zamieniłem z pojmanym wodzem, a przecież zapowiedział teraz, jak myślę postąpić.

— Czy jest naprawdę tak, jak Winnetou mówi? — zapytał Mimbrenjo.

— Tak jest rzeczywiście. Vete-ya wezwie swoich ludzi, żeby się nam poddali.

— I ty, ty podejmujesz się doprowadzić do tego?

— Tak; mianowicie podstępem, ponieważ on ze swojej strony pragnie mnie podejść. Przyrzeknę, że jego i wszystkich Yuma po kryjomu uwolnię.

— Vete-ya nie uwierzy.

— Uwierzy, gdyż wie, że Old Shatterhand nie złamał jeszcze nigdy danego słowa.

— Tym razem musiałbyś je przecież złamać i zostać kłamcą! A może chciałbyś dotrzymać przyrzeczenia i wypuścić ich wbrew naszej woli? — Tak jest!

— I ja mam ci dopomóc? Czy z przyjaciela i brata stałeś się moim wrogiem?

— Nie, gdyż nie pozwolę, żeby Yuma uciekli.

— A przed chwilą mówiłeś coś wręcz przeciwnego. Nie wiedziałem, że posiadasz dwa języki. Któremu mam wierzyć?

— Mam tylko jeden język i jemu musisz wierzyć.

— Ale on prawi raz czarno raz biało!

— Mówi prawdę, nic więcej. To, co tobie mówię jest prawdą i to, co powiem wodzowi Yuma, będzie także prawdą. Vete-ya wpadnie we własne sidła. Przyrzeknę mu wolność pod



pewnym warunkiem. On się zgodzi pozornie, później jednak nie spełni umowy, a wtedy będę zwolniony ze słowa.

— Więc wiesz na pewno, że Vete—ya nie dotrzyma przyrzeczenia?

— Wiem.

— Jaki to warunek mu postawisz?

— Żeby mi opowiedział, co za powód skłonił Meltona do napadu na hacjendę del Arroyo. Wymyśli jakieś opowiadanie, które jednak będzie kłamstwem. Zresztą nie ma potrzeby już teraz o tym mówić. Wystarczy, że wiem co się stanie i jak mam się zabrać do rzeczy. Plan jest dobry. Nie traćmy czasu, lecz wykonajmy go! Północ już przeszła, a Yuma musimy otoczyć, zanim wstanie dzień.

— Powiedzieliście wasze zdanie i tak chcecie uczynić, niech więc się stanie według waszej woli. Winnetou i Old Shatterhand wiedzą zawsze, co czynią; nie chcę się zatem sprzeciwiać, chociaż nie mogę was w zupełności zrozumieć. *Howgh!*

Słowo *howgh* oznacza stwierdzenie, że to, co zostało postanowione, nie może już ulec zmianie.

Teraz wydano odpowiednie rozkazy. Pięciu Indian miało zostać tutaj z jeńcami i zabić ich raczej, niż pozwolić uciec. Sześćdziesięciu czerwonoskórych wyznaczono, aby się ukryli w lesie, poza obozem Yuma, reszta zaś miała udać się na łąkę, ażeby utworzyć drugą połowę pierścienia i zetknąć się z końcem pierwszego oddziału. W lesie miał dowodzić Winnetou, na łące Nalgu Mokasz i resztę pozostawiono mnie. Zdawałoby się, że zadanie moje nie było trudne, a jednak w pewnych okolicznościach mogło nabrać pierwszorzędnej wagi; najmniejszy przypadek, nieopanowany przeze mnie, zburzyłby wszystko.

Winnetou, który stanął na czele sześćdziesięciu wojowników, wezwał mnie przed wyruszeniem.

— Niech mój brat mi towarzyszy, gdyż najchętniej z mm pójdę do koni. Gdybym wziął ze sobą kogo innego, musiałbym zabić strażników. Było mi to na rękę; przyłączyłem się do niego i wyruszyliśmy w drogę. Pokonanie dwóch strażników znajdujących się przy koniach, było właściwie zabawą; musieliśmy jednak działać z największą ostrożnością, gdyż najdrobniejszy podejrzanym szmer mógł nas zdradzić i zniweczyć cały plan.

Posuwaliśmy się wzdłuż skraju lasu; nie opodal jego rogu weszliśmy między drzewa, postępując dalej ze zdwojoną uwagą. Znajdowaliśmy się teraz na zachodniej stronie lasu i przybyliśmy wkrótce na miejsce, niedaleko którego, na łące, obozowali Yuma. Idąc jeszcze wolniej i ostrożniej, zostawialiśmy co kilka kroków wojownika. Gdy ostatni z nich stanął na posterunku, tworzyli wszyscy łuk naokoło leżącego pod lasem obozu. Każdy Mimbrenjo wyszukał sobie takie stanowisko, żeby mógł uważnie obserwować nieprzyjaciół, Sam nie narażając się na odkrycie. Instrukcje, dotyczące ich czynności, otrzymali zawczasu.

Po tych przygotowaniach stanąłem z Winnetou pod pierwszymi drzewami, żeby się rozejrzeć w» sytuacji. Chociaż do tej strony lasu nie dochodziło światło, mogliśmy rozróżnić prawie każdego Yuma.

Niektórzy z nich padli zmożeni snem przy koniach, inni jednakże, a tych było więcej, leżeli pokotem tam, gdzie kto znalazł miejsce; nieopodal widniała broń, złożona razem. Dalej pasły się konie, pilnowali ich dwaj czerwoni.

Winnetou wskazał na nich i szepnął:

— Darujmy im życie. Mój brat weźmie na siebie jednego, a ja drugiego!

Chciał się oddalić, lecz zatrzymałem go pytaniem:

— Czy Winnetou spostrzegł, że warty zmieniają się co godzina?

— Tak.

— A więc musimy poczekać; odkryliby wszystko za wcześniej!

— Old Shatterhand ma słuszość. Dopiero gdy opaszemy pierścieniem cały obóz, obojętne nam będzie odkrycie. Niech więc mój biały brat powróci i powie Silnemu Bawołowi, żeby wyruszył ze swoimi ludźmi.

— Dobrze! Będę im towarzyszył. Wiem, gdzie są końce naszego półkola; sam dopilnuję, by szczerlnie zacieśniono pierścień, nie wymknie się żywa dusza!

— Potem wrócisz do mnie?

— Gdzie cię znajdę?

— Będę czekał tutaj.

Gdy powracałem napotkałem całą sześćdziesiątkę i przekonałem się, że wszyscy trwali na stanowisku; żaden Yuma nie mógł się tędy przedostać.

Kiedy dotarłem do Silnego Bawołu, rozkazał natychmiast wyruszyć. Wzięliśmy konie za cugle i pomaszzerowali gęsiego; ja i wódz na czele. Najpierw minęliśmy koniec lasu, zataczając koło; średnicą jego był brzeg lasu, a środkiem obóz Yuma. Co pewien czas pozostawialiśmy jednego wojownika wraz z koniem, dopóki ostatni nie stanął na wyznaczonym stanowisku.

Posterunki były tak oddalone od obozu, że nie mogły ich osiągnąć kule Yuma. Każdy z nas najpierw przywiązał konia, potem popęzł na dwieście kroków naprzód, aby doczekać wschodu słońca. Konie były niezbędne do ścigania wrogów, gdyby Yuma przerwali łańcuch naszych ludzi.

A więc pierścień dookoła obozu zamknięto! Wewnątrz koła stały również wierzchowce Yuma; należało je schwytać za wszelką cenę.

Teraz położyłem się i poczołgałem do miejsca, gdzie miał na mnie czekać Winnetou. Spozrzegł mnie z daleka i nie czekając aż do niego dotrę, pośpieszył na moje spotkanie.

— Przed kilkoma minutami zmieniono warty — rzekł szeptem. — Położyli się z pewnością i z pewnością usną niedługo.

— Możemy więc przystąpić do dzieła. Gdzie umieścimy tych dwóch?

— W lesie, przy naszych ludziach, aby ich pilnowali.

— Tego nie życzyłbym sobie. Nasi ludzie powinni wyteżyć całą czujność w kierunku obozu. Jeśli powierzmy im jeszcze inne zadanie, nie będą mogli mu sprostać i popełnią jakąś nieostrożność. Pozostaw ich mnie. Powiodę strażników do wodza, gdzie będą dla nas nieszkodliwi, podczas gdy tutaj mogą zaalarmować cały obóz swoimi krzykami.

— Mój biały brat ma słuszość. Zatem zajmij się tym, który nadchodzi. Mijał nas nieopodal jeden ze strażników, trzymając wierzchowca za cugle. Popęzłem na czworakach, przyciskając się do ziemi, na miejsce, do którego zdążał i położyłem się między końmi. Czerwony nadszedł, stanął w pobliżu i spojrzał na niebo, odwróciwszy się do mnie plecami. Nie wiem, jakiego rodzaju były jego rozmyślenia, astronomiczne czy poetyckie, dość, że skutek miały dla niego fatalny.

Prześlizgnąłem się pod brzuchem wierzchowca i stanąłem za Indianinem. Schwyciłem go lewą ręką za gardło, pięścią prawej grzmotnąłem w skroń — runął jak kłoda; odrętwiałego powlokłem w bok.

Obejrzałem się na drugiego strażnika; już go nie było. Winnetou załatwił się z nim równie prędko. Teraz zbliżał się, pełznąc i ciągnął za sobą Yuma. Zawlekliśmy obydwu do najbliższych posterunków Mimbrenjów; oddaliśmy im jeńców, rozkazując zakłuć ich, jeśli tylko spróbują wszcząć hałas. Nadszedł czas, by się zabrać do koni Yuma. Uprowadzenie ich nie nastęrczało trudności, gdyż wierzchowce coraz bardziej się oddalały, poszukując paszy. Z początku popędziliśmy dwie sztuki poza Unię naszych. Zaczęły natychmiast zajadać świeżą trawę; pozostałe zaś, spostrzegłszy to, przyszły za nimi dobrowolnie. Gdy zmiarkowały, że ich nie odpędzamy, poczęły się coraz bardziej oddalać, dopóki nie zapędziły się w poszukiwaniu stawy aż do naszych koni, gdzie wreszcie obrały sobie popas.

Figiel się udał! Apacz powrócił na swoje stanowisko. Teraz, gdy już nie mieli koni, a wokoło otaczali ich wrogowie, mogli się wojownicy Yuma obudzić; nasi byli przygotowani się

do walki. Trzeba było jeszcze umieścić w bezpiecznym miejscu pojmanyh strażników. Byli ogłuszeni, lecz poczynali się już otrząsać z odrętwienia. Nasi Mimbrenjowie, aczkolwiek tęgie chłopy, nie mogli sobie jakoś dać rady z krępowaniem jeńców; siedzieli przy nich, grożąc nożami, by zmusić do milczenia. Musiałem pomóc przywiązaniu jeńcom dłoni na plecach. Sznurów było dosyć, gdyż strażnicy mieli swoje lassa. Zagroziłem Yuma śmiercią, jeżeli odważą odezwać się słowem i zmusiłem ich, by poszli za mną. Nie opierali się, nie mogąc bronić i obawiając rewolweru, błyszczącego w mojej dłoni.

Doszliśmy wreszcie do południowej części lasu, gdzie leżał wódz Yuma wraz z pozostałymi jeńcami pod strażą pięciu Mimbrenjów. Prawdopodobnie był zdumiony i wściekły, że znów sprowadziłem dwóch jego wojowników, lecz nie odezwał się ani słowem. Szło mi o to, aby mu dowieść, że okrążyliśmy Yuma i że żadnemu z nich nie uda się przedostać przez nasz łańcuch. Musiałem zatem pokazać wodzowi nasze pozycje; dlatego odwiązałem rzemienie, krępujące mu nogi, aby mógł pójść za mną. Natomiast ze zdwojoną mocą skrepowałem jego ramiona, pomimo zranionej ręki i umocowałem wokoło pasa rzemień, drugi koniec przywiązałem do mojego i rzekłem:

— Wielkie Usta na pewno tęskni za swoim obozem; niech pójdzie za mną, a ujrzy go.

Obrzucił mnie wzrokiem, w którym malowało się radosne zdziwienie; zapewne pomyślał w pierwszej chwili, że jego poprzedni apel do mojego chrześcijańskiego sumienia nie poszedł na marne, ale wnet wspomniiał na przygotowania i odparł, ściągając ponuro brwi:

— Dokąd chcesz mnie zawlec? W każdym razie nie do naszego obozu!

— Tak! Nie tam, lecz w pobliże; mam jednak nadzieję, że w ciągu popołudnia spełnię twoje życzenie.

— A dlaczego teraz nie możesz tego uczynić?

— Wojownicy twoi przyjęliby mnie kulami, a nie mam najmniejszej na to ochoty.

— Oni ci nie wyrządzą krzywdy, będą nawet bardzo wdzięczni za sprowadzenie wodza do obozu.

— Ciesz się mną to wielce. Dlatego też wolałbym zaczekać aż do poranku. Teraz jeszcze, mimo blasku księżyca, za ciemno jest, aby dusza moja mogła rozpułnąć się w zachwycie na widok twoich wojowników, tak miłych memu sercu.

— Dusza twoja jest ciemniejsza od ponurej nocy nie rozjaśnionej najslabszym promieniem księżyca, a słowa twoje, aczkolwiek brzmią serdecznie, kryją w sobie niewysłowioną chytróść i podstęp, którego nie mogę odgadnąć!

— Człowieka, który gotuje niespodziankę, nie należy posądzać o złośliwość. Pójdź! Zobaczysz, co ci chcę pokazać!

Musiał usłuchać, bo pociągnąłem rzemień; prawdopodobnie jednak, nawet bez przymusu, poszedłby, pędzony ciekawością. Doprowadziłem go do pierwszej naszej warty na skraju lasu, a stamtąd w głąb, zagroziwszy:

— Pamiętaj o tym, co ci teraz powiem! Nie waź się wydać najlżejszego dźwięku bez mojego pozwolenia, za każde głośniejsze chociażby westchnienie poczujesz ostrze noża.

Wyciągnąłem nóż i z lekka przeszywając jego odzież na piersiach, rozciąłem mu cokolwiek skórę. Zląkł się gwałtownie i szepnął, pomimo mego zakazu:

— Nie zakłuwaj mnie! Będę milczał; nie usłyszysz ani jednego dźwięku!

— Mam nadzieję, że mnie posłuchasz, inaczej zapłacisz za to natychmiast. Nie żartuj! Teraz idź dalej, trzymaj się mnie i uważaj na wszystko!

Poprzednio spostrzegł naszego pierwszego strażnika, leżącego w zaroślach. Teraz poszliśmy do drugiego. Było bardzo ciemno pod drzewami; obawiając się, by wartownik nie wziął mnie za wroga, zawołałem z cicha:

— To ja, Old Shatterhand; czy wydarzyło się coś nowego?

— Nie. Śpią jeszcze.

Chodziłem tak z Wielkimi Ustami od jednego wartownika do drugiego, zamieniając z każdym parę słów, zatem wódz musiał zauważyć, że jego ludzie są szczelnie okrażeni.

Na przeciwnym końcu linii wartowników napotkałem wodza Apaczów. Gdy ujrzał Yuma, odgadł mój zamiar i zawołał:

— Przychodzisz się przekonać, czy żaden z tych psów nie przedostanie się tędy? Są tysiackroć gorsi od psów, gdyż te zwierzęta czuwają przynajmniej, podczas gdy Yuma chrapią pokotem. Wstyd być wodzem takich ludzi! Gdy zbudzą się, ogarnie ich śmiertelny strach. Jeżeli nie zechcą się poddać, wystrzelamy wszystkich bez litości!

Spostrzegłem, że Vete-ya chce coś powiedzieć; być może była to cisnąca się na usta prośba, widocznie jednak przypomniał sobie moją groźbę i zamilkł. Ruszyliśmy dalej z lasu na otwartą przestrzeń, póki nie obeszlśmy całego półkola. Po drodze spotkałem Silnego Bawołu, który tutaj dowodził. Nie dorastając inteligencją Winnetou nie odgadł mego zamiaru. Dlatego spytał tonem brzmiącym prawie niechętnie:

— Dlaczego Old Shatterhand taszczy ze sobą tego psa? Czy chce mu dać sposobność ucieczki? Zostaw go lepiej dozorcóm! Ty masz tylko jedną parę ramion i oczu, oni zaś pięć!

— Moje oczy są równie dobre, jak ich dziesięcioro, a co się tyczy moich ramion, to więcej zdziałały niż ich! Czemu się gniewasz? Czyś sam przedtem nie powiedział, że Old Shatterhand wie zawsze, co czyni?

— Ale jeśli przybywasz się przekonać, czy jesteśmy czujni, po co sprowadzasz jeńca? To zupełnie niepotrzebne!

— Nie przyszedłem wcale, by was kontrolować, lecz z zupełnie innego powodu. Czy sądzisz, że chociaż jeden z wojowników Yuma przedostanie się tędy?

— Po cóż pytasz, kiedy wiesz równie dobrze jak my, że to niemożliwe? Jeżeli spróbują ucieczki, wystrzelamy ich do nogi!

— Chciałem się właśnie w tym upewnić. Jeżeli napadnie cię uczucie miłosierdzia, zwalcz je! Im więcej wrogów sprzątną kule nasze, tym mniej potem będziemy mieli roboty!

— Miłosierdzie! — zaśmiał się gniewnie, z ironią. — Czy ten pies zlitował się nad moimi dziećmi? Gdybyś się nie zjawił, nie uratował ich, teraz gniliby w ziemi! A ty mówisz o litości! Dopóki choć jeden Mimbrenjo żyje, żaden Yuma nie zazna łaski!

Odwrócił się, plunął w twarz wodzowi Yuma i odszedł. Spostrzegłem, że słowa i całe zachowanie się starego wodza Mimbrenjów wywarły na jeńcu silne wrażenie.

Skorzystałem z tego i pozwoliłem mu się odezwać.

— Teraz wolno ci mówić. Wiesz, że Mimbrenjowie mają więcej wojowników od Yuma. Pokazałem ci ich stanowiska; wszystkie strzelby są gotowe do strzału. Wielu z twoich ludzi padnie od pierwszej salwy, pozostali zaś będą musieli się poddać, nie chcąc zginąć marnie.

— Przebiją się!

— Przez ogniwa naszego łańcucha nie prześlizgnie się nawet jaszczurka. Wiesz o tym!

— Jestem przekonany, że tak nie jest. Jeżeli gwałtownie i niespodziewanie ruszą galopem, jak lawina, to co prawda kilku zginie od waszych kul, ale reszta ujdzie.

— Na wierzchowcach? Lecz gdzie je mają?

— Tam — odpowiedział, wskazując palcem okolicę, gdzie pały się konie.

— Tam, to prawda. A gdzie leży wasz obóz? Czyś nie zauważył po drodze, że konie wasze uprowadzono?

— Uff! — zawołał przerażony.

— Spójrz i przekonaj się, że nasi wojownicy leżą między końmi, a twoim obozem! A więc plan przebicia się jest niewykonalny.

Schylił w milczeniu głowę ku ziemi, a i ja nie odezwałem się, nie chcąc osłabiać wrażenia. Przeszło parę chwil; Yuma wreszcie podniósł głowę i rzekł:

— Jeśli Mimbrenjowie zaraz dadzą ognia, będzie to zwyczajne morderstwo, gdyż moi wojownicy nie są przygotowani.

— A ty, czy nie napadłeś bezbronnych i nie złupiłeś ich wioski? Również nie byli na to przygotowani. Czy nie chciałeś zabić dzieci Silnego Bawołu? Czyś nie napadł na hacjendę del Arroyo, pałac, mordując i niszcząc? Położenie twoich wojowników w tym wypadku nie zasługuje na uwzględnienie i litość! Ty nie znasz co to miłosierdzie i litość, więc i ja nie znam.

Milczał. Nie umiał znaleźć odpowiedzi. Ja zaś ciągnąłem dalej, chcąc go przytłoczyć do reszty:

— To, co uczyniliście, było, pomijając rabunek, zwykłą zbrodnią, wołającą o pomstę do nieba. Ale jeśli my was teraz pozabijamy, nie będzie to ani zbrodnia, ani morderstwo, tylko zwykła kara za popełnione występki. Czy możesz temu zaprzeczyć?

Nie odpowiadał. Ja również nie naruszałem ciszy. Księżyc stał w zenicie i zalewał obóz Yuma potokiem srebrnego światła. Z naszego miejsca widać było ich leżące postacie. Wódz spoglądał złęczonym i badawczym wzrokiem, to na prawo, to na lewo, to przed siebie. Skupiał wszystkie myśli, lecz nie mógł znaleźć wyjścia. Nie było ratunku dla niego, ani jego wojowników. Nie przeszkadzałem Vete-ya w rozmyślaniach, gdyż musiały go w końcu zaprowadzić tam, gdzie chciałem. Wtem spostrzegłem, że stanął na palcach i podniósł głowę.

— Uff! Teraz, teraz! — zawołał.

Podążyłem za jego wzrokiem, ku obozowi i ujrzałem, że jeden Yuma wstał i począł się rozglądać. Spostrzegł, iż konie nie były na poprzednim miejscu, lecz znacznie dalej. Zauważył również nasze wierzchowce. Chociaż stały pojedynczo półkolem, którego prawidłowość była co najmniej dziwna, jednakże nie ściągnęły na siebie jego podejrzania. Musiał je wziąć za konie Yuma, gdyż nie zbudził nikogo, lecz opuścił obóz, kierując się do najliczniejszej grupy koni. Sądził widać, że tam czuwają obaj strażnicy i chciał im zwrócić uwagę na przeoczenie.

— Już po nim — wykrztusił wódz. — Zaraz padnie strzał i Yuma zginie.

— Nie — odparłem. — Nie zabiją go!

— Sądzisz więc, że mojego wojownika przepuszczą?

— Wezmą do niewoli, tak jak ciebie.

— Będzie się bronił, zaalarmuje wszystkich!

— Nie zdąży. Wiesz przecież, gdzie stoi Winnetou; Yuma musi przejść tuż koło niego, jeśli chce zachować dotychczasowy kierunek, a wówczas Apacz złapie go z tyłu, jak ja ciebie. Uważaj!

Stało się, jak powiedziałem. Yuma szedł, nie przeczuwając złego; wtem ujrzeliśmy błyskawicznie wychylającego się za jego plecami Apacza; niebawem zgięli się obaj, leżeli w trawie, gdzie ich nie mogliśmy dostrzec. Po chwili podniósł się Winnetou; ciągnął za sobą nieruchomego Yuma i zniknął wraz z nim za drzewami.

— Ma go, zwyciężył! — gniewnie wykrzyknął Wielkie Usta.

— I to tak cicho, że żaden z twoich ludzi nic nie usłyszał! Widzisz, jak wspaniale pracują nasi? Zresztą wolałbym, żeby zdążył podnieść alarm. Przyśpieszyłby rozwiązanie. Po co ta zwłoka! Dam znak do ataku!

Podniosłem dwa palce do ust, udając że chcę gwizdnąć; wódz krzyknął prędko:

— Stój! Nie czyn tego! Poczekaj jeszcze trochę!

— Po co? Przeznaczenie i tak musi się spełnić!

— A może jednak... Mówiłeś o tym sam po drodze do Mimbrenjów.

— Nie przypominam sobie.

Postępowaniem swoim pragnąłem zwiększyć jego troskę. Vete-ya ciągnął dalej:

— Musisz sobie przypomnieć!

— Co więc rzekłem?

— Żądałeś ode mnie prawdy!

— Prawdy? Ach tak! Ale jeśli nawet ją wyjawisz, zginą wszyscy, bo nie zechcesz usłuchać mojego żądania.

— Jak brzmi to żądanie?

- Kazeasz swoim wojownikom poddać się i złożyć broń! Zmieszany, schylił głowę.
- Mówiłem, że uczynisz to z nadejściem poranku, lecz ty szydziłeś z nas. Teraz nie zszarzała noc jeszcze, a już zmieniłeś postępowanie. Dlatego nie wierzę tej zmianie, nie ufam ci. Tkwi w tym podstęp. Dam zaraz znak, niech rozpocznie się walka!
- Poczekaj jeszcze, poczekaj; posłuchaj, co mam ci coś więcej do powiedzenia!
- Mów więc, lecz prędko! Nie mam chęci tracić czasu na próżno!
- Czy prawda, że oszczędzisz moich wojowników i zwrócisz im wolność, jeśli się poddadzą?
- Być może.
- Że darujesz mi życie i wolność?
- Z tym trudniejsza sprawa. Twoi ludzie mniej od ciebie zawinili. Zawiniłeś tak ciężko, że tylko niezwykły powód może cię uratować. Ale Nalgu Mokaszi w żadnym wypadku, za żadną cenę nie ułaskawi cię. Do niego nie masz się po co zwracać!
- Ale do ciebie, do Winnetou?
- Być może.
- Być może, zawsze to może! Mów jasno, otwarcie, nie torturuj mnie dłużej! Jeżeli używasz słowa „może”, to chyba istnieje jakaś możliwość!
- Tak; masz rację. Chcę więc dokładnie wiedzieć, jak zaznajomiłeś się z obydwoma bladymi twarzami, Meltonem i Wellerem, dlaczego napadłeś na hacjendę del Arroyo z ich namowy i wreszcie, jakie zamiary mają te lotry w stosunku do białych emigrantów. Czyś gotów odpowiedzieć mi na to wszystko?
- A ty, czy uratujesz mnie w zamian za poznanie całej prawdy?
- Jeśli to możliwe, tak!
- A więc powiem wszystko.
- Dobrze! Teraz zadam ci pytania, na które masz odpowiedzieć całą prawdę, a wtedy...
- Teraz nie, teraz nie! — przerwał gwałtownie. — Teraz nie ma na to czasu. Jeżeli się znowu obudzi jakiś mój wojownik, na pewno nie uda się go tak bezszelestnie schwytać. Narobi wrzawy, reszta chwyci za broń, a wtedy rozpocznie się strzelanina.
- Tak; masz słuszność!
- A jeżeli Mimbrenjowie raz zakosztują krwi, wtedy będzie nas trudno uratować, a być może będzie to niepodobieństwem!
- Jestem o tym przekonany — odparłem obojętnie.
- Spiesz więc! Przede wszystkim zapobiegij rozlewowi krwi! Potem powiem ci wszystko. Przysięgą!
- Tylko wtedy zaufam twojej przysiędze, jeśli umocnisz ją fajką pokoju.
- Nie ma na to czasu! Możemy ją później zapalić.
- Bardzo pięknie, ale ja tobie nie dowierzam. Poza tym pomyśl, jak trudno cię będzie ocalić; Silny Bawół nie cofnie się przed niczym, byle temu przeszkodzić.
- To mnie nic nie obchodzi, możesz przeciąć moje więzy w nocy.
- Hm! Być może uczynię to, gdyż jako chrześcijanina przejmuje mnie wstrętem śmierć, nawet mego zawziętego wroga, przy palu męczarni.
- Nie dawaj mi już dłużej czekać! Szkoda każdej chwili! Śpieszyło mu się bardziej, niż uprzednio przypuszczałem; pomimo to ciągnąłem spokojnie dalej:
- Przedtem muszę dokładnie wiedzieć, czego mam się trzymać! Żądasz, bym uwolnił ciebie i twoich ludzi po kryjomu, a za to przyrzekasz, że teraz dobrowolnie się poddadzą?
- Ależ tak, tak!
- I powiesz mi całą prawdę o tamtych dwóch bladych twarzach, tak, abym mógł przejrzeć ich zamiary?
- Tak; przysięgą! Lecz żądam, byś i ty dotrzymał słowa! Czy rzeczywiście nas uwolnisz?
- Tak.

— A więc zgoda. Teraz powinieneś nie dopuścić do wymordowania moich wojowników.  
— Uczynię to, przypuszczam jednak, że nie knujesz żadnego podstępu?  
— Dusza moja jest wolna od fałszywych myśli! Ratuj nas!  
— Chodź więc do Silnego Bawołu i Winnetou, powiedz im, że jesteś gotów rozkazać przez gońca swoim wojownikom, by się poddali.

— Przez gońca? Nie usłuchają; muszę sam iść do nich!  
— Ty sam? Nie mogę na to pozwolić.  
— Musisz, jeśli doprawdy chcesz nas uratować!  
— Muszę? Zapamiętaj sobie, że Old Shatterhand nigdy nic nie musi! Przysięgłem uwolnić cię po kryjomu, lecz nie wspomniałem o tym, że pozwolę ci się udać teraz do swoich wojowników.

— Nie możesz więc nas uratować, gdyż wojownicy Yuma pójdą tylko za moim rozkazem, gońca nie będą chcieli słuchać!

— Na to nic nie poradzę, sam będziesz winien temu, jeśli nie usłuchają twoich rozkazów, przesłanych przez gońca. Powinieneś być wpoić w nich więcej szacunku dla siebie, a przede wszystkim większą karność.

Wiedziałem przecież, że pragnąc osobiście udać się do obozu, krył w tym jakiś podstęp. Teraz zrozumiał, że jestem niewzruszony i rzekł:

— Jak możesz żądać, by usłuchali gońca — Mimbrenja?

— Czy jesteś jedynym naszym jeńcem? Wojownik schwytyany wraz z tobą, jechał również z nami i widział stanowiska Mimbrenjów. Podobnie obaj strażnicy, których pojaliśmy niedawno przy koniach, zostali przeprowadzeni przez wszystkie nasze posterunki i wiedzą równie dobrze jak ty, że Yuma będą zgubieni, jeśli schwycimy za strzelby. Gdy zatem pošlę tych trzech wojowników do waszego obozu, by za — nieśli twój rozkaz, na pewno nikt ich nie będzie podejrzewał o zdradę. Zresztą zrobią swoje, nie poniosą więc żadnej winy za to, iż wojownicy Yuma pragną śmierci!

— Dobrze, zgadzam się. Poprowadź mnie do tych trzech!

— Zaczekaj jeszcze chwilę!

Najbliższemu wartownikowi poleciłem udać się do Nalgu Mokaszi i Winnetou i zawiadomić ich, że Wielkie Usta gotów jest rozkazać swoim wojownikom, by złożyli broń. Potem wróciłem z wodzem na drugą stronę lasu, gdzie leżała reszta pojmanych.

Naturalnie musiał im wydać rozkazy w mojej obecności. Baczyłem pilnie by nie dał jakiegoś podstępного zlecenia. Szeptem, by nie słyszeli Mimbrenjowie, uświadomił gońców, że przysięgłem uwolnić ich wszystkich i dodał z naciskiem:

— Wiecie wszak wszyscy, że Old Shatterhand zawsze dotrzymuje przysiężenia. Nigdy jeszcze nie złamał słowa!

— Dotrzymam go i nie zmienię ani na jotę! — potwierdziłem.

Rozwiązano im nogi, by mogli biec, ramiona jednak pozostały skrupowane. Powróciłem z nimi i wodzem, konwojowanym przez dwóch Mimbrenjów, do poprzedniego miejsca.

Wkrótce ujrzałem Winnetou z Nalgu Mokaszi i pośpieszyłem naprzeciw. Wódz Mimbrenjów był niezadowolony z takiego obrotu rzeczy. Spostrzegłszy mnie, krzyknął porywczo:

— Czy to prawda, że ten pies Yuma i jego ludzie chcą złożyć broń?!

— Tak.

— A więc albo wywołałeś cud, albo tkwi w tym jakiś podstęp, którego nie możesz przejrzeć! Niech Old Shatterhand ma się na baczności!

Teraz odezwał się Winnetou głosem spokojnym, przekonującym:

— Nie narodził się jeszcze ten Yuma, który by zdołał oszukać Old Shatterhanda. Vete—ya naturalnie zostanie u nas. Ci trzej mają pewnie zanieść jego rozkazy do obozu?

— Tak, — odparłem.

— Czy wiedzą już dokładnie, co mają powiedzieć?  
— Mam dla nich jeszcze dwa zlecenia.  
— Co takiego jeszcze? — spytał prędko Wielkie Usta, wyczuwając warunki, na które nie mógłby się zgodzić.  
— Coś bardzo zwykłego, o czym nie wspomniałem dotychczas, jako że zrozumiałe było samo przez się. Nagliłeś tak bardzo, że na pewno nie będziesz miał nic przeciwko temu, aby twoi wojownicy usłuchali cię natychmiast?  
— Jaki termin im dajesz?  
— Właściwie żadnego. Muszą poddać się natychmiast i bez wszelkich warunków. Jeżeli zażądają terminu, tym samym nie usłuchają rozkazu. Ani myślę leżeć tutaj dopóki nie spodoba się twoim ludziom zawiadomić mnie łaskawie, że godzą się na rozkaz. Daję im pół godziny czasu.  
— Daj całą godzinę!  
— Nie. Tylko pół! I to za wiele. Jeśli upłynie trzydzieści minut, a Yuma nie przemówią, wyręczą ich lufy naszych strzelb. Nie odstąpię od tego warunku i sędzę, że się nań zgodzisz?  
— Muszę! Ale mówiłeś o dwóch zleceniach. Jakie drugie?  
— Drugie dotyczy wydania broni. Po oświadczeniu twoich ludzi, że godzą się złożyć broń, wojownicy nasi utworzą w pobliżu waszego obozu koło. Tam ma udać się każdy Yuma pojedynczo i oddać wszystką broń, a potem natychmiast powrócić. Przypuszczam, że nie zaprzeczysz słuszności mego żądania.  
— Zgadzam się i na to.  
— A więc dobrze! Oświadczam ci jednak, że każdy Yuma, który ukryje broń lub przedmiot, mogący za broń posłużyć, zostanie rozstrzelany, jak zwykły wiarołomca!  
— To ciężki, bardzo ciężki warunek! A jak się ma sprawa z końmi i resztą rzeczy, należących do moich ludzi?  
— Konie naturalnie należą do nas, są naszą zdobyczą. Jeżeli którego z twoich uwolnimy, możemy dać mu wierzchowca, jedynie tytułem łaski. Amunicja, proch, ołów, formy do lania kul i naboje należą do broni i muszą być wydane. Resztę waszego dobytku ściśle zbadamy. Nie chcemy wzbogacać się cudzym kosztem, jednakże wszystko, co pochodzi z napadu na hacjendę del Arroyo, odbierzemy wam i zwrócimy prawowitemu właścicielowi. Czy chcesz jeszcze o coś zapytać?  
— Nie.  
— A więc gońcy mogą ruszyć; ty zaś usiądziesz tutaj i nie wstaniesz, póki ci na to nie zezwoli jeden z nas: Winnetou, Nalgu Mokaszi lub ja!  
Yuma oddalili się, aby wypełnić swą niezbyt zaszczytną misję. Wielkie Usta przykucnął, obaj zaś” wartownicy stanęli przy nim, ani na chwilę nie spuszczając zeń oczu.  
Spojrzałem na zegarek; gdyby termin wyznaczony upłynął bez rezultatu, rozkazałbym dać kilka strzałów na postrach, a następnie dopiero rozpocząć ogień.  
Gońcy dotarli do obozu i zbudzili śpiących. Gdy minęło pierwsze dzikie zamieszanie, Yuma otoczyli wysłańców kołem. Po chwili rozległ się orkan wściekłych okrzyków, a raczej ryk przeraźliwy. Wysłani spełnili poselstwo. Oblężonych ogarnęło niesłychane wzburzenie, które mogło przybrać formy niebezpieczne.  
Oddaliłem się z Winnetou i wodzem Mimbrenjów od Vete-ya, aby nie słyszał naszej rozmowy. Gdy doszła nas dzika wrzawa, rozlegająca się w obozie, rzekł Silny Bawół:  
— Teraz rozpoczną atak; poznają po ich okrzykach; lecz my Yuma godnie przyjmujemy.  
— To tylko słomiany ogień. Przekonawszy się, że są okrażeni, ochłoną z wojennego zapału — odparłem.  
— Wątpię. Niech Old Shatterhand dobrze pomyśli, nie powinien zapominać o niczym!  
— Cóż mogłem zapomnieć?



— Że Yuma czuli się dotychczas bezpieczni. Usnęli z myślą, że z nadejściem poranku napadną na nas i rozniosą. Teraz, gdy ocknęli się na pół senni, stają wobec sytuacji wręcz przeciwnej; okrażono ich i mają się poddać. Jestem więc prawie pewien, że wzburzeni, zapomną o ostrożności i chwycą za broń.

— Opamiętają się prędko, gdyż posłałem gońców, którzy ich uspokoją i przekażą wiadomość, która przyniesie im nadzieję.

— Nie mogą mieć żadnej; muszą wszyscy umrzeć! Czyś ty aby nie poczynił im nadziei na uwolnienie?

— Tak.

— Wszystkim? Nawet wodzowi?

— Zwłaszcza jemu.

— Czyś oszalał? Nigdy się na to nie zgodzę!

— Nie potrzeba mi twojej zgody!

— Jak to?! Czy ty sam tutaj dowodzisz? Czy ja i Winnetou nie mamy nic do powiedzenia?

Znowu ogarnęła go wściekłość, co zresztą zdarzało się nader często. Odpowiedziałem więc flegmatycznie:

— Tak. Macie głos również; ale tym razem przyrzekłem nie słuchać was. A nawet przyrzekłem jeszcze o wiele, wiele więcej.

— Jeszcze więcej! Co?

— Uwolnić po kryjomu Wielkie Usta i jego ludzi przeciąwszy im rzemienie.

— Przyrzekłeś! — krzyknął pieniać się ze wściekłości. — Jak śmiałeś przyrzec? Jak śmiałeś w ogóle bez naszej zgody...

Nie dokończył, gdyż przerwał mu Winnetou, chwyciwszy go tak silnie za ramię, że aż jęknął z bólu. Potrząsnąwszy nim, odezwał się Apacz:

— Dlaczego mój czerwony brat krzyczy, jak stara *squaw*, kiedy ją zęby zabolą? Czy Nalgu Mokaszi słyszał kiedykolwiek, aby Old Shatterhand działał bez zastanowienia? Jeżeli złożył jakieś przyrzeczenie, to dotrzyma go; a jeśli ono wyjdzie na naszą niekorzyść, to z pewnością będzie mógł nie dotrzymać słowa.

— Ale Old Shatterhand zwykł dotrzymywać przyrzeczenia.

— Jeśli wypełnią się warunki, pod którymi je złożył.

— Tak, warunki! — mruknął wciąż jeszcze gniewny wódz. — Schowaj te warunki dla siebie; nic nie chcę o nich słyszeć!

Odwrócił się i położył na trawie daleko od nas. Twarz Winnetou rozjaśnił uśmiech, ust jednak nie rozchylił. Ponieważ winienem był Apaczowi wyjaśnienia więc zacząłem:

— Złożyłem przyrzeczenie, wiedząc na pewno...

— *Pshaw!* — przerwał mi. — Co czyni Old Shatterhand, czyni słusznie; nie powinien się przede mną tłumaczyć. Wiem, że mój brat oszuka wodza Yuma, ponieważ tamten chce jego oszukać. Silny Bawół jest walecznym wodzem, ale wzrokowi jego brak ostrości, a myślą nie sięga dalej od tomahawka, którym rzuca. Gniew w nim szybko wzbiera, aby równie szybko opaść. Serce ma dobre, poprosi niebawem Old Shatterhanda o przebaczenie.

Głos Winnetou umiał uśmierzyć każdy gniew i łagodzić dotkniętą ambicję.

W obozie panowała cisza. Yuma naradzali się spokojnie i zwracali we wszystkie strony, by obejrzeć nasze stanowiska. Nie upłynęło jeszcze pół godziny, a już powrócił jeden z wysłanych do nich wojowników i zameldował:

— Trzech najstarszych wojowników Yuma chciałoby pomówić z Old Shatterhendem, Winnetou i wodzem Mimbrenjów. Czy mogą przyjść?

— Tak, ale bez broni!

— A czy wolno im będzie, jeśli nie przyjdzie do zgody, powrócić do obozu?

— Są posłami. Mogą powrócić skąd przyszli.

Zawrócił do obozu, by powiadomić Yuma o moich słowach. Po chwili ujrzałem trzech wojowników. Odłożyli koce i wierzchnią odzież, abyśmy się mogli przekonać, że nie ukrywają żadnej broni. Gdy Nalgu Mokaszi zrozumiał, o co chodzi, przyłączył się do nas znowu.

Yuma przeszli obok swego wodza, nie rzuciwszy nań okiem, jednak nie dlatego, by nim gardzili, ale po prostu, że byli wysłańcami wojowników, chwilowo pozbawieni wodza. Na nasz widok przystanęli, pozdrowili i jeden z nich, prawdopodobnie najstarszy, zwrócił się grzecznie pod moim adresem:

— Vete-ya, wódz szczepu Yuma, został pojmany i rozkazał nam się poddać również. Old Shatterhand omówił z nim warunki. Dopóki sięga pamięć naszych najstarszych wojowników, nie zdarzyło się nigdy coś podobnego, dlatego zgromadziliśmy się, aby powziąć uchwałę bez wodza. Przysłano nas, aby przekonać się, czy wydany rozkaz nie da się zmienić. Czy pozwolisz ty i twoi obydwaj czerwoni bracia, obejrzeć nam stanowiska wojowników, którzy nas otoczyli?

— Żaden przywódca wrogom swym nie pokaże zasadzki — odparłem. — Zresztą minął udzielony wam termin; miałbym więc prawo rozpocząć ogień, szanuję jednak wasze pobudki. Wiem, że nie ma już dla was ratunku, więc spełnię to życzenie. Winnetou, naczelny wódz Apaczów, obejmie pieczę nad Yuma, by się im po drodze nie przytrafiło nic złego. Idźcie i powróćcie najpóźniej za kwadrans, aby mi oznajmić, co postanowiliście. Jest to ostatni termin, jaki udzielić mogę.

Poszli za Winnetou, który objął rolę ich przewodnika. Kiedy minawszy linię naszych posterunków powrócili, noc już szarzała. Twarze wojowników Yuma zdradzały walkę między ambicją a koniecznością. Na chwilę stanęli przed nami z opuszczonymi oczyma, milcząc; wreszcie odezwał się ten sam, który przemawiał w ich imieniu przedtem:

— Old Shatterhand był w naszej mocy i nic mu się nie stało. Czy teraz okaże nam bezwzględną surowość?

— Że nic mi się nie stało, to nie wasza zasługa. Po co owijać w bawełnę? Wojownicy Yuma mają mi powiedzieć, co postanowili!

— Uznaliśmy, że wódz nasz Vete-ya postąpił słusznie. Lufy waszych strzelb zwrócone są na nas ze wszystkich stron, a konie, których bystrość mogłaby nas ocalić — w waszej mocy.

— Poddajecie się więc?

— Jesteśmy twoimi jeńcami.

Położył nacisk na słowie „twoimi”, miał bowiem ku temu powód. Chciał być moim jeńcem, gdyż ja obiecałem im wolność.

— Idźcie więc teraz, by wydać broń, lecz tylko pojedynczo. Nikt nie powinien się zbliżać przed rozbrojeniem poprzednika!

— A czy wolno nam przynajmniej zachować świętości?

— Wielki Duch sprawił, że dostaliście się w nasze ręce; oblicze jego odwróciło się od was, dlatego wasze leki pozbawione są wartości; lecz ja nie chcę poniżyć was tak głęboko. Pozwalam zachować leki i kalumety.

Była to dla nich ogromna ulga. Jeśli nawet przypadkowa zguba leków powoduje szkodę niepowetowaną, to oddanie świętości i kalumetów zwycięskiemu wrogowi jest hańbą wiekopomną.

Przygotowali się, by powrócić do obozu. Gdy uszli z piętnaście kroków, stanął mój rozmówca, odwrócił się i spojrzał na mnie. Było to wyraźne wezwanie, bym podszedł do nich, gdyż ma mi coś do powiedzenia. Posłuchałem.

— Niech Old Shatterhand wybaczy, że przemówię powtórnie — Wiem, że tamci dwaj przywódcy nie powinni tego słyszeć.

— Mów, byle krótko!

— Czy to prawda, że Old Shatterhand przyrzekł nas uwolnić?

— Tak, jeśli wasz wódz wypełni przyrzeczenie.

— Jakie?

— Nie pozwolił mi powiedzieć tego.  
— A jeśli nie spełni?  
— Wówczas zmuszony będę przysiąc, że ja w ogóle nie składałem przysiężenia!  
— Uff! Powiemy mu, że musi dotrzymać słowa. *Howgh!* Uszedł nieco, zatrzymał się ponownie i spytał:

— Dokąd nas zaprowadzicie?  
— Tego jeszcze nie postanowiono.  
— Jakimi mękami będziecie nas trapić po drodze?  
— Żadnymi, gdyż wy nie męczyliście mnie również. Nie zaznacie ani głodu ani pragnienia, gdyż i ja go u was nie zaznałem.

— Czy wolno nam będzie chodzić lub jeździć pod waszą strażą?  
— Nie, będziecie skrepowani. Do jedzenia rozwiążą wam ręce. Względy, które mi okazaliście, będą nagrodzone, krzywdy, które mi wyrządziliście — ukarane. Każdy zbiera to, co posieje. Lecz dość na teraz, dobrnijmy wreszcie do końca!

Kazałem trzydziestu Mimbrenjom utworzyć koło, w którym miano złożyć broń. Zaledwie stanęli na pięćdziesiąt kroków od obozu, podszedł mój rozmówca, by złożyć strzelby. Sprowadziłem jeszcze kilku Mimbrenjów, którzy mieli przeszukiwać kieszenie Yuma po rozbrojeniu.

Procedura odbywała się nadzwyczaj prędko, bo Yuma mieli przy sobie dość rzemieni. Moje zadanie okazało się nierównie żmudniejsze; niełatwo było odróżnić własności czerwonych od łupu, pochodzącego z hacjendy, tym bardziej, że często rzeczy, które — mógłbym przysiąc — pochodziły z hacjendy, podawano za leki, a leki przyrzekłem pozostawić czerwonym. Nalgu Mokaszi był wszędzie i doglądał usilnie, byle znienawidzeni przez niego Yuma nie uniknęli ostrego obejścia.

Południe już nadchodziło, gdy uwinęliśmy się z tą niewdzięczną pracą. Yuma leżeli obok siebie powiązani, jak worki z kartoflami. Odebrana broń piętrzyła się jak kopiec; miano ją rozdzielić po południu. Podobnie z rzeczy hacjendera uzbierał się spory okład. Dałem je do przechowania kilku Mimbrenjom wypróbowanej rzetelności.

Spżyto posiłek, po raz pierwszy dzisiejszego dnia. Wszyscy byli syci, gdyż obydwie strony miały dosyć żywności. Ponieważ nie spaliśmy w nocy, postanowiono przespać upalne godziny. Przed wieczorem mieliśmy wyruszyć. Dokąd — rozumiało się samo przez się; mianowicie do miejsca, gdzie rozbili obóz pozostali Yuma ze zrabowanymi trzodami. Wojowników mieliśmy wziąć do niewoli, stadniny oddać hacjenderowi.

Teraz nastąpił podział zdobytej broni. Wszczął się nieopisany gwar. Każdy chciał chwycić najlepszą sztukę. Wydzierano sobie flinty, pogardzając lukami i strzałami, a ponieważ większa część broni palnej była nic nie warta, więc wynikły spory i kłótnie, które mógł uśmierzyć tylko rozkaz wodza.

Rozłożyliśmy się obozem w cieniu drzew; kto tylko nie miał czuwać, ten wypoczywał, aby zebrać siły na daleką jazdę. Zamierzaliśmy bowiem zatrzymać się dopiero u celu podróży. Straż pełniło dziesięciu ludzi, ilość w zupełności wystarczająca, mimo pokażnej liczby pojmanych. Co godzinę luzowano wartę. Podobnie ja, Winnetou i Silny Bawół, zmienialiśmy się co godzinę, aby coraz inny z nas dozorował wartowników.

Pierwszą straż miałem ja; następnie zlużował mnie Winnetou. Gdy obudził mnie wódz Mimbrenjów, czułem się jeszcze bardziej zmęczony niż poprzednio; zaraz jednak zerwałem się, żeby znów czuwać. Warty chodziły tam i z powrotem, pilnie bacząc na pojmanych, aby nie uszedł ich uwagi żaden podejrzany odruch. Vete-ya, jako wódz, otrzymał legowisko oddalone od pozostałych; zdawał się leżeć nieruchomo, pewnie spał. Gdy jednak przeszedłem obok niego po raz drugi, otworzył oczy i zawołał na mnie po imieniu. Przystąpiłem do niego i spytałem, czego sobie życzy. Zrobił zdziwioną minę i odpowiedział:

— Jakie życzenie? Czy doprawdy Old Shatterhand nie wie, o co mi chodzi? Mam tylko jedno — wolność!

— Wierzę ci. Miałem je również, gdy byłem twoim jeńcem.

— Otrzymałeś ją. Kiedy odzyskam swobodę? Czy dzisiaj?

— Jeszcze dzisiaj? — spytałem ze zdziwieniem. — Spałeś, śniesz jeszcze z pewnością.

— Nie śnię! Prócz ciebie czuwa tylko dziesięciu wojowników. Czy ci kto zabroni przeciąć moje więzy? Uczynisz tak, a ja skoczę na konia i zniknę, zanim zdążą mnie pojmać!

Na tę skromniutką prośbę inny zaniemówiłby ze zdziwienia lub gniewu; co do mnie, to wydała mi się zbyt komiczną; to też wybuchnąłem głośnym śmiechem, który wkrótce tak przybrał, że większa część śniących obudziła się, a wartownicy spojrzeli ku mnie.

— Czemu się śmiesz? — zapytał gniewnie Wielkie Usta. — Czy sądzisz, że to żart?!

— Naturalnie! Mam ci dopomóc w ucieczce teraz, w biały dzień, aby wszyscy ujrzeli, że ja cię uwolniłem?

— Nikt się nie ośmieli ukarać Old Shatterhanda. A przyrzekłeś mi wolność.

— Przyrzekłem uwolnić ciebie i twoich wojowników, nie zaś” ciebie samego. Oswobodzę Vete—ya tylko razem z nimi.

— A więc przyśpiesz to wreszcie! Musisz wypełnić przyrzeczenie!

— Racja! Ale jak z twoim?

— Dotrzymam go, skoro ty dopełnisz swojego!

— Myślisz pewnie, że wynalazłeś dowcipny kruczek, lecz tym wybiegiem nie uzyskasz zgody na wolność! Nie puszcę cię, zanim nie odpowiesz na moje pytania.

— Odpowiem ci tylko jako wolny wojownik!

Otwarłem usta by znów wybuchnąć śmiechem, lecz natychmiast przybrałem powagę, gdyż w tej samej chwili Nalgu Mokaszi, który leżał w pobliżu i zdawał się chrapać w najlepszej, skoczył na równe nogi i zawołał chrapliwym głosem wściekłości:

— Czy Old Shatterhand ma czas odpowiedzieć na jedno pytanie?

— Tak — skinąłem.

— Niech więc podejdzie, aby je usłyszeć!

Podszedłem do niego. Poprowadził mnie na stronę, obrzucił gniewnym spojrzeniem i rzekł:

— Old Shatterhand rozmawiał z Vete—ya. Słów co prawda nie słyszałem, ale odgadłem ich treść!

— Jeśli jest tak jak mówisz, to nie mogę pojąć, dlaczego nie pozostałeś spokojnie na swoim miejscu. Sen ci potrzebny tak samo jak nam wszystkim.

— Jakże mam spać, gdy widzę i słyszę, że zdrada opasuje nas, niby wąż!

— Zdrada! Czy mój czerwony brat zechce mi powiedzieć, w kim widzi zdrajcę?!

— Ty nim jesteś, ty sam!

— Ja? Zdrajcą? Jeżeli Nalgu Mokaszi uważa za zdrajcę Old Shatterhanda, któremu nikt najmniejszego fałszu zarzucić nie może, to chyba z jednego tylko powodu: Wielki Duch zabrał mu pamięć i pomieszał zmysły! Współczuję ci, a ponieważ jestem twoim bratem i przyjacielem, więc boli mnie bardzo, że muszę Silnego Bawołu na tak długo wykluczyć z naszej rady, póki mu rozum nie powróci na miejsce!

Zostawiłem go i poszedłem dalej; ale on pogonił za mną, chwycił za moje ramię i zawołał, piniąc się z gniewu:

— Coś powiedział? Rozum chcesz mi zabrać, zmysły pomieszać? Czy myślisz, że przewyższając innych siłą i rozumem, możesz nie tylko wrogów zwyciężać, lecz obrażać przyjaciół?! Wyjmij swój nóż i walcz ze mną! Taką obelgę tylko krew zmyć może.

Zarówno jego słowa, jak i wykrzywione wściekłością rysy, powiedziały mi, że stary choleryk jest rozdrażniony do najwyższego stopnia. Wyrwał nóż z za pasa i stanął w pozycji zapaśnika. Odpowiedziałem spokojnie:

— Czym może być zmyta taka obelga, pytasz? Sąd o tym do mnie należy, nie do ciebie, gdyż ja zostałem obrażony. Nazwałeś mnie zdrajcą. Cóż może być większą obelgą dla wojownika? Jeśli mnie obcy tak nazwie, natychmiast zmiażdżę mu czaszkę; gdy czyni to przyjaciel, muszę przypuścić, że zwariował nagle. Jeżeli czujesz się dotknięty, nic na to nie poradzę, wszakże sam wywołałeś swój sąd!

— Ja nie cofam swojej obelgi. Chcesz uwolnić Vete–ya.

— Tak, lecz postawiłem mu warunek, którego nie wypełni, wiem tedy, że wolności nie odzyska.

— Co ty w ogóle masz z nim do mówienia! To właśnie widziało mi się podejrzanym, że pertraktujesz z Vete–ya po kryjomu, sądząc że jesteśmy pogrążeni we śnie!

Położyłem mu rękę na ramieniu z taką siłą, że zgiął się na pół stopy i odparłem poważnie:

— Od kiedy to wódz Mimbrenjów jest moim strażnikiem? Skoro Old Shatterhand czuwa, inni mogą spać spokojnie; pamiętaj o tym! Wybaczam ci, żeś mnie nazwał zdrajcą, bo wkrótce przekonasz się, jak dalece zbłądziłeś! Lecz dość na tym! Skończyłem!

Chciałem odejść; on zatrzymał mnie powtórnie i krzyknął: — Nie, to jeszcze nie koniec! Musisz walczyć ze mną! Natychmiast wyciągnij nóż, inaczej zakłuję cię bez pardonu!

Czerwoni, którzy jako dzicy, sen mają o wiele lżejszy od białych, obudzili się na krzyki starego. Winnetou wstał również i podszedł, aby spytać:

— Dlaczego mój czerwony brat wyzwiał Old Shatterhanda?

— Obraził mnie. Oświadczył, że postradałem zmysły!

— Dlaczego tak oświadczył?

— Dlatego, że nazwałem go zdrajcą.

— Jaki powód miał ku temu wódz Mimbrenjów?

— Old Shatterhand sam przyznał, że chce potajemnie uwolnić wodza Yuma.

— Czy to jedyny powód do mianowania go zdrajcą? Powiadam ci: mój brat Shatterhand wie zawsze co czyni, a gdyby wszyscy biali, czarni i czerwoni mieszkańcy ziemi zdradzili każdą uczciwą sprawę, on jeden pozostałby wierny do końca!

— Tak mówisz ty, ja jednak wiem, że jest inaczej! Com rzekł, to szczerą prawdą! On zaś obraził mnie, musi więc ze mną walczyć!

Winnetou obrzucił starego od stóp do głów ironicznym spojrzeniem i odezwał się drwiąco:

— Czy mój czerwony brat chce koniecznie stać się pośmiewiskiem swoich wojowników?

Słowa jego bardziej jeszcze rozdrażniły wodza; teraz począł prawie ryczeć:

— Czy i ty chcesz ze mną zadrzeć? Spójrz na moją postać, ramiona, plecy, muskuły! Czy sądzisz, że ulegnę?

— Tak. Jeśli Old Shatterhand zechce, za pierwszym uderzeniem utkwi ci klinga jego noża w sercu! On jednak nie zechce z tobą walczyć!

— Będzie chciał, musi chcieć; żądam tego, a jeśli nadal będzie zwlekał, to jest marnym tchórzem i zakłuję go bez wahania!

Brwi Winnetou ściągnął gniew, a twarz jego przybrała wyraz kamienny i niewzruszony; poznałem, że Apacz nie zamierza już dłużej grać roli rzeczownika pokoju. Znajomym mi z dawna odruchem podniósł w górę jedno ramię i rzekł:

— Nalgu Mokaszi postanowił stracić szacunek wszystkich. Old Shatterhand będzie walczył! Jakie warunki stawia mój czerwony brat?

— Walka będzie na śmierć i życie.

— Kiedy?

— Natychmiast!

— Jakie mają być prawidła walki na noże?

— Żadne. Uderzam, kiedy mi się podoba!

— Co nastąpi, jeśli jeden z walczących zgubi swój nóż? Czy przeciwnik ma prawo go zakłuć?

— Tak, lecz pierwszy może bronić się pięściami i drugiego zatłuc lub zadusić.

— Dobrze! Teraz wiem, kto dzisiaj uda się do Wiecznych Ostępów, jeśli zechce jego przeciwnik. Moi bracia pozwolą mi być sędzią spotkania, jestem gotów, możecie rozpocząć walkę!

Oczy starego impetyka pałały żądzą krwi. Znał moją siłę i zręczność, ale czy teraz mógł o niej pamiętać? Wpadając we wściekłość przekraczał wszelkie granice; skoro jednak gniew mijał, nie było sympatyczniejszego człowieka nad niego, naturalnie w pojęciu indiańskim. Co prawda, własny gniew niejednokrotnie wypłatał mu już dotkliwego figla i na pewno straciłby od dawna stanowisko i wpływ u swojego szczepu, gdyby poza tym nie był dzielnym przywódcą i niepospolicie silnym człowiekiem. Nazywając go starym nie miałem bynajmniej na myśli słabości lub zgrzybiałości. Miał może lat sześćdziesiąt, wzrost i budowę olbrzyma, a ponadto sprężystość, którą rówieśnicy jego od dawna utracili. Był więc godnym przeciwnikiem i właściwie miał nade mną przewagę, ponieważ walkę brał na serio, gdy ja, naturalnie, nie zamierzałem go nawet zadrasnąć, a cóż dopiero zabijać!

Nie wymawiałem się od walki, wiedząc, że tylko pogorszyłbym sytuację, gdyż zaślepiiony gniewem stary rzuciłby się na mnie, a wówczas musiałbym poważnie się bronić. Stałem więc naprzeciw niego, wyciągnąwszy nóż z za pasa, nie prawą jednak ręką, tylko lewą; prawą pięść bowiem chciałem mieć wolną; on wszakże nie zwrócił na to uwagi.

Mimbrenjowie słyszeli o co chodzi i przybiegli wszyscy. Pojmani Yuma, nie mogąc podążyć za nimi, usiłowali się wyprostować, nie bacząc na więzy, aby ujrzeć cokolwiek. Na wszystkich twarzach widniał wyraz oczekiwania; tylko dwaj synowie wodza maskowali się obojętnością. Lubo nie chcieli pokazać tego po sobie, widziałem doskonale, jak wielka trapi ich troska. Jeśli ja zwyciężę, zginie ich ojciec, jeśli przeciwnie — polegnie człowiek, któremu zawdzięczają wolność i dla którego czuli cześć prawie bałwochwalczą.

Staliśmy więc oddaleni od siebie o pięć kroków, każdy trzymając nóż w ręce i pilnie bacząc na przeciwnika. Winnetou spytał:

— Czy mój brat, wódz Mimbrenjów, oznajmi jakie życzenie na wypadek śmierci?

— Nie umrę — zaśmiał się gniewnie spytany. — Daj znak, a natychmiast ostrze mego noża zakosztuje krwi Old Shatterhanda!

— Jeśli Nalgu Mokaszi zakłuje mnie, to powiedz mu, że byłem zbawcą jego dzieci i jednemu z nich nadałem imię. Być może będzie wówczas powściągliwszy w obejściu z przyjaciółmi, którym winien wdzięczność.

Sądziłem, że moje słowa opamiętają starego; grubo się jednak omyliłem; wódz bowiem począł ryczeć konwulsyjnie:

— Zdrójca nie może liczyć na wdzięczność. Chcę krwi, krwi, krwi! Walka więc musiała się odbyć. Przedtem miałem zamiar obejść się ze starym delikatnie, teraz postanowiłem dać mu dotkliwą nauczkę. Krew zakipsała we mnie, skinałem na Winnetou. Ten podniósł rękę w górę i powiedział głośno:

— Żaden z wodzów nie śmie ruszyć się z miejsca, póki na to nie zezwolę. Walka się zaczyna. *Howgh!*

Wyciągnął nóż, aby każdego kto się do nas zbliży, zakłuć na miejscu i stanął przypatrując się walce.

Kto zacznie? To było teraz najważniejsze pytanie! — Nie ja! Byłem w każdym razie zdecydowany unieszkodliwić wodza zaraz po pierwszym ataku. Miałem niepłonną nadzieję, że mi się powiedzie. Nie było czasu na wahanie: im dłużej wystawiałem się na nóż przeciwnika, tym łatwiej mógł mnie trafić.

Silny Bawół stał cicho i spokojnie, jak wykuty z kamienia. Czyżby i on nie chciał natrzeć pierwszy? Jakkolwiek nie ruszał się z miejsca, żywe błyski oczu zdradzały, że tylko po to stał niby wrosły w ziemię, aby znużyć mój wzrok i potem napaść niespodzianie. Nie omyliłem się,

gdyż nagle oczy jego formalnie stanęły w ogniach; rzuciłem nóż, przekonany, że wódz skoczy na mnie. Rzeczywiście podnosił już nogę, lecz znowu postawił ją na ziemi i zawołał:

— Czy widzieliście, jak Old Shatterhand się boi? Opuścił nóż, bo strach rozwarł mu pałce!

Zamiast odpowiedzi schyliłem się, udając że chcę podnieść nóż; wiedziałem jednak, że on, jako doświadczony wojownik spróbuje wyzyskać do ataku nadarzącą się sposobność. Zaraz też wykonał rozstrzygający skok, rozstrzygający, bo skokiem tym zdecydował swoją porażkę. Ponieważ ja się schyliłem, więc i on musiał również skurczyć swą wysoką postać, aby trafić mnie w plecy. Ja jednakże błyskawicznie odskoczyłem na bok — wyprostowany. Stałem obok niego i mogłem użyć całej swojej siły, podczas gdy on, schylony, uderzał w miejsce mojego poprzedniego stanowiska. Grzmotnąłem go pięścią w kark; upadł jak wór piasku — bezwładną masą zwałił się na ziemię. Wyrwałem mu nóż z ręki, odwróciłem go, położywszy na wznak, aby ukłęknać mu na piersiach i chciałem przyłożyć ostrze do jego gardła. Było to jednak zbyteczne. Powstrzymał mnie wyraz jego oczu, źrenice szeroko rozwarte i nieruchomo wbite w niebo, jak gdyby szklane. Usta miał również otwarte. Ciemna, spalona wiatrami i słońcem twarz, zastygła w kamiennym bezruchu. Leżał nieruchomo. Powstałem i rzekłem do Winnetou:

— Wódz Apaczów widzi Nalgu Mokaszi leżącego w prochu, a jego nóż w mojej ręce. Niechaj rozstrzygnie kto jest zwycięzcą!

Apacz zbliżył się i ukląkł przed Mimbrenjem, aby go zbadać. Gdy podniósł się, twarz mu oblokła surowa powaga, a głos drżał, gdy rzekł:

— Wódz Apaczów miał rację mówiąc, że Silny Bawół dzisiaj jeszcze uda się do Wiecznych Ostępów. Pięść Old Shatterhanda jest jak głąz; gruchocze bowiem na miążgę nawet wtedy, gdy nie zamierza zabijać!

Silny człowiek może drugiego ogłuszyć uderzeniem, choć go później ręka boli przez parę godzin, ale zabić? Zabić można tylko wtedy, gdy natrafi się na tak czułe miejsce jak skroń. — Wojownicy stali w milczeniu, obydwaj synowie zwyciężonego zwiesili głowy; schyliłem się, aby sprawdzić, czy Winnetou miał słusność.

Oczy wodza patrzyły jak martwe, usta zdradzały paraliż; a tylko serce ledwie, ledwie biło. Żył więc jeszcze. Spróbowałem nacisnąć powieki; ruszył wargami i wydał kilka nieartykułowanych dźwięków. Oczy jego poruszyły się również, jakby szukając kogoś, wreszcie utkwily we mnie. Rozszerzyła je nagle trwoga. Wargi otwierały się i zamykały, jak u wyrzuconej na piasek ryby, jakby chcąc przemówić. Bez skutku jednak. Ciałem wstrząsnęły konwulsyjne drgawki, wskazując, że wódz wyteża siły, aby przezwyciężyć bezwład. Wstałem więc i powiedziałem czerwonym, którzy oczekiwali na rezultat badania z niecierpliwością:

— Nie umarł; żyje. Dusza nie opuściła go jeszcze; ale czy ciało słuchać jej będzie jak dawniej, tego wiedzieć nie mogę; czas to pokaże.

Wtem rozległ się z miejsca, gdzie leżał wódz, długi, przeraźliwy krzyk. Leżący skoczył na równe nogi jak sprężyna i wołał:

— Żyję, żyję, żyję! Mogę mówić, poruszać się mogę! Nie umarłem, nie odszedłem do Wiecznych Ostępów!

Wówczas wyjął mi Winnetou nóż z ręki, pokazał wodzowi i spytał:

— Czy Nalgu Mokaszi przyznaje, że został zwyciężony? Old Shatterhand mógł go zakłuć, pragnął jednak oszczędzić.

Mimbrenjo podniósł z wolna rękę, wskazał na mnie sztywno, a twarz jego przybrała wyraz zgrozy:

— Biała twarz ma w pięści wcieloną śmierć. Jak to strasznie jest żyć, a jednak być umarłym. Stokroć wolałbym umrzeć, umrzeć naprawdę. Niech Old Shatterhand uderzy mnie nożem w serce, lecz tak, abym nie mógł już słyszeć ani widzieć!

Stanął przede mną i przybrał postawę człowieka oczekującego śmiertelnego ciosu. Ująłem Silnego Bawołu za rękę, zaprowadziłem do miejsca, gdzie stali obydwaj jego synowie i powiedziałem do młodszego z nich:

— Twój starszy brat otrzymał ode mnie imię; ty otrzymasz nie mniejszy podarek: daruję ci twego ojca. Weź go i upomnij, by już nigdy nie zwątpił w Old Shatterhanda!

Stary spojrział na mnie badawczo, jakby ze zdziwieniem i spuścił wzrok ku ziemi:

— To jeszcze gorsze od śmierci! Składasz moje życie w ręce dziecka! — rzeki — Stare *squaw* będą mnie wytykać palcami, bezzębne usta szeptać jedne drugim, że zwyciężyłeś mnie, a teraz należę do chłopca, który nie ma imienia. Życie moje będzie piastowaniem hańby!

— Nigdy! Nie jest hańbą ulec w pojedynku, a twój młodszy syn uzyska niebawem tak samo słynne imię, jak jego starszy brat. Nie zabrano ci czci. Spytaj Winnetou i starszych twego szczepu; potwierdzą moje zdanie!

Odwrociłem się i oddaliłem, by ująć dalszym sprzeciwom. Co prawda, darowizna moja była dla niego ciosem, nie lżejszym od tego, jaki otrzymał w kark. Wrócił na swoje miejsce, przykucnął ze smutkiem. Reszta wojowników podążyła również do swych koców, ale nikt nie mógł już usnąć. Gdy po upływie oznaczonego czasu zluzował mnie Winnetou:

— Czy mój brat Shatterhand — zapytał — uderzył już kiedy tak, by nie ogłuszyć, a pomimo to odebrać duszy władzę nad ciałem?

— Nie.

— Było to straszne! Czy ten bezwład mógł długo potrwać?

— Tygodniami, miesiącami, a nawet latami całymi!

— A więc niech mój biały brat nigdy już nie zadaje ciosu w kark; lepiej wroga zabić od razu! Silny Bawół nie zmusi cię więcej do walki. Zgaduję, o czym mówiłeś z Vete—ya. Żądał pewnie, abyś go już dzisiaj uwolnił?

— Tak.

— Lecz nie odpowiedział jeszcze na twoje pytania?

— Nie.

— Nigdy zresztą nie powie prawdy; okłamię cię. Żądając natychmiastowego uwolnienia, okazał czelność, godną zwierzęcia, które się żywi padliną! Zasługuje na śmierć przy palu męczarni! Jaki los go czeka?

— Ten sam, jaki mu przeznaczył Winnetou.

— Moje myśli są twoimi. Old Shatterhand i Winnetou nie łakną krwi, ale nie mogą uratować Wielkich Ust. Gdybyśmy go uwolnili, wina za wszystkie jego późniejsze zbrodnie spadłaby na nasze głowy. Jest śmiertelnym wrogiem Mimbrenjów. Niechaj go wezmą ze sobą, aby osądzić według swych praw i obyczajów.

Więc znów zgadzały się nasze zdania. Byliśmy jak to pospolicie zwać „jednym sercem, jedną duszą”.

Niespodziewany pojedynek nie wyprowadził mnie bynajmniej z równowagi. Usnąłem tak mocno, że nie ocknąłem się sam, a musiano mnie budzić. W oznaczonym czasie wyruszyliśmy. Jazda obeszła się bez żadnego wypadku.

Przed wieczorem dotarliśmy do wąskiego wąwozu, którego wylot leżał przy obozie tych wojowników Yuma, którzy pozostali ze zrabowanymi trzodami. Przewidywaliśmy, że wystawili warty u wylotu; należało więc zachować ostrożność i ludzi na zwiady posiać pieszo, aby nie usłyszano głośnego tu echa kopyt. Ponieważ zadanie było ważne i wąż jako tako znałem, więc sam objąłem rolę wywiadowcy. Gdy usłyszał o tym mój młody przyjaciel Yuma Shetar, zbliżył się do mnie i rzekł:

— Czy Old Shatterhand zechce mi wybaczyć, jeśli odważę się zgłosić prośbę?

— Mów!

— Old Shatterhand ma zamiar iść na zwiady. Znam również okolicę. Czy mogę mu towarzyszyć?



— Co prawda towarzysz przydałby się, lecz ty już dość uczyniłeś i pozyskałeś nawet imię. Droga do wielkich czynów stoi dla ciebie, jako wojownika, otworem. Dlatego wolałbym otworzyć wrota sławy innemu. Przyślij młodszego brata. Będzie mi towarzyszył!

Mały Yuma Shetar wolałby, abym spełnił jego prośbę, lecz ponieważ odrzuciłem ją ze względu na jego brata, odpowiedział z radością:

— Mój wielki biały brat ma serce pełne dobroci i łaski. Młodszy brat Yumy Shetara okaże się godnym jego zaufania; umrze raczej, niżby miał popełnić jakiś błąd!

Pochód musiano zatrzymać z obawy przed wartownikiem Yuma, który mógł stać w wąwozie i zobaczyć nas z daleka. A przy tym nie dowierzałem jeńcom. Łatwo mogli zaalarmować swoich, gdyby ci byli w pobliżu, a wtedy nie zaskoczylibyśmy ich zniemacka. Zatrzymano się więc; zsiadliśmy z koni i ja wraz z chłopcem ruszyłem pieszo.

Szedł za mną w milczeniu. Czasem oglądałem się poza siebie, by sprawić sobie przyjemność popatrzenia na jego minę. Czuł się dumny z mojego wyboru i doniosłości naszej wyprawy, stąd więc pochodził wyraz szczęścia i pewności siebie, rozlany na jego miękkich rysach.

Różnica między mną, dorosłym wojownikiem, a nim, chłopcem, nie pozwalała mu chodzić ze mną w jednym rzędzie; jednakże zauważyłem, że od czasu do czasu czynił parę szybkich kroków naprzód, by zaraz się cofnąć. Miał coś na sercu; chciał mi coś powiedzieć, lecz nie śmiał rozpocząć rozmowy. Dlatego zwolniłem kroku i rzekłem:

— Niech mój młody brat idzie przy moim boku!

Usłuchał natychmiast; uprzejmym wahaniem okazałby tylko nieposłuszeństwo.

— Mój młody brat życzy sobie rozmawiać ze mną — ciągnąłem dalej.

— Niech przemówi.

Mądre jego oczy rzuciły spojrzenie pełne wdzięczności, lecz nie odezwał się ani słowem. Więc nie wypowiedź, tylko pytanie ciążyło mu na sercu. Nie mógł go postawić, bo dopuszczając rozmowę, nie upoważniłem go jeszcze do zadawania pytań.

— Wiem co mój czerwony brat ma na języku, — mówiłem dalej.

— Czy mam mu to powiedzieć?

— Old Shatterhand powie, gdy zechce.

— Chodzi o twojego ojca, Nalgu Mokaszi. Czy mam rację?

— Old Shatterhand trafia zawsze w sedno.

— Chciałbyś mnie spytać, dlaczego podarowałem ci jego życie?

— Tak. Nie mogłem się jednak na to odważyć.

— Wyczytałem pytanie w twojej twarzy. Powinieneś mówić do mnie jak do swego rówieśnika.

— Jeśli Old Shatterhand pozwala, to powiem mu, że mój ojciec umrze!

— Dlaczego tak sądzisz?

— Poznaję po nim, a mój starszy brat jest tego samego zdania. Zabije się, gdyż nie zniesie podwójnej hańby.

— Nie jest hańbą ulec w walce ze mną. Zwyciężyłem niegdyś Winnetou, zanim został moim bratem. Spytaj go, czy się tego wstydzi. Pomów z ojcem. Duma nie pozwoli mu zagadnąć mnie o to, lecz ty jesteś jego synem, ciebie wysłucha. Mówiłeś jednak o podwójnej hańbie. Czy masz na myśli to, że darowałem tobie jego życie?

— Tak.

— Czy doprawdy sądzisz, że to hańba?

— Bardzo wielka. Dlaczegoś tak uczynił?

— Aby oszczędzić mu sromoty; nie chciałem Nalgu Mokaszi podarować życia bezpośrednio. To, co nazywasz hańbą, nie jest nią, owszem, jest zmyciem hańby.

— Jestem chłopcem, nie znam się na tym; ale jeśli tak mówi Old Shatterhand, z pewnością to prawda.

— Tak, to prawda. Powtarzam: okoliczność, że zwyciężyłem twego ojca, nie jest dla niego hańbą. Wszyscy czerwoni mężowie wiedzą, jak trudno jest mnie pokonać. Lecz gniew poniósł go tak daleko, że łaknął mojej krwi; na pewno nie oszczędziłby mnie, lecz zakłuł bezlitośnie; z tego wynika, że jeśli bym mu bezpośrednio darował życie, już zawsze ciążyłaby na nim plama. Teraz jego życie należy do ciebie, a ponieważ jesteś jego synem, więc może je przyjąć z twych rąk jako datek, który nie zarumieni wstydem jego oblicza, czy rozumiesz mnie?

Pomyślał chwilę i odparł:

— Serce moje pełne było troski o ojca, ale teraz stało się lekkie. Słowa Old Shatterhanda są mądre i prawdziwe. Postępowanie jego jest bez zarzutu i nie wiem, czy inny wojownik potrafiłby cię naśladować. Ojciec mój żyć nadal może bez wstydu. W zamian za to życie, moje od tej chwili należy do mego wielkiego białego brata. Old Shatterhand wyrzeknie słowo, a gotów jestem pójść na śmierć!

— Nie życzę sobie takiej ofiary, powinieneś żyć, aby zostać nie tylko dzielnym wojownikiem, ale i dobrym człowiekiem. Nie w mojej mocy natchnąć człowieka dobrocią; musisz sam dążyć do tego i nigdy nie postępować niesprawiedliwie; mogę cię tylko zaprawić w odwadze i dzielności. Postaram się, abyś zawsze był w pobliżu mnie, dopóki zabawię w tych okolicach.

Schwycił jeden palec mojej ręki, całej bowiem nie odważył się uścisnąć i przyłożył go do swojej piersi, mówiąc głosem płynącym z głębi serca:

— Przedtem przyrzekłem oddać życie mojemu wielkiemu białemu bratu; teraz zaś pragnę tylko jednego, abym je mógł poświęcić za Old Shatterhanda!

— Wiem, wiem! Jesteś wdzięcznym chłopcem, a kto nie zapomina o wdzięczności, ten wędruje drogą wszystkich cnót i zalet!

Mały westchnął głęboko. Słowa moje dotarły do głębi jego serca i na pewno padły na żyzny grunt.

Nastał mrok. W wąwozie było już ciemno. Musieliśmy więc pilnie uważać. Szczęściem, chłopiec umiał chodzić bez szelestu. Indianie ćwiczą się od wczesnej młodości w tej sztuce, bo prawdziwie jest sztuką skradanie się bez szmeru.

Okazało się, że w wąwozie nie ma ani jednego nieprzyjaciela. Doszliśmy do wyjścia przy ostatnim blasku dnia, który pozwolił nam rozejrzeć się w sytuacji.

Gdy byłem jeńcem Yuma, obozowaliśmy nie opodal wąwozu. Tymczasem pasące się zwierzęta zjadły całą roślinność i dlatego musiały się oddalić wraz z pasterzami znacznie dalej. Ujrzelśmy bydło z daleka, konie i krowy wielkości owczarków; Indianie pilnujący ich wyglądali na trzyletnie dzieciaki.

Tylko jeden z nich zdawał się być większy, ponieważ był bliżej nas. Tak, zbliżał się widocznie do nas, to znaczy do ujścia wąwozu. Aby zbadać stopień inteligencji chłopca zapytałem:

— Widzisz Yuma, który zbliża się do nas. Czy zbliży się zupełnie, czy też zawróci?

— Przyjdzie, by stanąć tutaj, oczekując wojowników, którzy pogonili za tobą.

— Czy to nie zbyteczne?

— Nie. Ma im powiedzieć, gdy nadejdą, w jakim miejscu znajdą pozostałych czerwonych.

— Znaleźliby ich łatwo, kierując się światłem ognisk.

— Nie, są zbyt ostrożni, by rozpaścić ognisko. Nie wiedzą, czy ich towarzyszom udało się schwytać Old Shatterhanda, a ty jesteś wszak niebezpiecznym człowiekiem dla wrogów.

— Hm! Dlaczego ten czerwony dopiero teraz przychodzi? Dlaczego nie ustawili wart już za dnia?

— Gdyż oczekiwani zobaczą przy świetle dziennym trzody już z dala, nie potrzeba więc im przewodnika.

— Słusznie. Odpowiedzi dawałeś mi rozumne. Ale sama wiedza nie wystarcza, trzeba umieć działać.

— Old Shatterhand powie mi, co mam uczynić! Jestem na jego rozkazy!

— Chciałbym pojmać tego Yuma!

Ciemna twarz chłopca zaczerwieniła się jeszcze bardziej, gdy odparł.

— Gdy Old Shatterhand wyciągnie ramię, nie ujdzie mu żaden wojownik Yuma.

— A czy ty nie masz również rąk?

Spojrzał na mnie błyszczącym wzrokiem, lecz rzekł:

— Moje dłonie są rękoma chłopca, który nie powinien działać w obecności wielkiego wojownika.

— Wielki wojownik pozwala ci na to. Powinieneś pokazać ojcu, że byłeś przy moim boku.

— A więc zastrzeżę go!

— Nie. Jego towarzysze usłyszeli by wystrzał. Powiedziałem ci, że chcę go mieć żywcem.

— Old Shatterhan powie, czego ode mnie żąda.

— Sam powinieneś wiedzieć, co czynić. Czyn twój nie będzie samodzielny, jeśli wspierać cię mam swoją radą. Rozważ więc prędko, póki nie jest za późno!

Spojrzał na Yumę, aby oszacować odległość dzielącą nas od niego, a następnie przebiegł wzrokiem po okolicy. Twarz jego przybrała stanowczy wyraz.

— Wiem co uczynię — odezwał się. — Stoimy teraz u wylotu wąwozu. Yuma nie zostanie na zewnątrz, lecz wejdzie do środka.

— Być może.

— Wybieram sobie ukrycie, w którym zostanę, dopóki nie nadejdzie. Potem skradam się za nim, uderzam kolbą w głowę.

— Gdzie obierzesz miejsce?

— Tuż za nami, w skale.

Parę kroków dalej ściana tworzyła skalną niszę szerokości może dwu łokci. Przechodząc obok, nie można było dostrzec ukrytego w niej człowieka. Dlatego spytałem:

— Nisza dość wysoko, a ściana gładka. Jak się tam dostaniesz?

— To nic — odpowiedział lekceważąco.

— Mogę dostać się daleko wyżej.

— Ale usłyszysz cię, gdy zeskoczysz.

— Nie zeskoczę, tylko cicho się zsunę.

— A więc prędeż! Już czas!

— Gdzie ukryje się tymczasem Old Shatterhand?

— To moja sprawa. Nie licz na mnie. Jeśli nie postąpisz zręcznie i prędko, przeciwnik cię zabije.

Odpowiedział dumnie:

— Żaden Yuma nie zabije Mimbrenja! Schwytam go i pošlę do pala!

Był zręcznym gimnastykiem; w jednej chwili stał już na skale. Wrósł w nią tak, że nie mogłem go dostrzec.

Teraz i dla mnie był najwyższy czas się ukryć. Yuma dzieliło od nas najwyżej trzysta kroków. Powróciłem więc spiesznie i ukryłem się za wielkim głazem. Przedsięwzięcie było dla małego bohatera, pomimo mojej obecności, dość niebezpieczne. Gdyby Yuma zauważył go przedwcześnie i przyszedł do walki, nie zdążyłbym mu pomóc, nie mogąc strzelać, gdyż zaalarmowałbym czerwonych. Czekałem więc z niecierpliwością i biciem serca na wypadki, tym bardziej, że byłem za nie odpowiedzialny. Z całego serca życzyłem chłopcu powodzenia. Chętnie dałbym mu imię, jak starszemu bratu. Winienem mu był bowiem wdzięczność, za szybkie sprowadzenie pomocy.

Ciemność ułatwiała wykonanie zamiaru. Prócz tego okazało się coś, czego nie przypuszczaliśmy. Yuma nie zapuścił się w wąwóz, tylko chodził przed nim tam i z powrotem. Kilkakrotnie mijał skałę, gdzie leżał zaczajony chłopiec; odległość była jednak zbyt duża, aby go dosięgnąć kolbą.

Sądząc, że mały Mimbrenjo zaczeka, aż Yuma się zbliży zupełnie, uzbroiłem się w cierpliwość. Przeszło pięć minut, znowu pięć; było tak ciemno, że widziałem zaledwie na odległość dwudziestu kroków. Nasłuchiwałem i chciałem właśnie opuścić kryjówkę, by w razie potrzeby nieść malcu pomoc, gdy usłyszałem odgłos uderzenia, przypominający pusty dźwięk, jaki wydaje kij bijący w próżną tykwę. Było to więc uderzenie zadane wojownikowi Yuma. Stałem na miejscu nasłuchując. Dobięły mnie zduszone jęki, potem powtórzył się poprzedni szmer. Yuma dostał w głowę po raz drugi. Teraz już nie troszczyłem się o chłopca, czekałem tylko, co zrobi. Po upływie krótkiego czasu usłyszałem kroki, a potem zawołał na mnie półgłosem i stanął tuż obok. Spytałem:

— No, jak się wywiązał mój młody brat z zadania? Czy mu się udało?

— Tak. Yuma chodził pod moją kryjówką tam i z powrotem; uderzyłem go tak silnie, że upadł. Jęczał i chciał się podnieść; zeskoczyłem na dół i zadałem mu cios ponownie; zamilkł, leżał nieruchomo. Związałem go lassem. Nie wiem czy żyje, czy też go zabiłem.

— To się okaże. Chodź, zobaczymy!

Zbadałem leżącego Yumę. Ocknął się już z chwilowego ogłuszenia. Nie wołał na pomoc, gdyż nie wiedział z iloma przeciwnikami ma do czynienia, a zresztą towarzysze nie usłyszeli go z takiej odległości.

Wypróżniłem mu kieszenie; zawartość miały nad wyraz marną. Uzbrojony był tylko w nóż i luk z kołczanem, w którym tkwiły cztery kiepskie strzały. Życzyłbym sobie większej zdobyczy dla mojego małego bohatera, gdyż u czerwonych czyn mierzy się zdobyczą.

Teraz należało powrócić, wzięwszy ze sobą jeńca. Wiedziałem, że niedługo zluzują go, musieliśmy więc być tutaj na czas znowu, aby przyjąć jego następcę. Było do przewidzenia, że ten ostatni, nie zastawszy swojego poprzednika, zaalarmuje wszystkich. Dlatego zapytałem Yuma:

— Czy poznajesz mnie?

— Old Shatterhand! — zawołał, patrząc na mnie z przerażeniem.

— Tak, poznaję cię!

— Jeśli ci miłe życie, nie krzycz i odpowiedz prawdę na moje pytania. Czy od czasu mojej ucieczki przyłączyli się do was jeszcze jacyś Yuma?

— Nie.

— A czy zdarzyło się coś ważnego?

— Nie.

— Kiedy cię zluzują?

— Po upływie podwójnego czasu, który biali zwą godziną.

— Teraz pójdziesz z nami. Rozwiążę ci więzy na nogach, abys mógł chodzić. Jeśli będziesz usiłował uciec, zabiję cię na miejscu!

Zwolniłem mu lasso z nóg, silnie skrepowiałem ramiona i przywiązałem do siebie, aby upewnić się, że nie ucieknie. Teraz spiesznie powróciliśmy pomimo ciemności, nie obawiając się, jak za dnia, że nas ujrzą Indianie.

Po powrocie objaśniłem Winnetou, gdzie obozują Yuma.

— Będzie bardzo łatwo ich schwytać — rzekł. — Naturalnie, nie weźmiemy ze sobą jeńców, gdyż mogliby nas zdradzić. Jak sądzi mój brat Shatterhand, ilu Mimbrenjów wystarczy do napadu, aby żaden Yuma nie uszedł?

— Połowa wystarczy w zupełności, lecz zawsze lepiej wziąć ich więcej, gdyż trzeba liczyć się z nieprzewidywanymi okolicznościami.

— A druga połowa wystarczy, by dopilnować jeńców?

— Tak.

— Kto nimi będzie dowodził?

— Silny Bawół, gdyż ja i Winnetou musimy być obecni przy napadzie. Należy udać się przedtem na zwiady, aby zbadać położenie Yuma. Musimy iść sami; przedsięwzięcie wymaga biegłości, nie zapalili bowiem ognisk.

— Wolałbym zostać z Nalgu Mokaszi, gdyż nie dowierzam mu tak dalece, jak dawniej; nie jest ani ostrożny, ani przezorny. Od czasu pojedynku z Old Shatterhandem stał się innym człowiekiem. Wzrok jego zwrócony jest do wewnątrz; nie interesuje go to, co się dzieje wokoło.

— To nie przeszkadza oddać mu pieczy nad jeńcami. Nie troszczył się o nich, gdyż było to zbyt łatwe; ale teraz będzie czuwał. Pojedynek był właśnie skutkiem jego nienawiści do Yuma.. Zdawało mu się, że chce czerwonych, a naprzód wodza, uwolnić. On zaś pragnie ich widzieć przy palu męczarni i na pewno nie popełni błędu, który by pozwolił bodaj jednemu uciec. Pomówię z nim.

Silny Bawół nie słyszał mojej rozmowy z Winnetou, gdyż oddalił się od nas. Podeszedłem do niego prowadząc i syna i jeńca.

— Dlaczego wódz Mimbrenjów nie zasiada przy Winnetou? — spytałem. — Winnetou ma mu coś ważnego do powiedzenia.

— Nie ma dla mnie nic ważniejszego od utraconej sławy! — odpowiedział ponuro.

— A czy sława twych synów nie jest dla ciebie równie ważna?

— Czy mówisz o Yuma Shetarze?

— Nie; o młodszym.

— Ten nie ma ani sławy, ani imienia; nie mam po co o nim myśleć.

— Mylisz się. Zostanie sławnym wojownikiem. Dowiódł mi tego.

— Że z tobą poszedł? Zobaczyć, czy Yuma znajdują się w wąwozie, to żaden bohaterski czyn. Wyspiegować nieprzyjaciela potrafi każdy chłopiec Mimbrenjów.

— Ale pobić wroga i zabrać do niewoli, temu chyba nie każdy podoła? Twój syn jednak nie zawiódł moich nadziei. Tu oto stoi Yuma, którego pojmał.

— Mów prawdę! Sam go schwytałeś i podarowałeś chłopcu, podobnie jak podarowałeś mu moje życie.

— Nie! Uczynił to bez żadnej pomocy. Odszedłem, a on podkradł się do Yuma, jednym uderzeniem powalił go na ziemię i związał lassem. Gdy powróciłem było już po wszystkim.

Twarz starego zmieniła się nie do poznania. Podniósł się, położył synowi rękę na głowie i rzekł;

— Jesteś moim młodszym synem, nie powinienes jednak zazdrościć starszemu bratu sławy, ani imienia. Old Shatterhand jest z nami i pokaże ci drogę, na której osiągniesz imię. Jeniec jest twój, otrzyma z twojej ręki śmiertelny cios przy palu męczeńskim!

— Musisz się troszczyć o to, by jeńcy rzeczywiście dotarli na miejsce kaźni — napomknąłem. — Teraz oddamy Yuma twojej pieczy; w tym celu zostawimy ci połowę wojowników.

— A z drugą połową chcecie pojmać resztę Yuma? Ja zaś mam tutaj beczynnienie pozostać? Dlaczego nie chcecie mnie zabrać ze sobą?

— Gdyż jeden z nas trzech, ty, Winnetou, lub ja musi pozostać, a wiemy, że twoja czujność jest większa od naszej. Jeńcy należą do ciebie, musisz więc ich pilnować.

— Mój biały brat ma rację. Dopóki jestem tutaj, nie uda się żadnemu z tych psów ująć. Możecie być spokojni!

— Dobrze. Przygotuj się wyruszyć za nami, kiedy powiadomi cię nasz goniec.

Wybrano wojowników, którzy mieli nam towarzyszyć; wsiedliśmy na koń i skierowali do wylotu wąwozu; tam oddaliśmy wierzchowce kilku wojownikom, którzy mieli ich dopilnować. Lada chwila mogła nastąpić zmiana wart u Yuma. Obawiając się, by czerwony nie usłyszał rżenia koni, poszedłem wraz z Winnetou naprzeciw niego. Kierunek był mi znajomy. O kilkaset kroków za wąwozem stanęliśmy, aby nasłuchiwać. Po upływie paru minut usłyszałem

kroki. Rozeszliśmy się, ja na lewo, Winnetou na prawo; gdy Yuma chciał przejść pomiędzy nami, został schwytyany z obydwu stron i zawleczony do naszych posterunków w wąwozie.

Poszliśmy z Winnetou wytropić obóz Yuma. Nie zapalili ognisk; pomimo to wywiązaliśmy się z zadania już po upływie pół godziny. Powróciłem, aby wydać naszym ludziom rozkazy. Wrogowie mimo woli ułatwili nam zadanie. Siedzieli wszyscy razem pośrodku pastwiska, tylko czterech przechadzało się pilnując stad. Gdyby udało się nam unieszkodliwić tych czterech bez hałasu, z łatwością moglibyśmy resztę okrążyć tak, że musieliby poddać się bezzwłocznie. W przeciwnym razie, gdyby któryś z nich wszczął alarm, zmuszeni bylibyśmy użyć broni.

Na szczęście przemoc okazała się zbyt uczynna. Z łatwością pojмалиśmy czterech wartowników; jednego z nich posłałem do reszty okrążonych Yuma, by przedstawił im beznadziejność położenia. Dałem Yuma dziesięć minut do namysłu. Po upływie tego czasu znaleźliby się pod gradem kul. Byli na tyle przezorni, czy tchórzliwi, że poddali się przed upływem terminu.

Rozpalono ogniska i przyprowadzono konie; posłałem gońca do Nalgu Mokaszi, wzywając go do wyruszenia. W obozie zawrzała burza. Obejrzelśmy trzody zrabowane hacjenderowi; kilka sztuk padło przy tym pastwą naszej żarłoczności. Sądziłem, że nie weźmie nam tego za złe. Mieliśmy wszak solenny zamiar oddać mu uprowadzone zwierzęta! Postanowiliśmy z Winnetou wyruszyć zaraz nazajutrz z trzodami do hacjendy. Gdy powiedziałem o tym wodzowi Mimbrenjów, spytał:

— A co się stanie tymczasem z jeńcami?

— Jeńcy są twoją własnością. Zrób z nimi co ci się podoba — odparł Winnetou.

— Zabiorę ich na pastwiska mego szczepu, gdzie urządzimy sąd nad nimi.

— Będą ci do tego potrzebni wojownicy, a Old Shatterhand i ja nie popędzimy przecież sami trzód do hacjendy!

— Dam wam pięćdziesięciu ludzi do pomocy. Oczekiwaliśmy naturalnie tej propozycji i przyjęliśmy ją z wdzięcznością. Należało pomówić jeszcze z Vete-ya, aby dowiedzieć się o zamiarach mormonów. Co prawda byłem przekonany, że będzie się strzegł wyjawiać całą prawdę, bądź co bądź jednak miałem nadzieję wycisnąć z niego przynajmniej tyle, że reszty dopełnię wnioskami własnymi. Wiedziałem, że Yuma sam mnie zaczepi, gdy tylko spostrzeże. Dlatego zbliżyłem się do niego udając że badam więzy jeńców. Gdy pomacałem jego ramię, spytał gniewnie, lecz tak cicho, abym tylko ja słyszał:

— Dlaczego napadłeś moich wojowników?

— Ponieważ są naszymi wrogami.

— Ale po co to uczyniłeś, skoro musisz dotrzymać przyrzeczenia i zwolnić ich znowu?

— Musiałem im wszakże odebrać zrabowane trzody; chcę je zwrócić hacjenderowi.

— Don Timoteowi Pruchillo?

— Tak.

— On nie jest już hacjenderem! — zaśmiał się czerwony.

— Tak?

— Teraz jest nim blada twarz, którą zwiecie Meltonem.

— Melton? W jaki sposób u Ucha został hacjenderem?

— Odkupił hacjendę od don Timotea. A może jemu chcesz oddać bydło?

— Tego by jeszcze brakowało. Dostarczę je don Timoteowi Pruchillo.

— Nie znajdziesz go. Wyjechał z kraju.

— Skąd wiesz o tym?

— Od Meltona, który to postanowił z Wellerem.

— Melton, jako właściciel mieszka w hacjendzie?

— Nie.

— Gdzie jest więc?

— Na... w...

Przerwał, jękając się; początkowo chciał mi powiedzieć, lecz teraz się rozmyślił i gdy powtórzyłem pytanie, odparł:

— Nie wiem.

— Właśnie chciałeś mi odpowiedzieć, a teraz poczynasz kręcić! W takim razie powiedz mi, co się stało z białymi wychodźcami?!

— Muszą... są... znajdują się... Znowu zaczął się jękać.

— Mówże wreszcie! — krzyknąłem na niego.

— Kiedy nie wiem.

— A jednak poznałem po twojej minie, że wiesz o wszystkim doskonale.

— Skądże mam o tym wiedzieć? Wszyscy ludzie, o których mówisz, byli moimi jeńcami. Wiesz, że zwróciłem im wolność. Jakże mam wiedzieć, co uczynili i gdzie obecnie przebywają?

— Musisz wiedzieć, gdyż poznałeś plany Meltona. Za jego namową napadłeś na hacjendę.

— Kto cię tak haniebnie okłamał?

— To nie kłamstwo, lecz szczerą prawdą. Gdy Melton był w drodze z emigrantami, odwiedziłeś go z Wellerem i uradziliście cały plan.

— To również bezczelne kłamstwo! — Nie łgaj! Sam was podglądałem.

— A więc uległeś pomyłce.

— Mam dobre oczy; nie zawiodły mnie nigdy. Uporczywe kłamstwo nie przyniesie ci pożytku. Chcę i muszę bezwarunkowo wiedzieć, co stało się z emigrantami po napadzie i spaleniu hacjendy.

— Ja ci tego nie mogę powiedzieć, bo sam nic nie wiem.

— A jednak wiesz. Przysiękłeś powiedzieć mi prawdę.

— A ty! Czy nie przysiękłeś nas uwolnić? Zamiast wypełnić słowo, bierzesz nas wszystkich do niewoli!

— Spełnię je, gdy ty dotrzymasz swego.

— Dotrzymałem, powiedziałem ci wszystko.

— To wierutne kłamstwo, nie będę się jednak z tobą sprzeczał! Bylibyśmy skwitowani ze sobą, gdyby każdy z nas spełnił przysiężenie; teraz jesteśmy również w porządku, wszak słów nie dotrzymaliśmy obaj. Dzisiaj jestem po raz ostatni z wami. Jutro o świcie odłączę się od Silnego Bawołu, który powiedzie was do swoich pastwisk, gdzie zginiecie śmiercią męczeńską.

Udałem, że chce odejść. To pomogło. Jutro rozłąka!! Miał nadzieję odzyskać z moją pomocą wolność. A ja odjeżdżam ze świtem! Nie mógł spodziewać się łaski z rąk Nalgu Mokaszi.

— Poczekaj jeszcze! — zawołał, gdy oddaliłem się na kilka kroków.

— Więc? — spytałem, odwróciwszy się.

— Czy doprawdy uwolnisz nas, jeśli powiem prawdę?

— Tak, ale ty nie wiesz przecież o niczym!

— Wiem wszystko, lecz Melton nakazał mi milczeć.

— Otwórz usta nareszcie! Co się stało z wychodźcami?

— Przedtem musisz dotrzymać słowa! Czy pamiętasz, co powiedziałem gdy nas pojmałeś. Że na pytanie odpowiem tylko jako człowiek wolny!

— A ja oświadczyłem, że nie wrócę ci wolności, dopóki nie zdradzisz mi waszych machinacji!

— Obstawiam przy swoim!

— Ja również nie zmienię postanowienia; a więc Nalgu Mokaszi weźmie was jutro ze sobą. Ponownie odwróciłem się, by odejść. Tym razem zaczął dłużej; potem zawołał znowu:

— Niech Old Shatterhand podejdzie raz jeszcze! Powróciłem i napomniałem go stanowczo:

— To moje ostatnie słowo; przede wszystkim musisz mówić, potem cię uwolnię; nigdy w życiu nie postąpię na odwrót. Zdecyduj niezwłocznie! Czy chcesz mówić?

- Tak, lecz mam nadzieję, że i ty natychmiast wprowadzisz swe słowa w czyn!
- Czego przyrzekam, zawsze dotrzymuję. A więc, czy za namową Meltona napadłeś na hacjendę?
- Nie.
- Czy obydwie blade twarze, zwące się Wellerami, zmówiły się z Meltonem?
- Nie.
- Ale Melton kupił hacjendę?
- Tak.
- Co chce uczynić z emigrantami?
- Zwlekał przez chwilę, jakby szukał wymówki, lub też zbierał się, aby wypowiedzieć z góry obmyślane kłamstwo i dopiero, gdy powtórzyłem pytanie, odpowiedział:
- Chce ich sprzedać.
- Sprzedać? Co? Sprzedać ludzi? To niemożliwe!
- To zupełnie możliwe. Ty musisz nawet lepiej o tym wiedzieć ode mnie, bo jesteś bladą twarzą, a tylko biali sprzedają i kupują ludzi. Czy zaprzeczysz, że czarni są również ludźmi? A czy nie handlowano nimi?
- Tutaj nie ma mowy o czarnych. Mówię o bladych twarzach, których się nie sprzedaje w niewolę.
- A jednak kupią ich! Słyszałem, że są kapitanowie okrętów, którzy tak źle obchodzą się z marynarzami, że nikt nie chce przyjmować u nich służby. Kiedy takiemu kapitanowi zabraknie ludzi, kupuje ich lub kradnie.
- Aha! Hm! Czy chcesz przez to powiedzieć, że sprzedano białych wychodźców takiemu właśnie kapitanowi?
- Tak.
- Kto to uczynił?
- Melton. Emigranci należą do niego; może więc z nimi robić, co mu się żywnie podoba. Sprowadził ich z dalekiego kraju i zapłacił za nich bardzo dużo pieniędzy.
- Nie były to jego pieniądze, lecz hacjendera.
- Odkupił od niego hacjendę, a wraz z nią białych. Chciał odebrać pieniądze, a ponieważ nie mogli mu zwrócić, sprzedał wychodźców wódzowi okrętu.
- Skąd wiesz o tym?
- Od niego samego. Zanim zwróciłem mu wolność powiedział mi, że ich sprzeda.
- Gdzież był ten wódz okrętu?
- W Lobos. Teraz powiedziałem ci już wszystko; spełniłem twoje życzenie; żądam byś i ty dotrzymał słowa.
- Czy doprawdy tego żądasz? Tak! Nie w ciemność cię bito, człowieczku; ale nie wzięłeś jednej drobnostki pod uwagę, mianowicie, że istnieją ludzie bardziej przemyślni od ciebie.
- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć! O co ci chodzi?!
- Kto ma zamiar oszukać drugiego, musi być bardziej ostrożny i długo ważyć każde słowo, nim je wypowie, szczególnie jeśli ten drugi ma więcej doświadczenia. Zapamiętaj to sobie! Bo kto o tym nie pamięta, ten sobie gotuje klęskę, ten wpada we własne sidła.
- Historia, którą mi opowiedziałeś to zwyczajne brednie, od początku do końca. Wódz okrętu siedzi tylko w twojej głupiej mózgowicy! Zresztą musisz wiedzieć, że żaden kapitan nie kupuje kobiet, ani dzieci na marynarzy.
- A więc nie wierzysz? Dla ciebie szkoda słowa! Powiedziałem, co wiem od samego Meltona. Spełniłem przyrzeczenie, teraz kolej na ciebie!
- Słusznie. Dałem słowo, że zwrócę ci wolność, jeśli powiesz mi prawdę. Nie jestem więc zobowiązany dotrzymać przyrzeczenia, skoro kłamiesz beczelnie!
- Co słyszę! Nie pomożesz mi uciec?
- Nie!



Gdyby mógł, skoczyłby ze wściekłości. Ponieważ jednak więzy pozwoliły mu zaledwie na wyprostowanie się, zasyczał jadowitym głosem, jak gad:

— Zwiesz mnie kłamcą, ale ty sam jesteś najohydniejszym łgarzem jakiego ziemia nosi! Gdybym miał wolne ręce, udusiłbym cię na miejscu!

— Bardzo wierzę; przynajmniej spróbowałbyś mnie udusić! Ale nie dlatego, że kłamię, lecz że jestem za mądry, aby uwierzyć twoim banialukom. Taki drab jak ty nie potrafi mnie oszukać!

— Sam jesteś podłym kłamcą, drabem...

— Milcz! — przerwałem. — Nie mam z tobą więcej nic do mówienia. Jedno tylko jeszcze ci powiem, że powiedziałaś więcej niż sądzisz, naturalnie bezwiednie. Teraz wiem czego się trzymać; ty zaś pociągniesz jutro jako jeniec Nalgu Mokaszi.

— Nic nie wiesz, zupełnie nic, nigdy się niczego nie dowiesz! — zaśmiał się ironicznie ze sporą dozą utajonej obawy.

Odszedłem, lecz wkrótce zatrzymałem się, gdyż podczas rozmowy z Vete-ya dobiegły mnie jakieś podejrzanym szmery z poza krzaku, obok którego leżałem. Ktoś się z pewnością ukrył; wiedziałem, kto to mógł być, a gdy spojrzałem na miejsce, gdzie powinien leżeć Silny Bawół, tam go nie było. Ponownie skierowawszy oczy w krzak, spostrzegłem jakąś postać oddalającą się, schyloną.

Znalazł się jednak wzrok znacznie ostrzejszy od mojego; kiedy usiadłem przy Winnetou, Apacz zwrócił się do mnie:

— Mój biały brat mówił z Vete-ya. Czy widział krzak, przy którym leżał wódz Yuma?

— Tak.

— Czy widział również tego, który się za nim ukrywał?

— Tak.

— Nalgu Mokaszi ciągle jeszcze pełen jest nieufności, ale teraz przekonał się wreszcie, jak dalece zbłądził.

Tak niezwykłą inteligencję posiadał Winnetou. Widział tylko, jak rozmawiałem z Vete-ya, nie słyszał ani jednego słowa, a jednak zmiarkował, że rozmowa nasza dosięgła celu i sprawa została załatwiona.

Silny Bawół przeglądał swych ludzi; chciał minąć nas, nie zwracając uwagi, lecz zatrzymał go Winnetou:

— Niech mój czerwony brat usiądzie przy nas. Mamy ważne rzeczy do omówienia.

— Jestem gotów wysłuchać — odparł Mimbrenjo, siadając.

— Mój biały brat Shatterhand — ciągnął Winnetou — dowiedział się przed chwilą od Wielkich Ust o wielu rzeczach, które musimy zaraz omówić.

I nagle zaskoczył wodza ironicznym pytaniem:

— Nalgu Mokaszi nie widziałem na swoim miejscu... Pewno poszedł zobaczyć, czy znajdzie się jakiś krzaczek...

— Nie rozumiem wodza Apaczów — odparł zmieszany Mimbrenjo.

— ...za którym mógłby się ukryć, aby usłyszeć o czym mówi Old Shatterhand z wodzem Yuma — kończył Winnetou.

— Uff! A więc Winnetou mnie spostrzegł?

— Widziałem tylko jak pełzałeś tam i z powrotem. Teraz będziesz już chyba wiedział, że niesłusznie obraziłeś mego białego brata. Old Shatterhand nie jest zdrajcą, lecz uczciwym człowiekiem. A człowiekiem złym jest ten, kto niesłusznie dotknął bliźniego, nie wyznając świadomie, iż nie ma słuszności.

To pośrednie wezwanie, ukryte w ostatnich słowach Apacza, zmieszało wodza do reszty. Przez chwilę walczyła duma z jego poczuciem sprawiedliwości, zanim wreszcie wzięło ono górę:

— Tak, dotknąłem ciężko, a niesłusznie mego dobrego białego brata. Nazwałem go zdrajcą. To największa obelga, jaką można obrzucić zwyczajnego wojownika; jakże ją tedy nazwać, skoro zwrócona była przeciwko Old Shatterhandowi! Wiem, że nie wybaczy mi jej nigdy!

— Wybaczam ci — uspokoiłem go. — Masz porywcze ramię, ale serce dobre. Jeśli przyznajesz, żeś nie miał słuszności, nie mogę dłużej chować żalu do ciebie!

— Tak, wyznaję i powiem o tym wszystkim, którzy słyszeli jak cię obraziłem. Nigdy już nie zwątpię w ciebie!

— Mam nadzieję! Nie tylko ze względu na naszą przyjaźń, lecz i z wielu powodów, z których najmniejszym będzie pożytek, jaki z tego odniesiesz. Lecz nie mówmy już o tym!

— Tak. Dajmy temu pokój; nigdy już nic podobnego się nie powtórzy. Z drugiej jednak strony nie rozumiem wielu rzeczy z tego, o czym mówiłeś z Vete-ya.

— Wiem o tym. Ten tylko mógł je rozumieć, kto znał moje myśli.

— Nie uwierzyłeś w jego opowieść o tym kapitanie?

— Nie.

— A więc białych emigrantów nie sprzedano.

— Nie. W każdym razie nie w sensie Wielkich Ust. Nie sprzedano, lecz oszukano, haniebnie ich oszukano, a uczynili to Melton i dwaj Wellerowie.

Ponieważ Winnetou również przypuszczał tylko, a nie wiedział nic pewnego, więc opowiedziałem całą rozmowę. Wysłuchawszy uważnie, zamyślił się na chwilę głęboko i zapytał:

— Kto sprowadził obcych, hacjendero, czy Melton?

— Hacjendero, don Timoteo Pruchillo.

— A więc zapłacił za nich? — Tak.

— Czy sądzisz, że miał względem nich uczciwe zamiary?

— Jestem o tym przekonany. On również padł ofiarą podstępny.

— Czy Melton odkupił od niego hacjendę?

— Teraz przypuszczam, że tak. Przedtem jednakże kazał na nią napaść, obrabować i spalić, aby mógł potem odkupić za bezcen.

— Czy emigrantów również kupił?

— Sądzę, że tak. W umowie istniał paragraf, na zasadzie którego byli również zobowiązani względem następców hacjendera. Ta okoliczność właśnie nasuwa mi wielkie obawy. Jeśli Melton został ich panem, z pewnością czeka ich niedola.

— — Jednego nie mogę zrozumieć. Kazał hacjendę spustoszyć i spalić, aby pozbawić wartości, a następnie odkupił pogorzelnisko. Więc nie przedstawiając wartości dla hacjendera, dla niego, mimo wszystkich szkód, musi być cennym nabytkiem?

— Słusznie. Ja również nie mogę się domyślić, o co chodzi. Wszystko tam leży w gruzach i zgliszczach. Hodowla bydła i uprawa roli została przerwana na długie lata. Musi być więc inny rodzaj pracy i do niej chce Melton zaprzęgnąć imigrantów. Jestem przekonany, że plan miał gotowy już wówczas, gdy namówił hacjendera, aby sprowadzić imigrantów. W każdym razie kryje się w tym świeże łotrowstwo, przed którym muszę ustrzec moich ziomków.

— Old Shatterhand jest moim bratem; ziomkowie jego są również moimi braćmi. Winnetou odda swoje ramiona i głowę na ich usługi.

— Dziękuję ci. Pomoc twoja jest więcej warta od wielu wojowników! Imigrantom grozi niebezpieczeństwo. Musimy się spieszyć, nie będziemy więc wlekli się z trzodami, które chcemy zwrócić hacjenderowi. Do celu dotarlibyśmy dopiero po czterech dniach.

— Tak, pojedziemy sami. Co uczyni Nalgu Mokasi? Czy będzie nam towarzyszył?

— Pojechałbym chętnie z wami, lecz moi bracia sami przyznają, że lepiej będzie, jeśli pozostaną z jeńcami. Wojownicy Mimbrenjów nie mogą się obejść bez wodza, tym bardziej, że będą podzieleni. Jeńców musimy zabrać ze sobą, a trzody zaprowadzić do hacjendy. Na pasterzy wyznaczę pięciu wojowników, przewodzić im będzie jeden z najbardziej

doświadczonych Mimbrenjów. Stanąwszy w hacjendzie zwrócą się do was po rozkazy, będą was słuchać jak mnie. Zresztą zabiorę jeńców. Im dalej od hacjendy, tym mniej troski o to, że mogą uciec i pomieszać wasze plany.

Były to słowa rozumne. Co do mnie, to nie zależało mi wcale na towarzystwie starego, zgryźliwego choleryka. Wiedziałem, że dojedziemy sami z Winnetou prędzej i łatwiej do celu, niż z tym nieopanowanym i niepohamowanym w gniewie człowiekiem. Dlatego przyklasnałem jego zamiarom, a Apacz rzekł:

— Słowa mojego czerwonego brata są słuszne. Być może, że przydadzą się nam twoi ludzie, gdy odprowadzą trzody. Być może również, że będziemy zmuszeni zawiadomić ich o czymś ważnym, jeżeli ich wyprzedzimy. W tym celu powinien towarzyszyć nam wojownik, który zarazem posłuży za gońca.

— Wolałbym poprosić Silnego Bawołu o obydwu synów — wtrąciłem. — Odważni są, zręczni i dowiedli, że w zupełności nadają się na szybkich posłów. Czy mój brat Winnetou zgadza się ze mną?

— Stanie się tak, jak tego sobie życzy Old Shatterhand — odpowiedział Apacz.

Mimbrenjo nie miał również nic przeciwko temu. Był nawet dumny, że pomimo młodego wieku, na synów jego padł nasz wybór; dlatego przyrzekł wyszukać dla nich dwa najlepsze, najwytrwalsze wierzchowce. Było to nam bardzo na rękę, w przeciwnym bowiem razie nie mogliby dotrzymać nam kroku.

Omówiwszy jeszcze parę szczegółów, udaliśmy się na spoczynek, aby wcześniej ruszyć w drogę. Ledwie świt, przygotowano niezbędne zapasy żywności, obawiałem się, że w spustoszonej hacjendzie nie znajdziemy żadnego wikt. Dosiedliśmy koni. Mimbrenjowie pożegnali się z nami serdecznie. Wodzowi musieliśmy przyrzec, że odwiedzimy go po zakończeniu sprawy, na razie zaś gdyby zaszła potrzeba pomocy, mieliśmy się zwrócić tylko do niego. Pojmani Yuma spoglądali na odjazd spode łba, żegnając nas ponurym wzrokiem. Wódz ich, Vete-ya, zawołał:

— Tam oto jadą ci zdrajcy i potrójni kłamcy. Gdybym nie był pojmany, otrząsnąłbym się z nich, jak z brudnej wody!

Tak, był pojmany. Byłem niemal pewien, że nie wydostanie się z niewoli, a jednak już wkrótce mieliśmy znowu ujrzeć przed sobą tego niebezpiecznego wroga.

## PLAYER

Obawiając się o los emigrantów, co sił popędziliśmy konie, sądziliśmy bowiem, że odpoczną sobie, przybywszy do celu podróży. Już po południu następnego dnia ujrzelśmy pogranicze hacjendy, co prawda młodzi Mimbrenjowie siedzieli na koniach spienionych ze znużenia, nasze jednak byty tak świeże i wypoczęte, jak gdyby teraz dopiero wyruszyły w drogę.

Jechaliśmy znowu kierując się strumieniem; niebawem ujrzelśmy mury, okrążające zgliszcza zabudowań. Nikt nie bronił nam wstępu. Pomimo to ociągałem się z wjazdem na podwórze. Winnetou odgadł myśli moje i rzekł:

— Niech mój brat Shatterhand sam naprzód poszuka. Hacjendę napadli czerwoni mężowie. Jeśli jest tutaj ktoś, a zobaczy nas z daleka, może pomyśleć, że to Yuma. Wtedy niechybnie ucieknie i nie będziemy mieli u kogo zasięgnąć informacji.

Wjechałem więc sam do środka. Podwórze tworzyło chaos rumowisk zczerniałych od dymu; przeszukałem je nie znajdując żywej duszy. Zawróciłem więc poza mur, chociaż słabą miałem nadzieję, że kogoś tam spotkam. Zaledwie znalazłem się za południowym węglem, spostrzegłem człowieka, nadchodzącego wolnym krokiem. Był to biały; miał na sobie długi ciemny surdut, który nadawał mu wygląd duchownego; ujrawszy mnie przystanął zaskoczony.

— *Buenos dias* — pozdrowiłem. — Czy należy pan do tej hacjendy, senior?

— Tak — odpowiedział, mierząc mnie nieprzyjemnym, kłującym wzrokiem.

— Kto jest tu właścicielem?

— Sennor Melton.

— A więc jednak. Szukam go. To mój znajomy.

— Bardzo mi przykro, że pan go nie zastał w domu. Pojechał z poprzednim właścicielem, sennorem Pruchillo, do Ures, aby prawnie zatwierdzić akt kupna.

— A może są tu jego przyjaciele?

— Sennores Wellerowie? Nie. Udali się w górę rzeki, do Fuente de la Roca.

— A robotnicy cudzoziemscy?

— Udali się tam również; przewodzą im właśnie ci dwaj seniores. Oczekują ich tam indianie Yuma. Musisz pan być przyjacielem seniora Meltona, skoro pytasz o niego. Czy mogę wiedzieć, kim...

Urwał, gdy doszliśmy razem właśnie do węgła. Ujrzał Indian, słowa ugrzęzły mu w gardle; wlepił przerażony wzrok w Apacza i zawołał po angielsku, podczas gdy uprzednio posługiwał się językiem hiszpańskim:

— Winnetou! Wszyscy diabli! Tego sprowadził sam szatan! Mówiąc to, a raczej krzyząc, odwrócił się i począł uciekać. Przeskoczył w mgnieniu oka strumień i pobiegł jak ścigany jelen. Pędził tak po gruncie leśnym, usianym popiołem. Gdziekolwiek wystawały pnie spalonych drzew i resztki gałęzi. Winnetou, zobaczywszy go i usłyszawszy, spiął konia, minął mnie i galopem pośpieszył za białym, nie tracąc czasu na objaśnienia. Pięknym łukiem przesadził strumień i puścił się dalej. W każdym razie, wiedział co sądzić o tym człowieku i na pewno poznał z takiej strony, że uważał za stosowne schwytać go i unieszkodliwić.

Była to jednak ciężka sprawa. Niezliczone pnie spalonych drzew trudno było odróżnić od wysokiej na stopę warstwy popiołu. Wierzchowiec, gnając galopem, mógł zranić sobie kopyta tak dotkliwie, że o dalszej jeździe nie byłoby mowy. Spostrzegł to również Winnetou, gdy potknął się kilkakrotnie. Zatrzymał więc konia, zeskoczył i ruszył pieszo.

Gdybym wiedział, kim był ten człowiek i że musieliśmy go dostać w ręce za wszelką cenę, byłbym w pierwszych chwilach i to nader łatwo dał mu kulą w nogę, aby przeszkodzić w ucieczce. Teraz musiałem go poniechać, tym bardziej, że powiedziałem sobie: — Winnetou

chwyci się tego samego środka, skoro uzna, że nikt go nie zdoła przegonić; wszak tylekroć życie nasze zależało od jego nóg. Teraz jednak zawadzała mu nie tylko strzelba, ale wszystkie manatki, podczas gdy tamten nie nosił nic przy sobie i gnany strachem pędził z szybkością, na którą w zwykłych warunkach na pewno by się nie zdobył. Zbyt znacznie wyprzedził Winnetou, aby Apacz mógł go doścignąć w krótkim czasie. W każdym razie wiedziałem, że dopędzi go na dłuższym dystansie, gdyż Apacza cechowała wytrwałość, jaką z pewnością nie mógł się poszczycić ścigany.

Zbieg skierował się w stronę wzgórza, łysego od czasu pożaru, a leżącego poza budynkami hacjendy. Dotarł doń o całą minutę wcześniej od Winnetou i zniknął z drugiej strony. Apacz, znalazłszy się na wzgórzu, z początku chciał się również puścić dalej; przystanął jednak, zamyślił, ocenił wzrokiem odległość dzielącą go od ściganego i podniósł strzelbę do oka. Jednakże zamiast dać ognia, opuścił strzelbę, wykonał ruch ręką, który miał oznaczać „nie, wolę tego zaniechać”, odwrócił się i zszedł z góry. Niebawem dosiadł wierzchowca i powrócił przez strumień.

— Winnetou woli go puścić — rzekł. — Tam, w drugiej kotlinie, jest znów las, który się nie spalił; dotarłby przede mną i nie ujrzałbym go więcej.

— Pomimo to mój brat doścignąłby go na pewno — odparłem.

— Tak, schwytałbym, ale z wielką stratą czasu; być może, przeszło dzień cały musiałbym iść jego śladem, który z trudnością tylko dałoby się odszyfrować. A rzecz niewarta takiego zachodu.

— Brat mój chciał strzelać. Dlaczego tego nie uczynił?

— Chciałem go tylko zranić, ponieważ zaś odległość była zbyt duża, nie byłem pewny swego strzału. Po prawdzie trafiłbym go, być może jednak raniąc niebezpiecznie; a zabijać mimo wszystko nie chciałem; wiem o nim dużo złego, ale nie tyle, abym miał prawo odbierać mu życie.

— Mój brat zna tego człowieka?

— Tak. Mój przyjaciel Shatterhand, zdaje się nie widział go, lecz słyszał o nim z pewnością. Należy do bladych twarzy, zwanych się mormonami, zalicza się do świętych dnia ostatniego, lecz całe jego życie po dziś dzień, to szereg występków. Niebezpieczny to człowiek, nawet morderca; nie zabił jednak nikogo z moich braci, muszę więc darować mu życie.

— A jednakże ścigałeś go! Byłeś więc przekonany, że wyciągniemy korzyści z tego połowu.

— Tak. Ponieważ mieszka w hacjendzie, więc bez wątpienia jest sprzymierzeńcem Meltona; zna zapewne jego zamiary i plany i być może udałoby się nam zmusić go do wyjawienia zamysłów tego bractwa.

— Gdybym wiedział o tym, nie uszedłby; schwytałbym go, gdy rozmawiał ze mną lub zatrzymał kulą w ucieczce. Kim jest ten człowiek, którego nazywasz niebezpiecznym, a nawet mordercą?

— Prawdziwego nazwiska nie znam; zwykle nazywają go „Player — gracz.

— Player! Aha! O tym słyszałem bardzo wiele. Wiesz, że Melton miał brata, słynnego szulera karcianego. Zastrzelił w forcie Uintan oficera i dwóch żołnierzy; pogoniłem za nim, aż do fortu Edwarda. Schwytałem go i wydałem, lecz później zdołał ujść. Player był kamratem tego właśnie Meltona. Latami całymi do spółki łowili ryby w mętnej wodzie i podobno zdarzały się wówczas nie tylko kradzieże i rabunki, ale nawet morderstwa. Znam dobrze dwa, trzy wypadki, których sprawcą był niewątpliwie Player. A więc ten łajdak był tutaj! Na pewno dzięki przyjaźni z bratem poznał Meltona i został jego sprzymierzeńcem; wielka szkoda, że udało mu się uciec.

— A może pogonimy za nim? Old Shatterhand znajdzie tropy równie łatwo jak ja; więc nam nie ujdzie.

— Jestem przekonany, ale Winnetou powiedział słusznie, że zabrałoby to zbyt wiele czasu, który możemy wykorzystać z większym pożytkiem. Player wziął mnie za dobrego znajomego

Meltona i dlatego wyjawiał parę rzeczy, których na pewno teraz żałuje. Muszę o nich powiedzieć memu czerwonemu bratu.

Gdy skończyłem, powtórzył zamyślony:

— Wellerowie udali się z imigrantami nad Fuente de la Roca, a Melton z hacjenderem do Ures. Co mają do roboty ziomkowie Old Shatterhanda nad Fuente?

— Gdybym wiedział! Czy Winnetou zna to miejsce?

— Raz polowałem tam w górze parę dni, udając się z Chihuahua do Sonory; nocowałem wtedy nad Fuente. Znam tę okolicę dobrze, jak gdybym bywał tam częściej. Na pewno nie udali się na polowanie; uprawa roli jest również wykluczona; to dzika i pustynna miejscowość! Gdyby mieli orać, pozostaliby w hacjendzie, gdzie praca pilniejsza.

— A więc to zagadka. A może jądra trzeba szukać w tym, że chcą się spotkać nad Fuente z Indianami Yuma, a więc sprzymierzeńcami Meltona, których współplemieńcy, za jego namową, zniszczyli hacjendę?

— Co to będą za Yuma? Przecież nie Vete-ya ze swoimi ludźmi, których wzięliśmy do niewoli?!

— Nie; chodzi o inny oddział, z tantym jedynie zaprzyjaźniony. Przypuszczam nawet, że Wielkie Usta wie o spotkaniu nad Fuente i z pewnością zachodzi tu ścisły związek ze zburzeniem hacjendy. Należy się spodziewać, że raz dokonawszy łotrowstwa, tam nad Fuente, przygotowują jakiś nowy szatański plan.

— Old Shatterhand wypowiada myśli Winnetou. Twoim ziomkom grozi niebezpieczeństwo; jestem gotów natychmiast wyruszyć do Fuente.

— Nie zwlekałbym z pomocą; ale mój brat myślał, że Melton udał się do Ures z don Timote'em, aby prawnie zatwierdzić sprzedaż. Jeżeli nam się uda przeszkodzić, usuniemy grunt spod stóp Meltona, jego podstawę, że tak powiem, operacyjną.

— Mój brat woli więc udać się do Ures, pozostawiając emigrantów swojemu losowi?

— Nie. Melton jest sprawcą wszystkiego. Wellerowie to jego podwładni i na pewno nie poczynią nic ponad kroki przygotowawcze, właściwy taniec nastąpi dopiero w obecności Meltona. Możemy nie tylko unieważnić kupno, ale nawet wtrącić go do więzienia. Jeżeli nam się powiedzie, unieszkodlimy mormona, a Wellerowie wraz z Yuma będą na niego daremnie czekali.

— Mój biały brat sądzi więc, że Melton ma zamiar udać się z Ures bezpośrednio do Fuente, nie wstępując do hacjendy?

— Tak.

— Ale po co tu Player potrzebny? Czy nie czekał czasem na niego?

— Wątpię. Player stał tutaj na posterunku. Skąd przybył tego naturalnie nie wiem. Cała rzecz jest dość skomplikowana, opracowywano ją od dłuższego czasu. Mormoni chcą się zagnieździć w tej okolicy. Wina za zbrodnię spada na głowę Meltona, a na pewno nie na mieszkańców miasta nad Słonym Jeziorem. Miał polecenie osiedlić się tutaj; wypełnił je na swój sposób. Wellerowie i szuler pomagają mu; pierwsi czynnie, drugi raczej biernie. Odgrywa rolę wartownika, aby zapewnić powodzenie planom nad Fuente.

— Brat mój jak zwykle trafił w samo sedno. Knują zbrodnię; Yuma mają im w tym pomóc, lecz twórcami planu są biali. Tak było zawsze. Tępi się czerwonych mężów zarzucając im czyny, za które winę ponoszą jedynie biali. A tutaj w dodatku mamy do czynienia nie ze zwykłymi bladymi twarzami, lecz z ludźmi udającymi pobożnych, którzy nadali sobie szumne miano świętych dnia ostatniego!

Niestety, wódz Apaczów miał rację! Skoro mormoni używali takich ludzi, jak Melton, jako wysłanników, twórców nowych osad, to sekta była tylko zgniłym owocem.

— Jak długo trwa droga stąd nad Fuente de la Roca? — spytałem.

— Na naszych wierzchowcach nie dłużej niż dwa dni; z Ures trzeba trzech. A więc jadąc z Ures nie drogą prostą tylko przez hacjendę, nie nadłożymy zbytnio drogi?

— Tak; różnica wyniesie zaledwie parę godzin.

— A więc możemy tutaj powrócić, bo nie wiadomo czy Melton nie wstąpi do hacjendy. W tym wypadku musielibyśmy spotkać go po drodze, naturalnie, jeżeli zdążył już zakończyć swoje interesy w Ures i ruszył w powrotną drogę. Nie należy zwlekać. Nie mamy czasu do stracenia.

— Niech mój brat weźmie pod uwagę, że konie powinny odpocząć. W półtora dnia przemierzyliśmy drogę, którą zazwyczaj przemierza się w cztery. Nasze dwa konie, być może wytrzymają jazdę do Ures, lecz wierzchowce Mimbrenjów są tak zmęczone, że nie ruszą z miejsca.

— Jestem tego samego zdania. To też pojedziemy sami, a chłopcy zostaną. Tutaj się bardziej przydadzą niż w drodze, gdzie będą dla nas ciężarem.

— Czy mój brat sądzi, że powinni odszukać Playera?

— Tak. W każdym razie wróci, chociaż będzie ostrożny. Nie zna mnie, więc skądże ma wiedzieć, w jakich przybywam zamiarach. Sądzi zapewne, że nasza obecność jest przypadkowa, i nie pojedzie wcale nad Fuente, aby zawiadomić towarzyszy. Co prawda boi się ciebie, więc przyjdzie po kryjomu przekonać się, czy odjechałeś. Nie zobaczywszy nas poczuje się bezpieczny, a Mimbrenjowie będą mogli z łatwością obserwować go, aby dowiedzieć się, w jakim celu przybył do tej opustoszałej hacjendy.

— Niech się więc stanie, jak rzekł mój brat. Mogą śledzić go, byle ostrożnie, aby ich samych nie wykrył. Gdy wrócimy z Ures, powiedzą nam, gdzie się ukrywa, a wówczas schwytamy go i wyciśniemy zeń prawdę.

Winnetou zgadzał się więc ze mną. Nie było potrzeby zakomunikowania Mimbrenjom o naszym postanowieniu, gdyż słyszeli całą rozmowę; naturalnie musieliśmy udzielić im koniecznych wskazówek, ze względu na ich młodość i brak doświadczenia. Napoiwszy konie w strumieniu, bez wypoczynku ruszyliśmy do Ures. Droga była mi znana; jechałem już raz tędy. Z zapadnięciem wieczoru zatrzymaliśmy się na kilka godzin odpoczynku. Gdy wzeszedł księżyc, byliśmy już znowu na siodłach. Dojechaliśmy do celu podróży po południu następnego dnia dzięki niezwyklej wprost wytrzymałości wierzchowców; co prawda był to już kres ich wysiłku, na ulicach miasta zaczęły się potykać, więc musieliśmy stanąć w pierwszym lepszym zajeździe. Pomimo jego opłakanego wyglądu dostaliśmy tam wina i tortilla, a dla koni kukurydzy. Nie troszczyłem się o zapłatę. W kieszeni przeglądało mi płótno, lecz Winnetou był zawsze zaopatrzony jeśli nie w pieniądze, to w złoty piasek i nuggety.

Dokąd należało się zwrócić, aby znaleźć Meltona i hacjendera? Nie trudno było ich odszukać w mieście uczącym niespełna dziewięć tysięcy mieszkańców; przybysze zwracali na pewno powszechną uwagę. Nie wpadło mi zresztą na myśl dopytywać się o nich; spożywszy *tortillo* — rodzaj placków, od razu udaliśmy się z Winnetou do sympatycznego urzędnika, którego odwiedziłem podczas poprzedniego pobytu. Policjant, który zbeształ mnie wówczas, wałęsał się znowu przed biurem; seniora naturalnie leżała w hamaku. Za nią wisiał, jak wtedy, godny małżonek, lecz obok niej umieszczono trzeci hamak, na którym siedział, ku mojemu zdziwieniu jeden z poszukiwanych — mianowicie hacjendero, trzymając wspaniale cygaro w ustach i kołysząc się błogo. Widać dobrze mu tutaj było obok seniora, wypuszczającej z różowych usteczek obłok dymu. Ujrawszy nas, zawołał, nie czekając na powitanie:

— *Per Dios*, buchalter! Czego pan chcesz w Ures? Myślałem, że jesteś senior w niewoli u Indian! Jak to się stało, że wypuścili pana?

— Pan również był jeńcem — odparłem — a widzę, że jesteś wolny.

— Składam za to dzięki seniorowi Meltonowi, gdyby nie on, w najlepszym wypadku jęczałbym w niewoli. Zdołał tak zręcznie nastraszyć Indian karą, jaka im grozi, że pod wpływem trwogi wypuścili nas. Czy i pan miał również takiego obrońcę?

— Tak. Mój nóż.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że sam się uwolniłem. Zbyteczni mi byli adwokaci w rodzaju Meltona. Nie chciałbym zresztą zaciągać u niego długu. Mylisz się pan, sądząc że winieneś mu wdzięczność. Ostrzegałem pana przed nim i miałem bezwzględna słuszność.

— Nie miałem słuszności, chcesz pan powiedzieć. Senior Melton zachował się jak *gentleman* i muszę upatrywać w tym jedynie złośliwość, że po wszystkim, co dla mnie uczynił, pan szkaluje go ponownie.

— Jeżeli pan tego człowieka nazywa *gentlemanem*, to największy łotr pod słońcem może się nazwać *caballero*. Czy to, że podszczuł Indian, by napadli i spustoszyli pańską posiadłość, nazywa pan przyjacielską usługą?

— On? Już raz wy łuszczył mi pan swoje nieprawdopodobne przypuszczenia, widzę jednak, że moje ówczesne sprostowanie nie odniosło skutku; muszę więc pana przekonać, że oczernia senior niesłusznie tego pocziwego człowieka. Pomijam już okoliczność, że mieszasz się senior nieproszony do obcych spraw i narzucasz z nieżądanymi radami; jedno tylko panu powiem, czego na pewno nie wiesz, mianowicie, że Melton odkupił ode mnie hacjendę.

— Wiem o tym.

— Doprawdy? Wie pan o tym? A mimo to ważysz się tego człowieka oczerniać! I nie chcesz pan uznać, że postępek ten jest dowodem niezwykłej szlachetności?

— Szlachetności? Jak to?

— Wskutek napadu Indian hacjenda straciła prawie wszelką wartość. Trzeba by było szeregu lat i dużego kapitału, by przywrócić ją do poprzedniego stanu. Od razu zszedłem na nędzarza i nikt nie dałby mi nawet *centavo* za posiadłość. Tylko ten zacny człowiek, wzruszony moją niedolą, zaproponował mi kupno.

— Tak! A pan naturalnie ucieszyłeś się tym szlachetnym aktem współczucia?

— Nie szydź senior! Było to doprawdy miłosierdzie z jego strony, że zapłacił mi za hacjendę sumę, której nie zdoła odebrać przez dziesięć lat! Może nawet dwadzieścia lub trzydzieści! Tak długo musi czekać zanim jego ciężko zarobione pieniądze przyniosą mu choćby *centavo* dochodu.

— Czy mogę spytać, ile dał sennorowi?

— Dwa tysiące peso. Z tymi pieniędzmi mogę wszystko zacząć na nowo. Podczas gdy na gruzach hacjendy skonałbym z głodu.

— Kupno zostało prawnie zatwierdzone i nie może być cofnięte?

— Tak. Byłbym zresztą największym idiotą, gdyby tak absurdalna myśl strzeliła mi do głowy.

— Czy zapłacił te dwa tysiące pesów?

— Tak, kiedy uradziliśmy interes, a właściwie kiedy doszliśmy do porozumienia.

— A więc nie tutaj w Ures, po prawnym zatwierdzeniu kupna?

— Przedtem jeszcze, zaraz po naszym uwolnieniu. Sumę wypłacił mi w pięknych okrągłych dukatach. A czy ta okoliczność, że nie czekał, aż stanie się prawnym właścicielem hacjendy, nie świadczy o jego dobrym sercu i uczciwości?

— Mam nadzieję, że go tu jeszcze zastanę?

— Nie, wyjechał wczoraj. — Dokąd?

— Naturalnie do hacjendy. Musisz się więc tam udać senior, jeśli masz zamiar przeprosić go za niesłuszne podejrzenia.

— Czy wiesz pan na pewno, że pojechał do hacjendy?

— Tak. Dokąd zresztą miałby się udać. Chciał rozpocząć natychmiast odbudowę posiadłości.

— Wszystkiego tam brak ku temu. Prawdopodobnie więc w Ures zaopatrzył się w środki?

— Co miał zabrać?

— Naprzód robotników.

— Ma ich. Są tam pańscy ziomkowie.



— Czy narzędzia również? Stare spaliły się na pewno. A potrzeba nasion, zapasów żywności. Nie obejdzie się bez murarzy, cieśli i innych rzemieślników. A materiały budowlane do nowych baraków?

Czy zabrał to wszystko?

— Nie pytałem i nic mnie to nie obchodzi. Hacjenda nie należy teraz do mnie. Wiem tylko, że odjechał.

— Pewnie natychmiast po zatwierdzeniu kupna?

— Tak, nie zabawił nawet godziny dłużej.

— Czy odjechał sam?

— Naturalnie! Zresztą nie widzę dlaczego miałbym odpowiadać na pytania stawiane bez powodu. Pan przecież był tutaj w innych sprawach, więc proszę pozostawić mnie w spokoju!

Odwrócił się niedbale, aby dać mi do zrozumienia, że pragnie ukrócić rozmowę. Nie zbity z tropu oświadczyłem:

— Niestety nie mogę panu udzielić jeszcze spokoju, którego pan sobie życzy. Nie przybyłem tu z innego powodu lecz tylko i jedynie dlatego, by pomówić z panem o tej sprawie.

Teraz wpadła na mnie gniewnie dama:

— Co za niegrzeczność! Jaka bezwzględność! Słyszeliście, że don Timoteo nie życzy sobie rozmowy z panem! Proszę natychmiast wyjść!

— Mylisz się seniora. Don Timoteo powinien mnie wysłuchać. Jeśli nasza rozmowa nuży panią, może się pani oddalić.

— Oddalić? Jeszcze czego?! Słowa wasze i całe zachowanie się dowodzą, że jesteście barbarzyńcą. Don Timoteo jest naszym gościem i do nas należy troska, by nikt mu nie dokuczał. Wobec tego rozkazuję panu natychmiast opuścić ten lokal!

— A więc proszę jeszcze powiedzieć mi łaskawie, jakiego rodzaju lokalem jest to pomieszczenie?

— Wypisane to na drzwiach i sądzę, że mogliście się o tym przekonać. Albo też czytać nie umiecie? Nie zdziwiłabym się, gdyby tak było!

— Pozwalam więc pani dziwić się do woli, że prawdopodobnie umiem lepiej czytać od wszystkich osób, które się tu znajdują, wyjąwszy mego towarzysza. Jestem teraz w biurze małżonka pani. Nie ma sennora tutaj nic do roboty, ja zaś przybyłem w sprawie jego obowiązków służbowych. Jeśli więc komuś z nas przysługuje prawo wyprosić drugą osobę, to przysługuje ono mnie!

Spostrzegłem, że gotowa już wybuchnąć na moją reprimendę; namyślała się jednak i zbywszy mnie gestem lekceważenia, zwróciła się do męża:

— Odpraw tych ludzi natychmiast!

Władca Uresu ześlizgnął się z hamaka, podszedł do mnie, przybrał pozę nakazującą szacunek i rzekł wskazując na drzwi:

— Senior, czy pójdziesz natychmiast, czy też mam wtrącić cię do więzienia za opór stawiany władzy?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, szybkim krokiem przystąpił do niego Winnetou, schwycił go pod ramiona, podniósł, zaniósł do hamaka, ułożył pieczołowicie i rzekł:

— Niech mój biały brat pozostanie tutaj i poczeka, dopóki nie będziemy z nim mówić. A jego biała żona ma milczeć, gdy mówią mężowie. *Squaw* powinna się zajmować dziećmi, nie zasiadać w radzie dorosłych mężów. Przybyliśmy, by pomówić z hacjenderem; czy chce, czy nie chce, musi nas wysłuchać! Kto chce nas wyprowadzić, niech spróbuje. Tutaj stoi mój biały brat Shatterhand, ja jestem Winnetou, wódz Apaczów, którego imię nie obce jest w Ures!

Był rzeczywiście znany, gdyż zaledwie przebrzmiały jego słowa, seniora pomimo obrazy doznanej wraz z czcigodnym małżonkiem zawołała innym zgoła tonem:

— Winnetou! Wódz Apaczów! Interesujący Indianin! Słynny czerwony! Czy to możliwe, czy to prawda?

Zbyt dumny by podjąć jej słowa, udał, że nie słyszy wcale; dlatego wyręczyłem Apacza mówiąc:

— Tak, to prawda! A teraz mam nadzieję, że pomimo paru naszych cech, które jej się nie podobają, nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że załatwimy naszą sprawę. W przeciwnym razie wyniesiemy panią na ulicę, podobnie jak to uczynił Winnetou z jej małżonkiem, rzucając go na hamak!

Klasnęła w dłonie i zawołała zachwycona:

— Jakaż to przygoda być niesioną przez Winnetou! Całe Ures pękłoby z zazdrości! Muszę spróbować!

— Radzę, nie czyn tego! Co innego być niesioną na rękach, a co innego wyrzuconą na ulicę. Niech pani obejrzy mojego czerwonego przyjaciela w milczeniu, abyś go mogła opisać swoim przyjaciółkom. To najlepsza rada jaką mogę pani służyć. Jeżeli zaś pocznie pani znowu poruszać językiem, na pewno utraci tak interesującą sposobność obcowania z wodzem Apaczów.

Zapaliła świeżego papierosa i położyła się w hamaku z miną osoby, oglądającej w cyrku ósmy cud świata. Jej szanowny małżonek zaś, nie brał już przybyszowi za złe przymusowej ekspedycji, owszem oglądał go z widocznym zadowoleniem. Co się tyczy hacjendera, to imię Old Shatterhand obchodziło go, zarówno zresztą jak pozostałych obecnych, tyle co zeszloroczny śnieg. O Winnetou słyszał jednak tak wiele, że imię Apacza wywarło na nim pożądane wrażenie. Przynajmniej nie wzywał już nas do opuszczenia lokalu.

Nie dziw, że mój towarzysz słyszał nawet w Ures. Apacze nierzadko wysuwają się głęboko na południe, szczególnie z przeciwległej strony Sierra w Chihuahua, a ponieważ Winnetou zwykł odwiedzać wszystkie szczepy swego plemienia, więc czyny jego i tutaj były rozgłoszone; wśród białych echo jego przygód rozbrzmiewało nie mniej donośnie niż wśród czerwonych. Szczególnie imię jego frapowało kobiety. Wszak był nie tylko ciekawym człowiekiem, ale wyjątkowo przystojnym mężczyzną; ponadto legendy, osnute na tle jego pierwszej, a zarazem ostatniej miłości, jednały mu serca pięknych senior i seniorit. Zadowolony z wyników osiągniętych dzięki Winnetou, zwróciłem się do hacjendera:

— Uważał pan, don Timoteo, moje pytania za zupełnie zbyteczne. Dla mnie były one jednak cennej wagi, a niezadługo staną się takimi dla pana. Indianie Yuma zniszczyli pańską hacjendę i zabrali panu wszystko. Sądzę, że przeszukano i wypróżniono zawartość pańskich kieszeni?

— Wypróżniono do cna.

— Czy kieszenie Meltona również?

— Tak.

— A w takim razie jakże mógł wypłacić panu dwa tysiące peso ciężkimi dukatami?

Oblicze don Timotea nigdy nie zdradzało wybitnej inteligencji. Teraz jednak formalnie zgłupiał. Odparł jękając się:

— Tak... Skąd wziął... te pieniądze... Tyle pieniędzy?

— Nie pytaj pan, skąd wziął, tylko dlaczego Indianie, nie zabrali mu tych pieniędzy?

— Do wszystkich diabłów! O tym co prawda nie pomyślałem! Sądzi pan, że miał pieniądze przy sobie?

— Tak; on lub jeden z Wellerów. Przede wszystkim dwa tysiące pesów w złocie nie ujdą oczom Indian, po wtóre, suma taka jest bogactwem nawet dla najmożniejszego wodza. Jeśli Vete-ya zrezygnował z takiej sumy, to musiał mieć wyjątkowy i szczególny powód. Czy nie domyśla się pan jaki?

— Nie.

— Jeden, jeden tylko istnieje; żaden czerwony nie pozostawi takiego skarbu obcemu, a co dopiero nieprzyjacielowi; Melton musi więc być jego sprzymierzeńcem.

— Nie wierzę!

— Twierdziłem, że czerwoni mają zamiar napaść na hacjendę; nie uwierzyłeś mi, a miałem rację. Tak samo nie myślę się teraz, tylko z pana znowu Tomasz niewierny!

— Melton, tak szlachetnie, tak wspaniałomyślnie postąpił; nie mogę po prostu przypuścić, żeby się sprzymierzył z czerwonymi. Jeśli się nie myślę, twierdziłeś pan nawet, że napad nastąpi za jego namową.

— Nie pamiętam dokładnie treści poprzedniej rozmowy; ale jeśli wtedy nie twierdziłem tego z całą stanowczością, czynię to dzisiaj.

— Myli się pan; musisz się mylić! Melton jest moim przyjacielem. Dowiódł tego kupnem!

— Tak, dowiódł. Ale nie tego, że jest pańskim przyjacielem, a tylko niecnym zdrajcą, judaszem i łotrem. Jaką wartość miała hacjenda przed napadem?

— Nie chcę, nie mogę mówić o tej strasznej stracie!

— A czy w ogóle sprzedałby pan swoją posiadłość?

— Nie, nie przyszłoby mi to na myśl.

— No, teraz ma pan wszystko jak na dłoni. Upoważniono mormonów do osiedlenia się w tej okolicy, do nabycia gruntu i ziemi. Hacjenda nadawała się, lecz była za droga. Aby zniżyć cenę Melton kazał ją spustoszyć. Umowa zawarta z Vete–ya brzmiała: Cały łup należy do Indian, zniszczoną posiadłość kupuję Melton za bezcen. Napad się udał; łup był cenny; musieli mu więc pozostawić jego pieniądze. Czy pan tego nie rozumie?

— Nie; taka złośliwość z jego strony jest nie do pomyślenia. Zresztą, osądź pan sam. Na cóż przydadzą mu się grunt i pola, skoro cała posiadłość spłonęła i utraciła wartość?

— Melton przywróci ją do dawnego stanu!

— To będzie kosztowało daleko więcej niż hacjenda była warta poprzednio, nie licząc już całego szeregu lat, które upłyną, zanim doczeka się dochodów ze swego kapitału.

— I ja tak sądzę; ale to właśnie orzech, którego nie mogę na razie rozgryźć. Spodziewam się jednak, że rozgryzę go niedługo. Myli się pan sądząc, że Melton powrócił do hacjendy. Jedziemy stamtąd, więc musielibyśmy spotkać go po drodze. Pozostawił tam tylko swojego człowieka.

— Chcesz pan powiedzieć dwóch, mianowicie obydwu Wellerów?

— Nie. Tych w hacjendzie nie ma. Natomiast jest kto inny. Czy nie słyszał pan przypadkiem o pewnym jankesie, mormonie, którego nazywają Playerem?

— Nie!

— Tego człowieka tam spotkaliśmy. Opowiedział nam, że Melton udał się z panem do Ures, by prawnie zatwierdzić akt kupna. Wiedział o tym. Melton widocznie rozmawiał za pańskimi plecami. Nie powinien był pan nic wiedzieć o obecności tego Playera.

— Hm! Hm! To doprawdy trochę dziwne!

— Czy byli w hacjendzie, gdy ją pan opuszczał, obydwaj Wellerowie i imigranci?

— Tak. Naturalnie przejął wychodźców ode mnie. Ma zamiar z ich pomocą odbudować posiadłość, wykarczować lasy, oczyścić pola i pastwiska. Wellerów zaangażował jako dozorców.

— Ale nie ma ich tam przecież! Zaraz po pańskim odjeździe ruszyli wszyscy nad Feunte de la Roca.

— Nad Feunte? — zapytał zdziwiony.

— Tak. Wellerowie wraz z imigrantami. A w górze oczekuje ich oddział Yuma.

— Czyż to możliwe. Skądże wiesz pan o tym? — spytał wyskakując z hamaka.

— Dowiedziałem się od Playera, który wziął mnie za przyjaciela Meltona i dlatego wygadał wszystko.

— Nad Fuente, nad Fuente! — powtórzył biegając po pokoju tam i z powrotem, silnie zdenerwowany. — To mi daje dużo do myślenia! To naprawdę daje mi do myślenia, jeśli tylko nie poinformowano cię fałszywie, senior.

— To szczerą prawdą. Player niechętnie wyjawiał mi tajemnicę. Spostrzegłszy jednak Winnetou uciekł. Ma wiele złego na sumieniu. Tutaj zaczyna się nitka, po której dojdę do kłębka. Pańska hacjenda ma również z nieznanego mi powodu wartość dla Meltona. Chodzi mi właśnie o ten powód. Dlatego przybyłem do Ures, aby odszukać pana i mormona.. Pana znalazłem, a on odjechał, lecz nie do hacjendy, tylko w górę, do Fuente dla la Rota, aby dopędzić Wellerów.

Słuchając mnie, hacjendero chodził nerwowo po pokoju. Teraz wykręcił się nagle na obcasie i zawołał stanawszy przede mną:

— Senior, mam! Jeżeli rzeczywiście udał się w górę, znam powód, dla którego hacjenda ma dla niego, pomimo obecnego jej stanu, wartość!

— Więc? — spytałem z zaciekawieniem.

— Do hacjendy należy kopalnia; kopalnia rtęci. Zarzuciłem ją, ponieważ nie mogłem dostać robotników i ponieważ Indianie nawiedzają okolice.

— Słyszałem o tym również i...

Nie dokończyłem. Obudziła się we mnie myśl, która sparaliżowała mi mowę; straszne przypuszczenie, jednakże ze względu na osobistość Meltona nie było nieprawdopodobne. Raptem wyjaśniłem sobie wszystko, lecz zarazem wzrosła we mnie obawa o ziomków. Nie pomyślałem poprzednio ani przez chwilę o tamtej starej, nieczynnej kopalni, a jednak tam tkwiło rozwiązanie. Teraz dopytywałem się niecierpliwie:

— Gdzie leży kopalnia?

— W górach Yuma. Pięć dni drogi stąd.

— Czy Fuente de la Roca jest po drodze?

— Tam, tak! To właśnie daje mi wiele do myślenia.

— A, nareszcie poczyna pan wątpić w Meltona. Teraz wiem już, czego mam się trzymać. Meltonowi nie tylko chodziło o areal hacjendy, lecz głównie o kopalnię rtęci. Tam można znaleźć miliony, jeśli się dostanie odpowiednich robotników. A pan był na tyle łatwowierny, że odstąpił mu hacjendę, kopalnię, wreszcie sześćdziesięciu trzech robotników za marne dwa tysiące peso. Na domiar twierdzisz pan, że jest on *gentleman* i *caballero*! Może teraz jesteś tego samego zdania.

— To łotr, łajdak, rabuś, oszust, szatan wcielony — ryczał Timoteo Pruchillo z pianą na ustach. — Jestem największym osłem na całej kuli ziemskiej!

— Jeżeli nie największym, to w każdym razie wielkim don Timoteo. Przestrzegałem pana!

— Tak, czynił pan to, uczynił! — zawołał waląc się pięściami po głowie. — Gdybym uwierzył panu.

— Wtedy po dziś dzień siedziałbyś spokojnie w swojej hacjendzie, a Yuma uciekliby z pokrwawionymi łbami.

— Tak, tak! Niestety! A teraz zabrali mi trzody i nie mam już nic, zupełnie nic!

— Jak to? A dwa tysiące pesów? — Nie szydź ze mnie, sennor!

— Nie szydę! Masz pan dwa tysiące pesów i trzody, wraz ze wszystkim co Yuma zrabowali z hacjendzie.

— Senior, to okrutne żarty!

— Nie żarty, a szczerą prawdą. Kiedy umknąłem z niewoli, mój brat Winnetou nadciągnął z Mimbrenjami i pojmał wszystkich Yuma. Musieli zwrócić pańską własność, a teraz prowadzą ich do sadyb Mimbrenjów, gdzie poniosą zasłużoną karę. Pięćdziesięciu Mimbrenjów jedzie z pańskimi trzodami, aby je sprowadzić do hacjendy. My dwaj pośpieszyliśmy naprzód, aby uprzedzić pana. Naturalnie, nie przeczuwaliśmy, że sprzedasz pan hacjendę.

Stanął skamieniały ze zdziwienia i radości.

— Yuma pojmani! Kara... Pięćdziesięciu Mimbrenjów... do hacjendy... z moim bydłem...!

Nagle schwycił mnie za ramię, chciał pociągnąć mnie ku drzwiom prosząc:

— Chodź, chodź senior! Prędko, prędko. Musimy jechać do hacjendy, zaraz, natychmiast!  
— Mówisz pan musimy? A więc mówisz o mnie. Cóż ja mam do roboty w hacjendzie?  
— Nie mów tak senior, nie mów! Wiem, że masz zupełne prawo ku temu. Nie szczędziłem pana, wyśmiewałem, znieważałem. Byłem rażony ślepotą. Ale teraz... Ach! — przerwał zwracając się do urzędnika.

— Tak, odbiorę swoje trzody, ale czy nie można odebrać hacjendy wraz z kopalnią i robotnikami? Czy kupno jest zatwierdzone?

— Tak — skinął urzędnik.

— A czy nie wydarzyło się jakieś przeoczenie, jakaś mała niewidoczna omyłka, jakaś szczelina, przez którą wszedłbym do swojej hacjendy?

— Nie. Pan sam prosił o jak największą ostrożność. Ostrzegałeś, bym nie popełnił najmniejszej omyłki. Chodziło panu wszak o to, aby nie stracić owych dwóch tysięcy peso!

— Zatrzymasz pan pieniądze, a pomimo to odbierzesz hacjendę

— pocieszyłem Timotea. — Melton będzie zmuszony zwrócić panu posiadłość; dwa tysiące zaś” przypadną panu jako wynagrodzenie strat poniesionych przez sprzedaż.

— Czyż to możliwe?

— Co do mnie, to twierdzę, że można dokazać jeszcze więcej. Można cofnąć kupno. Musimy tylko dowieść, że Melton wynajął Indian, aby napadli na hacjendę i spustoszyli ją.

— A czy będziesz mógł to osiągnąć, senior?

— Prawdopodobnie. Przynajmniej mam nadzieję.

— O, gdybym zaufał panu wtedy! Mówisz senior tak stanowczo, tak pewnie! Wszystko co dla mnie jest niepodobieństwem, dla pana wydaje się błahostką.

Apacz, który milczał dotychczas, wtrącił nagle:

— Dla mojego białego brata, Old Shatterhanda, nie ma celów nieosiągalnych. Został pojmany i groził mu pal męczeński; a teraz jest nie tylko wolny, ale nawet wziął do niewoli swoich prześladowców.

— To zasługa nie moja; porwał ich Winnetou — zaprzeczyłem.

— Nie; Old Shatterhand tego dokonał!

— Tyś sprowadził Mimbrenjów, bez których nic bym nie zdołał.

— Tak, ale Mimbrenjowie nie przybyliby, gdyby Old Shatterhand nie pchnął do nich gońca.

— Winnetou, Winnetou musiał dokonać bohaterskiego czynu! — zawołała zachwycona Indianinem seniora. Piękne jego poważne rysy, dumna spiżowa postać wywarły na niej niezatarte wrażenie.

— Mniejsza, jak to się stało; w każdym razie odzyskałem majątek — odezwał się hacjendero; tak pochłonięty był myślą o sobie, że zapomniał o podziękowaniu.

— Ależ nie, chcę właśnie usłyszeć, w jaki sposób zostali Yuma więźci do niewoli — wykrzyknęła seniora. Winnetou zechce mi to opowiedzieć! Zapraszam go, by raczył usiąść obok mnie w tym oto hamaku.

Wskazała ręką na bujający się hamak, na którym przed chwilą spoczywał hacjendero.

— Winnetou nie jest kobietą — odpowiedział wódz. — Nie zwykł huśtać się na hamakach i prawić o swoich czynach!

Poprosiła więc mnie, abym opowiedział o tym ciekawym wydarzeniu. Posłuchałem, podając zwięzłe zaszłe wypadki i wysuwając na pierwszy plan Apacza. Gdy skończyłem, zawołała zachwycona:

— Zupełnie jak w romansie! Tak! Gdy zjawia się wódz Apaczów, Winnetou, tam nie brak bohaterskich czynów i przygód. Gdybym była mężczyzną, nie opuszczałabym Winnetou w żadnym niebezpieczeństwie.

— A Winnetou byłby *squaw*, gdyby pozwolił na coś podobnego — odparł Indianin obracając się na pięcie, aby opuścić pomieszczenie. Pochwała z ust rozpróżnianej kobiety przejmowała go odrazą.

— Co mu się stało? — spytała seniora. — Czy zawsze jest w tak zgryźliwym humorze?  
— Nie; jeśli jednak go rozdrażnić, potrafi dać się we znaki — objaśniłem z uśmiechem. — Komplementy pani są w stanie przepędzić Apacza poza góry i lasy. Jeśli chcesz go seniora zatrzymać, zachowaj ciszę i nie patrz na niego.

— Postaram się, jeśli zechce mi pan wyświadczyć małą przysługę.

Kiedy senior odjeżdżasz?

— Jutro.

— Gdzie zamieszkaasz?

— Nie wiem jeszcze.

— Łatwo pan znajdzie odpowiednie pomieszczenie dla siebie; co się tyczy Winnetou zapraszam go i daję do rozporządzenia dwa najlepsze nasze pokoje. Jak się pan na to zapatruje.

Apacza chciała zatrzymać, co do mnie mógłbym mieszkać, choćby pod gołym niebem. Ubawiony tą uprzejmością odpowiedziałem żartobliwie:

— Ma pani oryginalne pomysły!

— Nieprawdaż. Biedny dzikus musi się zawsze wałęsać po górach i lasach; dlatego chciałabym, aby choć raz zakosztował posmaku wykwintnych apartamentów. Mam jednakże nadzieję, że w zamian zgodzi się spędzić wieczór w moim salonie!

— Wobec tego niech go pani poprosi!

— Czy nie zechciałbyś mnie, senior, wyręczyć?

— Chętnie, gdybym mógł, lecz to się nie godzi. Przyzna pani chyba, że takie zaprosiny nie powinny wyjść z ust trzeciej osoby. Wymówione pięknymi usteczkami pani nabiorą podwójnej wartości. Przypuszczam, że ma seniora zamiar zaprosić do siebie wszystkie piękne panie z całego Ures?

— Naturalnie! Gościć u siebie Winnetou, to zaszczyt, którego pozazdrozczą mi wszystkie przyjaciółki do końca życia!

Chodziło więc o swego rodzaju widowisko. Odpowiedź Apacza cieszyła mnie z góry. Z resztą rozległy się zaraz protesty z dwóch stron naraz. Mianowicie, urzędnik, którego uwagi nie uszło wrażenie, jakie wywarł na żonie piękny Indianin, poczuł nagle przypływ zazdrości, zbliżył się do niej, aby półgłosem, szepnąć parę ostrych uwag. Zamiast odpowiedzi, odtrąciła go po prostu. Jednocześnie zaprotestował hacjendero, zwracając się do mnie:

— Co słyszę? Chce pan pozostać do jutra?! To niemożliwe! Musi pan dziś jeszcze pojechać ze mną do hacjendy! Musi mi pan pomóc! Bez pana nie odzyskam posiadłości!

Ponieważ mówił tonem tak stanowczym, jak gdyby miał prawo stawiać żądania, odparłem bez ogródek:

— Muszę? Doprawdy? Nie ma dla mnie żadnego przymusu!

— Tego też nie chciałem powiedzieć; ale względ na pański honor wymaga, abyś, nie zwlekając ani chwili, dokończył rozpoczętego dzieła!

— Odwoływanie się do mojego honoru jest zupełnie zbyteczne! Całe moje postępowanie, jest wynikiem poczucia honoru! Na pewno go nie postradam, jeżeli nie będę troszczył się o pańską hacjendę. Cóż może mnie zmusić do tego? Przybyłem do pana i ostrzegłem go, w zamian za to wskazano mi drzwi; musiałem nawet siłą odpierać obelgi pańskiego bezczelnego majordomusa. Prosiłem pana, abyś nie wyjawiał Meltonowi, co panu powiedziałem, pan zaś wypaplał mi wszystko, słowo w słowo, natychmiast po jego przyjeździe. To gadulstwo mogło mnie przyprawić o niechybną śmierć. Melton bowiem pojechał z nami, aby zacząć się i zastrzelić mnie z zasadzki. Szczęściem, odgadłem jego zamiary i wpadł w moje ręce!

— Dlaczego mi to pan zarzuca? — zapytał. — Zarzuty są teraz bezowocne!

— Tak, nie mogą zmienić przeszłości, lecz wywrą wpływ na przyszłe wypadki. Mam nawet nadzieję, że moje słuszne zarzuty będą uwieńczone powodzeniem w tym sensie, że się pan zmieni.

— Senior, stajesz się niegrzeczny!

— Bynajmniej; jestem tylko szczerzy i to dla pańskiego dobra. Gdyś mnie wypędził pozostałem w pobliżu hacjendy. Zabroniłeś mi przekraczać jej granicę, nie mogłem więc poczynić potrzebnych obserwacji na pańskim terytorium i byłem zmuszony podsłuchać Indian w ich własnym obozie. Przy tej okazji wpadłem w ręce czerwonych. A więc pański zakaz był przyczyną mojej niewoli. Czy sądzisz pan, że jestem za to winien panu wdzięczność? Zresztą, zostałeś pan ukarany, gdyż tylko moja niewola umożliwiła Yuma napad na hacjendę. Pomimo tak okrutnego doświadczenia, nie zapomniałem o pańskich stratach. Skoro tylko się oswobodziłem, pomyślałem o tym, by dopomóc panu w odzyskaniu majątku. Opowiedziałem już w jaki sposób to się stało. Pańskie mienie uratowano, a trzody są w drodze. Wiesz już z mojego opowiadania, ile wysiłku włożyłem i jakie niebezpieczeństwa groziły Winnetou i mnie przy schwytaniu Yuma wraz ze zdobyczą do niewoli. Powiedzże więc, czy pokusiłbyś się o coś podobnego?

— Wątpię, senior.

— Pięknie! Otóż po tym wszystkim wymaga pan, ażebym go nadal wspierał. Nie prosisz, lecz żądasz. Pytam cię zatem, co mnie z panem wiąże? Pan słyszał, ile uczyniliśmy dla niego; czy jednak usłyszeliśmy z ust pańskich choć jedno słowo wdzięczności? Obraził mnie pan, wyrzucił za drzwi, zagnał w niewolę; narażałem życie dla pana i mam je dalej narażać, a pan? Ja dziękuję serdecznie, gdy mi kto poda łyk wody! To miałem na myśli, gdy mówiłem, że powinien się pan zmienić. Nazywano mnie tutaj barbarzyńcą, pytano z przekąsem, czy umiem czytać; przekonuję się ze smutkiem, że w tym kraju ludzie nie znają najprostszyc obowiązków grzeczności. Straciłem wiele słów; krótki zaś sens mojej mowy powiem panu teraz: od tej chwili niech pan sam się troszczy o siebie! Nie mam ochoty pozwalać, żeby w dowód wdzięczności, przypominano mi obowiązki względem własnego honoru!

Po tych słowach udałem, że chcę odejść. Wtedy chwycił mnie hacjendero za rękę.

— Zostań pan jednak — prosił, — niech pan jeszcze nie odchodzi! Zapewniam, że nie dziękowałem tylko przez zapomnienie.

— Wobec tego nie zna pan siebie tak dobrze, jak ja pana poznałem. To nie zapomnienie, lecz wręcz coś innego. Przypisując sobie wyższość nad europejskim barbarzyńcą, a nawet nad człowiekiem tej miary co Winnetou, nie prosi pan, tylko żąda, lub rozkazuje. Ruszaj za ocean do Europy, a przekonasz się, że tam każdy chłopiec więcej się uczy i więcej wie, niż pan się nauczy i dowie przez wszystkie dni swego życia. A ci państwo, którzy huśtają się lak wygodnie w swych hamakach niech zajrzą do ciemnych i krwawych lasów dzikiego Zachodu, a przekonają się, że Winnetou posiada w swoim małym palcu więcej siły, zręczności i szlachetności, niż wy w całym waszym Ures. Obchodzono się ze mną tutaj po grubiańsku nie tylko dzisiaj, lecz już za pierwszym razem; a teraz rozważcie, czy ja nie mam prawa z góry was traktować. Czy nie mam prawa pociągnąć was do odpowiedzialności! Szukałem u was opieki nad wychodźcami, a odprawiono mnie z kwitkiem, wy zaś, zatwierdzając kupno, wydaliście tych biedaków w ręce złoczyńcy. Powiedzcie mi więc, jak wobec tego powinienem właściwie postąpić?

Na to nikt nie odpowiedział. Wtem drzwi się uchyliły i Apacz zajrzawszy przez skrzydło zapytał:

— Czy mój brat gotów. Winnetou nie ma ochoty dłużej tu przebywać.

Szybko podszedł do niego hacjendero, ujął za rękę i prosił:

— Niech pan wejdzie jeszcze raz, senior! Proszę pana o to usilnie. Senior wie, że bez pańskiej rady nic nie pocznę.

Apacz wszedł do pokoju, zmierzył go wzrokiem poważnym i rzekł:

— Czy błada twarz podziękowała mojemu bratu Shatterhandowi?

Był to znowu przykład, jak dalece zgadzały się nasze myśli. W krótkim pytaniu Apacz wyjaśnił to wszystko, co przed chwilą tak długo wykladałem hacjenderowi.

— Nie miałem jeszcze sposobności. Przecież tyle spraw jest do omówienia — brzmiało usprawiedliwienie hacjendera. — Chcecie zostać w Ures do jutra?

Winnetou potwierdził skinieniem głowy.

— A tymczasem można by wiele zdziałać. Każda chwila droga! — nalegał Pruchillo.

— Rzecz najważniejsza, aby nasze konie odpoczęły i odzyskały siły

— odpowiedział Winnetou. — Zresztą, o jakich czynach mówi blada twarz? Old Shatterhand i Winnetou nie mają nic przeciwko temu, jeśli hacjendero zamierza jeszcze dziś wziąć się do dzieła. Może robić wszystko co mu się żywnie podoba, ale sam!

— Przecież powiedziałem panu, że bez waszej pomocy nie podołam.

— Niech więc blada twarz prosi Old Shatterhanda. Na co on się zgodzi, na to i ja przystanę.

Prosić przyszło hacjenderowi ciężko, a jednak zdołał się przewyciężyć; potrafił nawet podziękować nam za wszystko, co uczyniliśmy dla niego do tej pory; rzecz prosta, kierował nim jedynie wzgląd na korzyści, jakich się po nas jeszcze spodziewał. Ponieważ jednak nie miałem wcale zamiaru odmawiać mu dalszej pomocy, odpowiedziałem w końcu:

— Zgoda; będziemy nadal się przykładać do pańskiej sprawy. Powiedz nam senior jednak, jak pan przypuszcza, co teraz należy zrobić?

— Myślę, że powinniśmy natychmiast wyruszyć, by dopędzić i zatrzymać Meltona.

— Powiedzieć łatwo, ale nasze konie padłyby w drodze. Oprócz tego musi pan wziąć pod uwagę, że w pół trzecia dnia ujechaliśmy przestrzeń, jaką przebywa się zazwyczaj w ciągu mniej więcej dni sześciu; nie wierzę sennor, abys po takim wysiłku potrafił odbyć natychmiast podróż do Fuente de la Roca i w góry Yuma. Odpoczynek kilkugodzinny jest nam nieodzowny, dlatego zostaniemy tutaj do jutra. Jeśli się pan tak śpieszysz, jedź naprzód. Niech pan weźmie ze sobą kilku policjantów! Na to seniora klasnęła w ręce i zawołała:

— Co za wspaniała myśl! Pojechać naprzód i wziąć ze sobą kilku policjantów! Co ty na to, mężuniu?

— Jeśli ci to przypada do gustu, to myśl jest rzeczywiście bardzo szczęśliwa — odpowiedział zapytany.

— Nawet niezwykle szczęśliwa! Czyż nie masz zastępcy, który potrafi załatwić wszystkie twoje sprawy i obowiązki służbowe, abys ty chociaż raz mógł przedsięwziąć niewielką podróż?

Ten człowiek zapewne już od dawna nie czuł się tak szczęśliwy; wyrwać się spod wodzy, kierowanych jej pięknymi rękami! Podróż! A do tego sam, bez niej! Twarz jego formalnie promieniała z radości; nie dowierzając jeszcze swoim uszom, zapytał:

— Dokąd pojedziemy moja duszko? Na my położył nacisk.

— Ja zostaję w domu — brzmiała kojąca odpowiedź.

Jeśli przedtem twarz jego błyszczała tylko, teraz jaśniała, niby słońce, gdy pytał dalej:

— Więc gdzie mam się udać?

— Daję ci sposobność zdobycia takiej samej sławy jak Winnetou. Ponieważ don Timoteo życzy sobie kilku policjantów, więc pojedziesz z nim osobiście i będziesz dowodził naszymi *oficiales de la policia*.

Na te słowa radość z jego oblicza ulotniła się w jednej chwili; twarz mu się wydłużyła i ściągnęła w niezliczone posępne zmarszczki. Drżącym prawie głosem zapytał:

— Ja? Ja sam mam wyruszyć w góry i do tego wierzchem?

— Naturalnie; iść piechotą nie możesz w tak daleką drogę!

— Czy nie przypuszczasz, że taka podróż jest nieco, nieco męcząca, może nawet niebezpieczna?

— Dla meksykańskiego *caballero* nie ma niebezpieczeństwa. A więc?! Przy ostatnim słowie spojrzęła na niego rozkazująco i tak groźnie, że biedak zdobył się tylko na odpowiedź:

— Tak jest; jeśli tak uważasz, moje serce, to pojedę.

— Uważam, uważam; naturalnie! Za niespełną godzinę będziesz miał spakowane wszystko, co potrzebujesz do podróży: bieliznę, konia, papierosy, mydło, dwa pistolety, rękawiczki,



pieniądze, w które cię obficie zaopatrzę, czekoladę, flintę i poduszkę, żebyś nie zapadł głęboko, gdybyście byli przypadkiem zmuszeni spać w kiepskich łózkach i nie miał skutkiem tego złych snów. Widzisz, jak się troszczę o ciebie Ty jednak postaraj się nie zawieść moich nadziei. Wracaj do domu okryty sławą. Czy nie mam racji?

Pytanie było skierowane do mnie, odpowiedziałem:

— Zgadzam się w zupełności ze zdaniem pani, o ile znajomość prawa może się przydać w takiej podróży.

— Czy słyszysz? — zapytała męża. — Senior jest tego samego mniemania Kiedy wyruszyacie, don Timoteo?

— W ciągu godziny — odpowiedział hacjendero, który byłby chętnie pojechał ze mną lub z Winnetou, a tymczasem musiał przystać na śmieszny i nedorzeczny pomysł seniora.

— Prawdopodobnie schwytacie Meltona, zanim was dopędzimy — odezwałem się do hacjendera. — Jesteśmy jednak potrzebni jako świadkowie. Gdzie was możemy spotkać?

— Zaczekamy na was przy Fuente de la Roca.

— Jaką drogę obierzecie teraz?

— Przez hacjendę.

To mi nie było na rękę. Mogli się natknąć na naszych Mimbrenjów, a nawet na Playera i popsuć nam szyki. Nie sprzeciwiałem się jednak, wiedząc, że inną drogą można ich odwieść od tego zamiaru prędzej i łatwiej. Dlatego rzekłem:

— Bardzo słusznie, don Timoteo! Oszczędzicie nam trudu; Player o którym wam opowiadałem, z pewnością tam jeszcze waruje. Trzeba go naturalnie schwytać, a ponieważ to łotr zuchwały i umie się dobrze obchodzić z bronią, więc pojmanie jest połączone z niebezpieczeństwem śmierci Będzie się bronił rozpaczliwie i jestem przekonany, że nie ulęknie się dwóch, trzech silnych ludzi. Dlatego cieszę się, że pojedziecie przez hacjendę. Przybywszy tam przed nami, weźmiecie go do niewoli i, gdy my się zjawimy, będzie robota skończona. Tylko nie dajcie się przypadkiem zastrzelić z zasadzki. To zwyczaj Playera, że walczy podstępnie.

Słowa moje tak poskutkowały, że don Timoteo zbladł, a urzędnik zbiegał jak kreda. Przekonałem się więc zawczasu, że będą unikać hacjendy jak ognia.

Seniora natomiast zawołała do swego usłużnego władcy, czy też władczego służebnika:

— Czy słyszałeś? Oto czyn godny ciebie. Mam nadzieję, że schwytasz tego niebezpiecznego bandytę na własną rękę, bez niczyjej pomocy! W nagrodę będziesz mógł palić dziennie o dwa papierosy więcej niż dotychczas.

Pomimo tej obietnicy zrobił władca Uresu taką minę, jakby sam właśnie został schwyty i aresztowany. Seniora nie zauważyła kwaśnego grymasu na obliczu swego pana męża; zwróciwszy się w moją stronę, obrzuciła mnie wzrokiem prawie pogardliwym i rzekła:

— Pan także nie zdaje się być takim bohaterem, za jakiego powinniśmy pana uważać, skoro skaczesz z radości, że Player będzie już w niewoli, gdy przyjedziesz do hacjendy.

— Cieszę się rzeczywiście i nikt nie może wziąć mi tego za złe. Player to nie lada ptaszek. Trzeba pamiętać, że każda kula, o ile trafi, dziurawi skórę.

— Tak! Więc wobec tego radzę panu skóry nie nadstawiać. Mój mąż wie jednak, że do odważnych świat należy, a śmiałym szczęście sprzyja. Dusza moja będzie się unosić nad nim i ochraniać go w ciężkiej sprawie. Nieprawdaż, kochany mężu?

— Tak — powiedział zapytany, wykrzywiając się, jakby rozgryzł pieprz, zamiast rodzynka. — Nie zapomnij kazać, żeby położono mi drugą poduszkę na siodło, abym nie uciskał konia zanadto!

Seniora zesunęła się z hamaku i nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem z powodu mego rzekomego tchórzostwa, podeszła do Winnetou. Uśmiechnąwszy się przyjaźnie zapytała:

— Sennor Winnetou, więc pan ma naprawdę zamiar zostać tu przez noc?

Niepodobna opisać miny z jaką Apacz spojrział na nią. W jego wzroku można było wyczytać i litość i zdumienie, że odważyła się wprost do niego przemówić. Odgadując myśli Apacza, wyręczyłem go w odpowiedzi:

— Tak jest; zostaniemy do jutra.

— Dlaczego pan się odzywa? Niech pan pozwoli mówić Winnetou! — rzekła na to seniora, obrzucając mnie wzrokiem pogardy. — Winnetou wie, że go szanuję i zechce mi chyba odpowiedzieć.

Zapytała ponownie. Winnetou skinął głową twierdząco; wszak teraz był zmuszony odpowiedzieć.

— Wobec tego mam honor zaprosić pana do siebie w gościnę — mówiła sennora dalej. — Uszczęśliwiłby mnie pan, gdyby zechciał przyjąć moje zaproszenie.

— Niech moja biała siostra będzie szczęśliwa — odpowiedział wódz.

— Przyjmuję.

— Czy mogę zaprosić także damy na cześć Winnetou?

— Wódz Apaczów wie, że blade twarze chwytają niedźwiedzie i zamykają w je w klatkach, aby wystawić na pokaz; Winnetou jednak nie jest niedźwiedziem.

— Więc nie będzie uroczystości?

— Nie — odrzekł mój przyjaciel, odwrócił się i wyszedł; ja uczyniłem to samo; w chwilę później znaleźliśmy się na ulicy, nie straciwszy ani słowa na pożegnanie z tak gościnnymi gospodarzami.

Nie uśmiechał nam się pobyt w mieście. Zakupiwszy kilka drobnostek, wyprowadziliśmy konie na pola, gdzie czuliśmy się lepiej, niż w murach. Znalazłszy odpowiednie miejsce nad strumykiem — było dosyć trawy dla koni — ułożyliśmy się na spoczynek. Zanim jeszcze zasnąłem, przejechali w niewielkiej od nas odległości „bohaterowie”. Widocznie zatem seniora trwała przy swoim planie, pomimo że opuściliśmy ich dom. Jeźdźców było pięciu: hacjendero, *juriskonsuito* i trzech policjanci. Stróże bezpieczeństwa, jako też ich przełożony, byli ubrani w mundury, co zmusiło nawet Winnetou do śmiechu. Konie mieli dobre; hacjendero i trzech policjanci byli niezgorszymi jeźdźcami; przywódca jednak trzymał się na siodle w pozycji niezbyt rycerskiej. Na jednej poduszcze siedział, a drugą miał umocowaną z tyłu siodła. Obydwie musiały być świeżo obleczone, bo już z daleka lśniły śnieżną białością. Z takim okładem w dzikie góry Zachodu! Szczęśliwej drogi, panie dowódco! — pomyślałem i zamknąłem oczy, święcie przekonany, że szacowna „piątka” nie będzie się uskarżać na nadmiar sławy...

Spaliśmy bez przeszkody przez całe popołudnie i noc. Gdy następnego dnia słońce wschodziło, siedzieliśmy już w siodłach. Wypoczęliśmy solidnie, a i wierzchowce nie zdradzały śladu znużenia. Rżały wesoło, ciesząc się świeżym, orzeźwiającym powietrzem świtu.

Ruszyliśmy, rzecz prosta, z powrotem ku hacjendzie. Z początku wił się wciąż przed nami trop wczorajszych pięciu rycerzy; po krótkim jednak czasie zboczył znacznie na prawo.

Jechaliśmy cały dzień i noc; na krótko przed świtem dnia następnego dotarliśmy do granicy hacjendy. Odszukawszy miejsce, na którym mieliśmy się zejść z naszymi obydwoma Mimbrenjami, zastaliśmy ich tam ukrytych wraz z końmi w zaroślach.

— Jesteście obydwaj? — zapytałem. — A więc nie ma już potrzeby śledzić Playera. Gdzie jest teraz?

— Niedaleko stąd, nad strumieniem, położył się na spoczynek — odparł Yuma Shetar. — Jest znużony drogą, gdyż wrócił dopiero wczoraj.

— Nie wiecie, gdzie przebywał w tym czasie?

— Miejsca nie znamy, ale odległość można obliczyć. Gdy Old Shatterhand i Winnetou odjechali, udałem się za tropem Playera, który prowadził mnie przez wyżynę, a następnie w

dół, do lasu. W lesie miał biały człowiek ukrytego konia; wsiadłszy nań, odjechał bardzo prędko na wschód, a skoro wydostał się z lasu, ruszył galopem, jak to ze śladów wyczytałem.

— Jaka tam jest okolica?

— Płaska, porośła trawą, pokryta rzadkimi niskimi pagórkami.

— Czy ślad jego szedł prosto, jak tropy zbiega, który chce uciec jak najprędzej?

— Nie; okrążał wzgórze zamiast przejeżdżać przez nie.

— Wobec tego pędziła go nie tylko trwoga przed nami. Prawdopodobnie zdążył do swoich sprzymierzeńców, ażeby donieść o naszym przybyciu.

— Tak jest. Nie wychodziłem z lasu, żeby przypadkiem Player wracając nie spostrzegł moich śladów; powróciłem spiesznie do mego brata; ukrywając konie, dotarliśmy do skraju lasu, gdzie trop białego wychodził na prerię. Tam położyliśmy się na czatach, daleko jeden od drugiego, aby ogarnąć większą przestrzeń i czekaliśmy na jego powrót.

Postępowali tak roztropnie, że sam nie mógłbym nic lepszego wymyślić.

— Czy moi młodzi bracia widzieli go jak wracał? — zapytałem.

— Tak jest; wczoraj gdy słońce stało na najwyższym punkcie swej drogi.

— Czyli we środę w południe; a odjechał w poniedziałek. Zatem okolica, w której był, leży o dzień drogi stąd, w kierunku wschodnim. W tej stronie znajduje się Fuente de la Roca. Musimy się dowiedzieć, czy tam jest pojedynczy posterunek, czy też większa siła. Zdaje się, że wyznaczono cały szereg takich posterunków, począwszy od hacjendy, ażeby każdą ważniejszą wiadomość można było szybko przesłać dalej.

Na to odparł Yuma Shetar:

— Tam, gdzie był Player, musi biwakować wielu Indian, gdyż pojechał na białym koniu, a powrócił na karoszu, który miał uprzęż indiańską.

— Miał poprzednio białego konia? Przecież nie widziałeś go!

— Nie, ale tam, gdzie był w lesie uwiązany, zauważyłem na gałązce krzaka zaczepiony biały włos z ogona końskiego, który mógł pochodzić tylko od siwka.

— Hm! Wobec tego masz słuszość. Wymienił zmęczonego konia, ażeby prędko wrócić. Wiadomość, jaką przyniósł, musi zostać przesłana dalej, także na świeżym koniu. Z tego wynika, że jest tam wiele wypoczętych koni i oczywiście ludzi. Dobrze, iż to wiemy, chociaż zapewne zmusimy go do wyjawienia nam prawdy. A więc moi bracia wiedzą, gdzie się teraz zatrzymał?

— Tak jest. Widzieliśmy, gdzie się położył. A ponieważ był znużony, więc zapewne nie opuścił jeszcze obranego miejsca. Najprawdopodobniej śpi teraz.

— Dobrze! Zaprowadźcie nas do niego!

Przywiązawszy konie, poszliśmy za obydwojema braćmi ku murom hacjendy, Dzień już szarzał i niebawem zobaczyliśmy draba ubranego jak ksiądz, leżącego nad brzegiem strumienia, który zataczał tutaj ostry łuk. Player miał derkę pod głową i spał głębokim snem; obok leżała strzelba, której nie zauważyłem przy pierwszym spotkaniu. Zbliżywszy się cichaczem, obsiedliśmy go z czterech stron. Strzelbę zabrałem i odłożyłem tak daleko, że nie mógł jej dosięgnąć. Czekaliśmy. Nie zależało nam na czasie, wszak musieliśmy dać koniom wypoczynek. Dlatego pozwoliliśmy mu spać nadal, zawczasu ubawieni myślą o niefortunnym jego ocknieniu.

Spod niezapiętego surduta wygadał pas, za którym tkwił nóż i dwa rewolwery dużego kalibru. Spróbowałem je wyciągnąć, ażeby go do ostatka rozbroić. Ostrożnie, powoli wyjąłem nóż i jeden z rewolwerów; drugi tkwił nieco mocniej; Player poczuł dotknięcie i obudził się. Teraz wyrwałem rewolwer jednym ruchem. Zbudzony wyprostował się do postawy siedzącej, szybko, bez śladu ospałości, jak prawdziwy westman i w mig sięgnął ręką do pasa po broń, nie znalazłszy jej jednak, otworzył usta, jakby chciał krzyknąć aliści nie wydobył dźwięku, tylko wlepił w nas duże osłupiałe oczy.

— *Good morning*, master Player! — pozdrowiłem. — Spaliście mocno i długo, co też wara się słusznie należy po dalekiej, dwudniowej jeździe.

— Co? Wiecie o mojej jeździe? — wykrztusił.

— Nie pytajcie tak naiwnie! Ludzie tego gatunku co my muszą przecież wiedzieć, gdzie bawiliście tak długo! Pojechaliście w góry, do czerwonych, żeby im donieść o naszej tutaj obecności — Przy tej okazji zamieniliście waszego siwka na karosza.

— Naprawdę, on wie o tym! Czego tu chcecie, sir? Dlaczego przebywacie całymi dniami w tej smutnej okolicy, gdzie trudno o pożywienie, tak dla człowieka jak i dla zwierzęcia?

— O to właśnie mógłbym ja was zapytać, zamiast jednak przelewać z pustego w próżne, wolę się wam przedstawić. A może wyjawilem swoje imię już w poniedziałek?

— Zbyteczna formalność. Gdzie Winnetou, tam nietrudno o Old Shatterhanda. W poniedziałek nie pomyślałem o tym od razu.

— Wierzę! Gdybyście o tym pomyśleli, zaniechalibyście ucieczki. Wiecie zapewne, jakim dobrym, a nawet serdecznym jestem przyjacielem Meltona i Wellerów; ponieważ zaś i wy jesteście z tymi *gentlemenami* w ścisłej zażyłości, więc ucieczka wasza to odruch zgoła niedorzeczny. Zbyt pochopnie również donieśliście Indianom o naszej obecności. Możemy to sami załatwić daleko lepiej, niż wy, ponieważ udajemy się także w góry.

— Do Almaden Alto? — wyrwało mu się mimo woli.

Była to nazwa owej kopalni rtęci, należącej do hacjendy. Dodatek *alto* — „wysoki” oznaczał, że kopalnia leży wysoko w górach.

— Tak jest. Do Almaden Alto — podchwyciłem. — A przedtem do Puentę de la Roca, żeby złożyć wizytę mojemu przyjacielowi Mełto — nowi. Jak wiecie, odczuwa dolegliwości w rękach. Pewien człowiek był tak bezwzględny, że wykręcił mu dłonie w przegubie; muszę zatem, jako serdeczny przyjaciel, udać się wreszcie do niego i zapytać o zdrowie. Należy to bowiem do obowiązków przyjaźni.

Player wiedział doskonale, co się stało z Meltonem; musiał więc rozumieć moje słowa i uważać je za to, czym były, to znaczy za szyderstwo. Znajdował się w położeniu niezbyt przyjemnym, ponieważ jednak ani ja, ani Winnetou nie mieliśmy powodów do osobistej zemsty nad nim, więc czuł się przynajmniej spokojny o swoje życie; dlatego uważał, że wskazane nie okazywać nam trwogi i zapytał tonem zdziwienia:

— Co mnie obchodzi wasz stosunek do Meltona? Już w poniedziałek przypuszczałem, że jesteście jego przyjacielem, skoro pytaliście o niego i wiedzieliście o moim pobycie w hacjendzie. Ale czego chcecie ode mnie? Podeszliście mnie ukradkiem, otoczyliście, zabraliście broń. Co to ma znaczyć? Uważałem zawsze Oki Shatterhanda za człowieka uczciwego.

— Jestem nim i dlatego też zawarłem tak serdeczną przyjaźń z Meltonem i obydwojma Wellerami. Opowiadali wam zapewne wiele dobrego o mnie? Musieli mnie przy tym darzyć niezwykłą czułością!

— Mówili o was rzeczywiście. Słyszałem od nich, że dostaliście się do niewoli Indian Yuma i mieliście umrzeć przy palu męczarni. Tymczasem widzę teraz, ku memu zdumieniu, że odzyskaliście wolność!

— O, temu dziwić się nie powinniście. Prawdopodobnie otarło się o wasze uszy, że częstokroć bywałem jeńcem i nieraz już miałem umrzeć przy palu; zdaje się jednak, że nie tak łatwo utrzymać mnie w niewoli. Posiadam pewną fatalną dla czerwonoskórych właściwość, dzięki której opuszczam ich zawsze bez pożegnania, aby niespodziewanie zjawić się znowu, właśnie wtedy, gdy najmniej pożądamy mojego widoku. Tak było również tym razem. Wymknąwszy się wojownikom Yuma, powróciłem i wziąłem ich do niewoli.

Następnie odsłoniłem mu w krótkich słowach tyle, ile uważałem za stosowne. Skutek okazał się natychmiast.

— Co? Mimbrenjowie nadchodzą? — zapytał, blednąc.

— Tak jest, nadchodzą. Widzicie tu przy mnie dwóch młodych wojowników z ich plemienia. Widzi mi się, że napędza to was obawą. Prawdopodobnie stosunek master Playera do Mimbrenjów nie grzeszy przyjaźnią. Jeśli tak, to gotów jestem wziąć was pod swoją opiekę, aby ci czerwoni nie wyrządzili wam jakiejś krzywdy.

— Wielką okażecie mi przysługę! — odezwał się Player skwapliwie. — Nie mam wcale zamiaru z nimi się spotkać.

— Pięknie! Dogodzę waszym chęciom, biorąc was ze sobą w góry Yuma do naszego przyjaciela Meltona.

Zakłopotanie Playera rosło. Wiedział przecież, że słowa moje zawierały tylko ironię i że o żadnej opiece nie mogło być mowy; musiał się raczej obawiać czegoś wręcz przeciwnego. Ażeby więc wyjaśnić sytuację rzekł:

— Przyjmijcie moje podziękowania, sir, za tę przysługę! Ale dlaczego zabraliście mi broń, jeżeli mi tak dobrze życzyście?

— Dla waszego dobra master Player. Gdyby Mimbrenjowie nadeszli jeszcze przed naszym odjazdem, osławiona waleczność mogłaby skusić was do zupełnie zbytecznego popisu. Nierozważny krok obruszyłby czerwonych; dlatego odebraliśmy wam chwilowo broń, ze względu na zdrowie i bezpieczeństwo wasze.

Jeniec milczał, nie wiedząc, co ma na to odpowiedzieć. Ja zaś mówiłem dalej:

— Zajmiemy się jeszcze gorliwiej waszym dobrem, mianowicie zwiążemy was nieco, ażebyście przypadkiem nie rozdrażnili Mimbrenjów, a wreszcie przeszukamy wasze kieszenie. Mogą zawierać przedmioty, które by się nie podobały czerwonym.

— Sir, czy mówicie poważnie? — wybuchnął Player. — Co wam zawiniłem, że napadliście, że chcecie mnie związać i zrewidować?

— Nam nic! Przecież mam przyjemność widzieć was niemal po raz pierwszy; co więc złego mogliście mi wyrządzić?! Ale przecież życzyście sobie szczerości więc powiem, czego od was chcę. Czy byliście w Almaden Alto?

— Nie; jeszcze tam nie byłem.

— A ja mówię, że byliście; ponieważ nie chcecie dobrowolnie odpowiadać więc wam usta otworzę. Jeśli przypuszczacie, że uda się „Playerowi” mnie oszukać, to dostaniecie takie cięgi, iż wam skóra popęka. Zwiążcie go!

Wezwanie skierowałem do Mimbrenjów, równocześnie chwyciłem Playera jedną ręką za gardło, drugą za pas i przycisnąłem do ziemi. Opierał się wprawdzie, krzyczał, o ile na to pozwalało ściśnięte gardło, rzucał rękami i nogami, niebawem jednak leżał już skrepowany.

— Co wam przychodzi do głowy! Co wam zrobiłem złego? — krzyczał. — Ja nie jestem zwykłym człowiekiem. Macie przed sobą mormona; należę do świętych dnia ostatniego. Teraz wiecie już, jak macie się ze mną obchodzić!

— Tak, teraz wiemy! — odpowiedziałem. — Należycie do tej samej sekty co Melton i będziecie traktowani jota w jota jak on.

— O nieba! — krzyknął rozpaczliwie. — Czy chcecie mi wyłamać ręce?!

Poprzednio wyznaczyłem mu kije; bastonada jest jednak widowiskiem niemiłym. Ponieważ sam naprowadził mnie, aczkolwiek przypadkowo, na środek daleko skuteczniejszy, więc postanowiłem odwołać się do niego. Chwyciłem jeńca za dłonie. Obawa przed złamaniem rąk musi, bądź co bądź, wyrzucić skutek pewniejszy niż tuzin batów. Toteż zaledwie nacisnąłem mocniej, wrzasnął Player w najwyższej trwodze:

— Nie! Stać! Nie łamać! Nie łamać! Powiem wszystko!

— Zgoda, będę pobłażliwy i zaczekam jeszcze. Ale odpowiadajcie prawdę na moje pytania! Za kłamstwo pękną wam kości natychmiast. Więc byliście w Almaden, a także w Fuente de la Roca?

— Byłem.

— Znacie tę okolicę tak dokładnie, że możecie służyć za przewodnika?

— Tak. Bywałem tam częściej; jeszcze przed Meltonem i Wellerami.

— Więc wy byliście właściwym wywiadowcą wysłanym dla zbadania okolicy?

— Tak jest. Ja zwróciłem uwagę Meltona na hacjendę i na kopalnię.

— Imigranci zostaną wywiezieni do Amaden Alto i zaprzęgnięci do pracy pod ziemią?

— Tak.

— Tak postanowiono jeszcze przed sprowadzeniem ich z Europy?

— Tak.

— Czy są tam Yuma?

— Są w Almaden i w Fuente. Po drodze rozstawiono posterunki w odległości jednego dnia jazdy konnej. Każdy posterunek składa się z pięciu ludzi.

— Na co wam potrzebni Yuma w Almaden?

— Mają się starać o prowiant i przewóz, za co zostaną wynagrodzeni dochodem z kopalni.

— Ilu ich jest?

— Trzystu obozuje w Almaden, dwudziestu w Fuente, a posterunków, o których poprzednio mówiłem, jest cztery.

— Kiedy imigranci przybędą do Almaden?

— Z pewnością są już na miejscu.

— Ilu z nich pójdzie pod ziemię?

— Wszyscy.

— Przecież dzieci chyba nie pójdą?

— Wszyscy, dzieci także.

— Skoro tak, to nie mamy czasu do stracenia. Musimy wyrzec się odpoczynku i ruszyć natychmiast. Czy mój brat Winnetou zgadza się na to?

— Winnetou uczyni wszystko, co Old Shatterhand uzna za stosowne — odpowiedział Apacz.

— Dobrze! Posłuchajcie więc, co według mego zdania, należy przede wszystkim zarządzić! Z tymi słowami odszedłem na bok, żeby Player nie mógł słyszeć naszej rozmowy, i rzekłem do młodszego syna Nalgu Mokaszi:

— Mój mały brat wie co zeznał Player. Ażeby wziąć do niewoli dwu dziesięciu Yuma przy Fuente i owe cztery posterunki potrzebujemy trzydziestu Mimbrenjów. Niech więc mój brat pojedzie do tych wojowników, którzy prowadzą trzody i wzięwszy trzydziestu ludzi, pospieszy z powrotem za nami. Dziewiętnastu zostanie przy trzodach, a jeden podąży do Nalgu Mokaszi i poprosi, aby stu wojowników czyni prędzej pojechało za nami do Almaden Skończyłem.

W dwie minuty później Mimbrenjo odjechał; po upływie pół godziny również byliśmy gotowi. Wyruszyliśmy w drogę prowadząc ze sobą Playera przywiązanego do konia. Na razie było nas trzech przeciw trzystu nieprzyjaciołom, ale nie miałem czasu na wahania tam, gdzie rozstrzygał się los moich ziomków.

## NAPRZECIW NIEBEZPIECZEŃSTWU

Zdążyliśmy zatem do starej kopalni ręci Almaden Alto. Droga prowadziła przez Fuente de la Roca. *Fuente* znaczy źródło, *roca* — skała; Fuente de la Roca można zatem przetłumaczyć jako „Źródło skalne”.

Ponieważ Winnetou znał okolicę, więc nie obawiałem się, że Player poprowadzi nas fałszywie, jednakże co do rozstawionych posterunków, musieliśmy się zdać na jego zeznania. Co prawda nie zastraszało nas pięciu ludzi, gdyby jednak jeniec wywiódł nas w pole, moglibyśmy łatwo zostać przez nich zaskoczeni. Należało więc napędzić mu strachu, aby odbiegła go chęć oszustwa.

Ażeby Mimbrenjowie, którzy mieli za nami przyjechać nie tracili czasu na szukanie śladów, staraliśmy się pozostawiać trop bardzo wyraźny, układaliśmy kamienie w szczególny sposób, gałązki pewnych drzew umieszczaliśmy na drzewach innego gatunku. Nasi sprzymierzeńcy mogli od razu odgadnąć kogo mają przed sobą i w jakim się zwrócić kierunku.

Opis okolicy, przez którą przejeżdżaliśmy odwiódłby nas zbyt daleko. Wznosi się ona jednostajnie ku wysokim góróm Sierry; im wyżej, tym częściej napotykać można lasy, wody jest wielki dostatek, bo jałowe płyty skalne nie rozciągają się nigdzie na większej przestrzeni. Około południa odpoczęliśmy chwilę nad strumykiem, żeby napić konie. Dłużej popasaliśmy dopiero w kilka godzin później. Obraliśmy sobie w tym celu róg lasu, z którego szeroko rozciągał się widok w trzech kierunkach. Playera zdjęliśmy z konia i położyli na ziemi. Teraz była pora odpowiednia na posiłek. Jeniec otrzymał także swoją część. Przez drogę nie zamieniliśmy ani słowa; teraz przypuszczając, że pierwszy posterunek już niedaleko i pragnąc wywiedzieć się o nim dokładnie, zapytałem Playera:

— Wczoraj, przejeżdżając tą drogą master, nie przypuszczaliście zapewne, że już dzisiaj będziecie tutaj powtórnie i to jako jeniec?

— Ja tędy przejeżdżałem? Mylicie się bardzo.

— Nie mydlicie nam oczu! Wiem nie tylko, że byliście tutaj, ale nawet widzę po siadach, iż nawróciliście konia, aby spojrzeć wstecz. Oczy mam dość bystre, ażeby rozpoznać ten szczegół, pomimo że trop wasz znika już prawie ze szczętem.

— Nieprawda! — twierdził Player. — Nie byłem jeszcze nigdy w tej okolicy.

— Hm! Widać zapomnieliście, co was czeka, jeśli będziecie trwali przy swoim głupim matactwie! Nie mam zwyczaju ludziom dokuczać! Posiadam jednak tę słabą stronę, że nie znoszę niewczesnych żartów. Zapamiętajcie to sobie! Czy przyznacie więc, że byliście tutaj i zatrzymaliście się na tym miejscu?

Jeniec, nie mogąc zdobyć się na odpowiedź, milczał.

— Czy otworzyć wam usta, jak dzisiaj z rana? Ażeby wam wyjaśnić położenie, wyznam otwarcie, że nie mamy wcale zamiaru was krzywdzić, jeśli spełnicie wszystko, czego zażądam. W przeciwnym razie nie liczcie na żadne względy. Wiemy, że pierwszy posterunek w pobliżu. Odszukamy go bez waszego zeznania. Wasz trop zaprowadzi nas do celu. Możemy jednak zyskać na czasie skoro wyjawicie, gdzie obozują Yuma.

— Tego mi nie wolno; to byłaby, zdrada — odrzekł Player.

— Raptem przemówiło w was sumienie?! Zresztą wiecie, że zwracam się do was w dobrej sprawie. Czyn ten nie przyniesie wam hańby. Decydujcie się prędko; nie mamy czasu do stracenia! Przystaniecie — dobrze; nie — wydacie wyrok na siebie. Gdzie posterunek?

Po ostatnim pytaniu chwyciłem go za rękę i nacisnąłem tak, że kości w przegubie zatrzęszczały.

— Dobrze już! Dobrze! — zawołał. — Powiem, co chcecie.

— Więc dobrze! Ale mów prawdę! Zapewniam i powtarzam, że nie chcemy cię skrzywdzić. Gdybyś jednak popsuł nam szyki oszustwem i łgarstwem czeka cię kula w łeb! Więc gdzie stoi posterunek?

— Niedaleko stąd — odpowiedział, patrząc ze strachem na moją rękę, w której ciągle jeszcze ścisnąłem jego przegub.

— Jak długo trzeba tam jechać?

— Dobrze pół godziny.

— Opisz okolicę! Ale pamiętaj, że jedno słowo nieprawdy przypieczętujesz śmiercią!

— Jedźcie się naprzód przez łąkę, którą tu widzicie. Następnie w las, pod górę. Poza wzniesieniem leży staw. Przy nim obozuje posterunek.

— Czy las jest gęsty?

— Tak. Ale prowadzi przezeń wąska ścieżka rzadko zarosła drzewami, jakby umyślnie wykarczowana, na górę, a stamtąd aż do stawu.

— Czy z owego wzniesienia można widzieć łąkę, którą musimy teraz przebyć?

— Nie; drzewa są zbyt wysokie.

— Indianie mają zapewne obowiązek nie oddalać się od stawu?

— Naturalnie; ponieważ jednak muszą zaopatrywać się w żywność, więc któryś z nich może się zapuścić w las, z tej strony góry; w tym wypadku spostrzegłby, jak nadjeżdżacie.

— Jak są uzbrojeni?

— W łuki i dzidy.

— Jak się nazywa wódz tych Yuma?

— Nie wiem, kto nimi teraz dowodzi. Później miał przybyć Vete-ya, z którym Melton zawarł kontrakt.

— To wystarczy na razie. Reszty mogę się dowiedzieć potem. Czy byłeś w Ures i czy znasz drogę, prowadzącą stamtąd do Almaden?

— Tak jest.

— Prawdopodobnie prowadzi obok stawu, o którym mówiliście przed chwilą.

— Tak, gdyż tam właśnie schodzi się z drogi od hacjendy.

Nie bez powodu pytałem; hacjendero i jego towarzysze, jak teraz się pokazało, musieli przejeżdżać obok posterunku i prawdopodobnie wpadli w ręce Indian. Winnetou był tego samego zdania. Słyszając odpowiedź Playera wstał i rzekł:

— Wobec tego musimy jechać dalej, ażeby uratować białych mężów, którym brak roztropności i doświadczenia.

— Więc mój brat sądzi, że...

Nie kończąc pytania, rzuciłem znaczące spojrzenie na Playera. Winnetou zrozumiał mnie i odrzekł:

— Ta blada twarz nie okłamała nas, a wyznała prawdę pod pięścią Old Shatterhanda. Winnetou zna ów staw i znalazłby go nawet w nocy.

— Teraz nie możemy wyruszyć; dzień w całej pełni, więc Yuma spostrzegą, gdy będziemy jechać przez łąkę.

— Winnetou nie jest tak nieostrożny, aby jechać wprost do lasu. Zboczmy na południe. Stamtąd przybyli biali z Ures. Musimy natknąć się na ich trop, którego wieczorem nie moglibyśmy wykryć.

Apacz miał słuszość, jak zawsze. Poszliśmy za jego radą. Staw leżał pół godziny na wschód; my jechaliśmy przynajmniej pół godziny na południe; po upływie tego czasu okazało się, że obliczenia mego przyjaciela zgodne były z rzeczywistością, gdyż natrafiliśmy na szeroki trop, biegnący na pomocny wschód. Winnetou zsiadł z konia, zbadał ślady i oznajmił:

— Pięciu jeźdźców. Są to niedoświadczeni biali, gdyż nie jadą jeden za drugim, tylko obok siebie. Wódz Apaczów przypuszcza, że mamy przed sobą ludzi z Ures.

— Jak dawno przejeżdżali tędy? — zapytałem.



— Prawdopodobnie wczoraj. Jeśli blade twarze wyruszają przeciw Indianom, wyciskając po drodze ślady tak wyraźne, to śmierć ich pewna. Znaleźliśmy trop, a wkrótce ujrzymy ich samych.

Z tymi słowami wskoczył na siodło. Ruszyliśmy za śladami naszych znajomych, głęboko przekonani, że zastaniemy ich jako jeńców, w rękach posterunku Yuma.

Ponieważ zбочyliśmy z poprzedniej drogi, las ukazał nam się z południowego wschodu. Mogliśmy więc przypuszczać, że nikt nas nie spostrzegł. Konie ukryliśmy w gęstym podszyciu leśnym. Playera przywiązano do drzewa. Następnie odezwał się Winnetou do naszego młodego towarzysza:

— Niech mój brat Yuma Shetar zostanie tutaj aż do naszego powrotu. Jedziemy wysledzić Yuma. Gdyby jeńiec nie przestrzegał ciszy, albo próbował ucieczki, mój brat wbije mu nóż w serce. W razie niespodziewanego wypadku, będzie Yuma Shetar sam wiedział co należy uczynić. *Howgh!*

Yuma Shetar wyciągnął nóż zza pasa i usiadł przy jeńcu, nie rzekłszy ani słowa. Nie mógł jednak ukryć dumy, jaką napawała go pochwała Apacza.

Winnetou i ja zapuściliśmy się w las; grunt tutaj szedł prawie stromo. Po chwili Apacz przystanął i zapytał półgłosem:

— Jak mój brat myśli, ilu Yuma obozuje przy stawie?

— Trzech — odpowiedziałem nie namyślając się długo.

— Old Shatterhand ma słuszość. Jest nas dwóch przeciw trzem. Uwolnimy pięciu białych prędko i bez trudu.

Nie było w tym nic dziwnego, że wiedzieliśmy tak dokładnie, ilu przeciwników mamy przed sobą. Player doniósł, że widział nas przy ruinach hacjendy; jeden więc z czerwonych odjechał natychmiast, aby przekazać tę wiadomość w Fuente de la Roca. Pozostało czterech.

Następnie przybyli biali z Ures i zostali wzięci do niewoli; o tym ważnym wydarzeniu musiano również zawiadomić posterunek przy Fuente — drugi posłaniec pojechał. Przy stawie zostało więc tylko trzech Indian. Hacjendero i jego towarzysze obficie zaopatrzyli się w żywność, którą im, oczywiście, teraz odebrano; a więc rzecz prosta, żadnemu z czerwo — noskórych nie przyjdzie na myśl trudzić się polowaniem.

Wspinaliśmy się pod gęstymi drzewami tak cicho, że w odległości kilku łokci nie można było słyszeć naszych kroków. Po krótkim czasie dotarliśmy do szczytu wzniesienia; nie było szerokie, a opadało szybko po drugiej stronie. Winnetou posuwał się z taką pewnością siebie, jakby niejednokrotnie przemierzał tę okolicę. W pewnej chwili odwrócił się ku mnie i podniósł ostrzegawczo palec, aby mi zwrócić uwagę, że odtąd należy poruszać się z jeszcze większą ostrożnością. Położył się i zaczął nasłuchiwać. Zarówno zabiegi Apacza jak i świeży zapach wody upewnił mnie, że jesteśmy tuż obok stawu.

Posunąwszy się na czworakach przystanąłem obok Winnetou i mogłem spojrzeć przez najniższe gałęzie krzaków dotykające prawie ziemi. Po środku malej polany leżał wspomniany staw. Rodzime jego źródło było zapewne tak słabe, że woda nie odpływała, tylko wsiąkała napowrót w porowaty grunt leśny. Miejsce było otoczone z trzech stron krzakami i drzewami. Wzdłuż czwartego boku ciągnęła się naturalna droga prowadząca z hacjendy do Fuente. Po przeciwnej stronie źródła, tuż przy drzewach, siedzieli trzej Indianie, a przy nich stali przywiązani do pięciu pni, nasi znajomi z Ures. Był to więc widok, którego się spodziewaliśmy.

Czerwoni i biali rozmawiali żywo ze sobą, posługując się mieszaniną wyrazów różnych języków używaną w tych stronach przez obie rasy, jako jedyny środek porozumienia. Nie tyle, aby słyszeć rozmowę, ile dla uwolnienia jeńców poczołgaliśmy się półkolem naokoło polany. Przylegliśmy tak blisko, że dobiegało nas każde słowo.

Trzej Indianie byli to zwykli wojownicy. Dwaj z nich siedzieli na świeżo obleczonych poduszkach „jurysty”; i z widocznym zadowoleniem połykali delikatesy, w które zaopatrzyła go na drogę małżonka. Jakże ucieszenie wyglądał w swoim uniformie, który nie licował

bynajmniej z otoczeniem lasu, łąki i czerwonoskórych. Trwoga, jak gdyby literami wypisana na jego obliczu, mało odpowiadała zadaniu, którym obarczyła go seniora wysyłając w dzikie góry Yuma. Towarzysze jego również nie grzeszyli wesołością, a tym mniej nasz bohater, szlachetny hacjendero. Wszystkie rzeczy jeńców złożono na jednym miejscu. Podział miał nastąpić dopiero później. Rozmowę prowadził tylko jeden z Indian, zapewne ten, który miał największy zapas wyrazów hiszpańskich. Ze sposobu, w jaki się nimi posługiwał, wynikało, że ma szczerą ochotę zapędzić białym duszę w pięty. Właśnie, zaledwie się ułożyłem wygodnie, dobiegły mnie jego słowa:

— Nie trudno poznać, że jesteście bardzo dzielnymi wojownikami, a jednak słusznie postąpiliście, nie broniąc się wcale, bo moglibyśmy zabić was na miejscu? Teraz pożyjecie sobie jeszcze kilka dni, dopóki nie zetniemy wam skóry pasami, aby z niej skręcić rzemień.

— Skórę... pasami... rzemień! — krzyknął *juriskonsulto*. — O Boże! To morderstwo; to męka; to największe tortury, jakie można wymyślić!

— Czyż więc nie jesteś pierwszym obywatelem i najwyższym przełożonym w mieście, które się nazywa Ures?

— Jestem nim; powiedziałem to już szanownemu panu, senior.

— Wiedz zatem, jaki zwyczaj u nas panuje: im dostojniejszy człowiek, tym większe tortury czekają go przy palu męczarni. Kto są ci trzej ludzie należący do ciebie?

— To są policjanci, moi poddani.

— Wobec tego zgotujemy im cierpienie pomniejsze. Oskalpujemy ich, a potem wyklujemy oczy.

Trzej policjanci wydali okrzyk przerażenia. Czerwonoskóry wykrzywił twarz w szyderczym uśmiechu, pokazał żółte zęby i mówił dalej, zwracając się do hacjendera:

— A ty jesteś, don Timoteo, bardzo bogaty człowiek. Tobie odetnie — my ręce. Jesteście naszymi wrogami; dlatego musicie wszyscy umrzeć śmiercią męczeńską.

— Zapłacę wam okup, jeśli mi wrócicie wolność!

— Czerwoni mężowie nie cenią pieniędzy. Cały kraj do nich należy; wszystko co wy macie, nam tylko zrabowaliście. Nie nęć nas podarunki, gdyż sami odbierzemy naszą własność, a wy — musicie umrzeć!

— Ja także zapłacę okup! — zawołał *juriskonsulto*. — Dam sto pistolów.

Yuma zaśmiał się tylko.

— Dwieście pistolów.

— Jesteś najbogatszym człowiekiem w Ures i chcesz dać tak mało?

— Więc dam trzysta, pięćset pistolów, najłaskawszy panie!

— Słyszałeś już, że nie chcemy pieniędzy! Zbyteczny to dla nas ciężar. Musicie umrzeć. Posłaniec pojechał; Bystra Ryba przybędzie jeszcze dzisiaj, żeby postanowić, jaką śmiercią macie zginąć.

W tej chwili hacjenderowi zabłysła pewna myśl, którą też natychmiast wyłożył:

— Jeśli nam wyrządzą choćby najmniejszą krzywdę, śmierć was czeka. Mamy potężnych przyjaciół; oni nas pomszczą!

— Kpimy sobie z waszych przyjaciół. Nie ma białego, którego by obawiał się wojownik Yuma.

— Jest jeden, którego boicie się wszyscy, mianowicie Old Shatterhand! Czerwony lekceważąco poruszył ręką i odparł:

— Old Shatterhand jest białym psem, którego zabilibyśmy uderzeniem w pysk, gdyby się odważył przyjść do nas. Ale on nie przyjdzie, nie ma go w tej okolicy.

— Mylisz się. Był w mojej hacjendzie, a potem rozmawiałem z nim w Ures. Zamierza udać się do Fuente i do Almaden, aby uwolnić białych robotników.

Te słowa zastanowiły Indianina. Zdawało się, że chce przewiercić hacjendera spojrzeniem, gdy zapytał niedowierzająco:

— Kłamiesz; usiłujesz nas zastraszyć, ale Yuma nie zna strachu!

— Ja nie kłamię! Senior *juriskonsulto*, potwierdź pan moje słowa. Wezwany, widząc w tym jedyną nadzieję ratunku, podjął spieszenie:

— Tak jest, don Timoteo mówi prawdę; najszanowniejszy pan może w to wierzyć. I Old Shatterhand i Winnetou byli u mnie.

Wcale nie było mi na rękę, że ci ludzie opowiadają o nas; w innych okolicznościach, gdybyśmy byli jeszcze daleko, mogli zarówno sobie, jak i nam niepowetowaną wyrządzić szkodę. Świadczyło o tym wrażenie, jaki wywołały nasze imiona na Indianinie.

— Uff, uff! — wykrzyknął Yuma, zrywając się z miejsca. — Winnetou był u was i Old Shatterhand także?

— Tak jest. Old Shatterhand był nawet dwa razy u mnie, najszanowniejszy panie. Ci dwaj najślawniejsi ludzie wyruszyli za nami, obierając drogę przez hacjendę del Arroyo.

Wtedy czerwonoskóry wyciągnął rękę i zawołał do towarzyszy:

— Czy moi czerwoni braci słyszeli? Old Shatterhand i Winnetou są razem; Player mówił nam, że widział Winnetou i jakiegoś białego przy ruinach hacjendy; to się zgadza: nasi jeńcy mówią prawdę. Z tego wynika, że ci obydwaj mężowie mogą przybyć tutaj w krótkim czasie. Musimy to miejsce natychmiast opuścić, ślady zniszczyć, a jeden z was pojedzie naprzeciw Bystrej Ryby, ażeby go ostrzec. Old Shatterhand i Winnetou są niebezpieczniejsi, niż stu innych. Wiemy od Playera, że Old Shatterhand był w niewoli u Vete-ya; jeśli teraz znowu zjawił się w okolicy hacjendy, to widać sam się uwolnił i będzie chciwy zemsty na nas, jak dziki bawół, który zwycięża nawet niedźwiedzia gór. A więc grozi nam największe niebezpieczeństwo i...

Nagle Yuma umilkł, odwrócił się przestraszony. Tego, co teraz nastąpiło, nie spodziewał się z pewnością. Ledwie przebrzmiały jego ostatnie słowa, zerwał się naraz Winnetou, przyskoczył doń błyskawicznie, położył mu rękę na ramieniu i rzekł swoim głosem spokojnym, a przecież tak imponującym:

— Więc Yuma kłamał, gdy mówił przed chwilą, że nie zna trwogi. Chciał zabić Old Shatterhanda jak psa, uderzeniem w pysk, a teraz gdy posłyszał, że ten biały wojownik jest gdzieś w pobliżu, czym prędzej szuka ukrycia, przyznaje, że Old Shatterhand i Winnetou znaczą więcej niż stu wojowników! Powiadam wam: żaden Yuma nie dotknie Old Shatterhanda, bo padnie zdruzgotany, zanim się zdoła zamierzyć!

Tak prosta, tak naturalna, a przecież tak imponująca była wielkość Apacza. W rękę nie miał żadnej broni. Srebrna rusznica wisiała na plecach; nóż tkwił nietknięty za pasem; ale stał przed Yumą tak dumnie wyprostowany, patrzył mu w twarz tak przesywającym wzrokiem i przygniatał mu ramię w tak potężnym uścisku, że tamten zaskoczony stał bez ruchu jakby oniemiały, nie mogąc się oprzeć sile, którą tchnęła postać Winnetou. Obydwaj pozostali Yuma, zerwawszy się, wnet przyrosli do ziemi ze zdziwienia. Przy sobie mieli tylko noże, dzidy, łuki i strzały leżały na uboczu. Broń ta na razie była bezużyteczna. Wtem pierwszy Yuma nabrał odwagi, cofnął się o krok i zapytał:

— Nieznany, czerwony wojownik! Kto — kto — kto?

Chciał zapewne zapytać, kim jest ów obcy Indianin, gdy słowa uwięzły mu w gardle. Przecież nie otrzęsął się jeszcze ze strachu. Ale pytanie jego okazało się zbyteczne, gdyż hacjendero, zobaczywszy Apacza, zawołał z nieopisaną radością:

— Winnetou, tak, to Winnetou! Chwała Bogu! Jesteśmy ocaleni!

— Winn... Winne... Winnetou? — zapytał Yuma urywanym głosem; naraz się otrzęsął, zrozumiał sytuację i krzyknął:

— Uff, uff! Apacz jest tutaj?! Uff! Chwytajcie za broń, wojownicy, gdyż inaczej...

Mówiąc to sięgnął po nóż. Towarzysze jego byli mniej przytomni; imię Winnetou oszołomiło ich do ostatka. Apacz jednym kopnięciem rzucił włócznię i strzały do wody i huknął na przywódcę:

— Milcz Yuma i nie ruszaj się! Tam oto stoi Old Shatterhand! Może spróbujesz uderzyć go w pysk?

Muie wydało się to wyrażenie śmieszne. Apacza jednak rozgniewało naprawdę. Stąd jego słowa. Wszedłem zza krzaków i lufy rewolwerów skierowałem na czerwonoskórych.

— To — to jest — Old Shatterhand? — zapytał Yuma, zwracając ku mnie osłupiałe oczy.

On jeden spośród tych ludzi zdolny był do szybkiego i stanowczego oporu. Jego należało przede wszystkim unieszkodliwić. Podszedłem więc bliżej i mówiąc:

— Tak, ja jestem Old Shatterhand jak to zaraz poczujesz! — uderzyłem go ręką w głowę; padł na ziemię i legł bez ruchu. Wtedy huknąłem na jego towarzyszy:

— Odrzućcie noże, bo dostaniecie kule w łeb!

Posłuchali natychmiast; było to ich pierwsze poruszenie, odkąd zerwali się z ziemi po wystąpieniu Winnetou.

— Połóżcie się w trawie i ani mi się ruszać!

Usłuchali szybko, nie próbując oporu. Rozwiązawszy białych poleciłem im tymi samymi rzemieniami skępować Indian. Można sobie wyobrazić jak chętnie i jak szybko to uczynili. Odważny *juriskonsulto* rzucił się na ogłuszonego przeze mnie Yuma, gdyż ten był najmniej niebezpieczny. Owijając rzemieniami jego ręce i nogi z gorliwością kata wołał:

— Tak, musi być związany, skępowany, zabity, jak wściekły pies, ten drab, ten łotr. Przywiozę go do Ures w powrozach, w łańcuchach, żeby wszyscy wiedzieli, iż wyszedłem zwycięsko z rycerskiej walki z najdzikszymi bestiami gór. Powracam do domu jako zwycięzca; kto potrafi mi się oprzeć!

Ta chępliwość, choć w gruncie śmieszna, złościła mnie jednak; wszak ten człowiek prawił o swojej, dla wybrańców nie mając ani jednego uprzejmego słowa. Dlatego ofuknąłem go gniewnie:

— Milcz! Kto pokonał czerwonych: ty czy ja? Może raczysz łaskawie podziękować mi za pomoc!

Na to urzędnik wyprostował się i odparł na poły z urazą, na poły z wyrzutem:

— Senior, ja jestem, zresztą pan wie przecież, kim jestem, uważam, że spełnił pan jedynie swoją powinność; uznaję to życzliwie, ale dziękować sennorowi nie mam potrzeby. Nieprawdaż, don Timoteo?

— Bardzo słusznie! — przytaknął szlachetny hacjendero. — Dostyc mamy odwagi i doświadczenia, aby obejść się bez ludzi, którzy nieustannie i natrętnie wsadzają nos w nie swoje sprawy!

Tego było rzeczywiście za wiele! Odruchowo zacisnąłem pięść. Ile trudu poniosłem dla tego nadętego „dona”! Musiałem zebrać całą siłę, żeby odejść spokojnie, nie wymierzwszy mu należnej zapłaty; jednakże znalazł się ktoś, kto na tę nikczemność nie został dłużny w odpowiedzi. Zaledwie bowiem ostatnie słowa przebrzmiały, odwracając się od hacjendera, usłyszałem dwa głucho uderzenia. Obróciwszy się szybko z powrotem, zobaczyłem Pruchilla i urzędnika leżących bez przytomności na ziemi. Winnetou powalił ich kolbą swej rusznicy i zamierzał się właśnie na policjantów, którzy przestraszeni jego błyskawicznym odruchem nie myśleli o oporze ani o ucieczce.

— Stój, tych nie! — zawołałem, chwytając Apacza za rękę. — Oni temu nie winni!

Winnetou opuścił podniesioną już do ciosu strzelbę i rzekł stanowczo, ciskając z oczu błyskawicę gniewu:

— Dobrze, jeśli mój brat tak chce. Oszczędzę ich, ale pod warunkiem, że pozwolą się z powrotem przywiązać do drzew. Inaczej roztrzaskam im głowy!

Równocześnie stanął pomiędzy nimi a ładunkiem rzeczy, odebranych jeńcom, odcinając policjantów od karabinów. Tak rozgniewanego jak w tej chwili, nie widziałem go jeszcze nigdy. Nie wiem, czy pod wpływem groźnej postawy Apacza, czy też pod wrażeniem

wypadków, które się rozegrały w ostatnich dziesięciu minutach, jeden z policjantów wystąpił naprzód, wyciągnął do mnie ręce i powiedział:

— Tak jest, zwiążcie nas, senior; nie będziemy się sprzeciwiać! Wiem, że nie wyrzadzicie nam krzywdy, że chcecie tylko pokazać tym obydwu niewdzięcznikom, z kim mają do czynienia. Pragniemy udowodnić panu naszą wdzięczność przez to, że wykonamy wszystko, czego senior od nas zażąda.

— Dobrze! Muszę was związać ze względu na waszego przełożonego; gdyby wezwał was, abyście go uwolnili, musielibyście posłuchać jego rozkazu, a ja znowu nie zgodziłbym się na to. Zresztą będziecie wkrótce wolni.

Policjanci jedynie z musu udali się w góry ze swoim przełożonym; jego niedołęstwo wpędziło ich w niewolę, z której tylko dzięki nam uszli z życiem. Byliby chętnie wyrazili słowami swoją wdzięczność, zabrakło im jednak odwagi wobec zwierzchnika. Z twarzy ich wyczytałem oburzenie. Prawdopodobnie cieszyli się, że dostał nauczkę.

Związałem ich jak również obydwu ogłuszonych „seniorów”. Winnetou poszedł po naszego towarzysza; wkrótce wrócili prowadząc konie i Playera.

Teraz Yuma Shetar otrzymał od nas dokładne wskazówki, jak ma się zachowywać wobec jeńców; miał bowiem pozostać przy nich, jako strażnik, podczas gdy my wzięliśmy na siebie schwywanie dwóch pozostałych Yuma, którzy służyli za posłańców do Fuente de la Roca. Powrotu ich należało się spodziewać w każdej chwili. Wyruszyliśmy naprzeciw natychmiast nie chcąc dopuścić, aby się zanadto zbliżyli do obozu. W tym wypadku mogliby nas wcześniej spostrzec, niż my ich i uciec, być może raniąc któregoś z nas z zasadzki.

Naturalnie trzymaliśmy się drogi, którą musieli jechać upatrzeni Indianie. Poszliśmy pieszo, nie biorąc strzelb ze sobą, były nam bowiem zbyt ciężkie.

Drogę, o której wspominałem, wyznaczał wąski pas łąki, biegnący w poprzek gęstwiny i z rzadka tylko porośnięty drzewami. Doszedłszy do skraju lasu usiedliśmy pod osłoną ostatnich krzaków, gdyż odtąd zaczynała się otwarta preria, na której brak ukrycia. Wieczór zapadał więc raczej na słuch, aniżeli wzrok zdać się należało. Czekaliśmy długo w milczeniu, aż na koniec odezwał się Winnetou, który nie zamienił ze mną jeszcze ani słowa, od czasu jak mu przeszkodziłem ogłuszyć policjantów.

— Czy mój brat Old Shatterhand gniewa się na mnie, że ukarałem te dwie blade twarze?

— Nie — odpowiedziałem. — Wódz Apaczów postąpił zupełnie po mojej myśli.

— Tacy mogą się trafić tylko pomiędzy białymi. Indianin, gdyby dotychczas był moim śmiertelnym wrogiem, ofiarowałby przyjaźń i swoje życie, gdybym go ocalił od takiego niebezpieczeństwa. Blade twarze mają tylko piękne słowa, czyny ich są smutnym świadectwem. Co zrobimy z tymi niewdzięcznikami?

— Niech Winnetou postanowi.

Ponieważ Apacz nie odrzekł nic, więc i ja także milczałem. Tymczasem ściemniło się zupełnie; od tej chwili musieliśmy bacznie nasłuchiwać w kierunku łąki. Posłańcy ruszyli wprawdzie pojedynczo, w dużym odstępie czasu, spodziewaliśmy się jednak, że powrócą razem. Przypuszczenie to sprawdziło się niebawem. Po pewnym czasie usłyszeliśmy odgłos kopyt, a pochodził od dwóch koni, jadących obok siebie. Porzuciliśmy kryjówkę, aby zbliżyć się do drogi.

— Ty bliższego, a ja z drugiej strony — szepnąłem do Winnetou i przeskoczyłem na przeciwny skraj wąziutkiej łąki.

Indianie nadjechali i chcieli nas minąć, nie spostrzegając nic podejrzanego. Wierzchowce miały bystrzejsze zmysły; zaczęły parskać, wzbraniały się iść dalej. Winnetou, lub ja na miejscu tych Indian popędzilibyśmy natychmiast z powrotem, aby później podkradłszy się pieszo zbadać owe podejrzone miejsce. Tymczasem dwaj czerwoni, czy to przez nieostrożność, czy brak doświadczenia, czy wreszcie dlatego, że zbyt bezpiecznie czuli się w tej bezludnej okolicy, dość, że opór wierzchowców gotowi byli przypisać raczej bliskości dzikiego

zwierzęcia. Więc głośnymi okrzykami usiłovali przepędzić domniemanego drapieżnika. Cofnąłem się o kilka kroków poza Indianina, którego miałem ująć, rozpędziłem się i wskoczyłem z tyłu na jego konia. Zaledwie usiadłem, lewą ręką ścisnąłem mu gardło, lewą wyrwałem uzdę z ręki. Czerwony umilkł i w pierwszej chwili zapomniał o obronie, a gdy się opamiętał było już za późno. Wysadziłem go z siodła i zajmawszy jego miejsca położyłem przed sobą jeźdźca w poprzek, ani na chwilę nie wypuszczając krtani Yuma z uścisku. Za zbyteczne uważam nadmienić, że Winnetou nie zaspiał sprawy. Spięliśmy konie ostrogami i galopem ruszył ku obozowi. Co prawda, w mroku nie była to jazda bezpieczna, przy znacznej jednak szybkości nie mogli się czerwonoskórzy bronić skutecznie, a i nasz wysiłek nie trwał długo.

Mimbrenjo okazał się domyślnym i rozpałił ogień, który nas doprowadził wprost do obozowiska. Gdy zeskoczyliśmy z koni nie wypuszczając jeńców z rąk, nasz młody towarzysz skrępował ich pośpiesznie. Położenie było osobliwe. My, samotrzeć, mieliśmy jedenastu więźniów: pięciu Yuma, Playera, hacjendera, dyrektora policji z Ures i jego trzech podwładnych — a jeszcze chcieliśmy unieszkodliwić owych dwudziestu Indian obozujących przy Foente de la Roca. Czy nie byliśmy zbyt dufni w sobie? Może tak, a może i nie. Powodzenie zależało od tego, jak się człowiek do rzeczy zabiera, a przy tym, rzecz prosta, wiele stanowi szczęśliwy zbieg okoliczności.

Obydwaj Yuma, ostatnio przez nas przechwyceni, mogli teraz swobodnie odetchnąć, z czego też natychmiast skorzystali, obrzucając nas obelgami i żądając bezzwłocznego uwolnienia.

W innych okolicznościach nie otrzymaliby odpowiedzi; wszelako z powodów, które się zaraz wyjaśnią, chciałem poznać ich imiona, a także imię przynajmniej jednego z trzech Yuma, poprzednio przez nas pokonanych. Dlatego odpowiedziałem temu, który gardłował najdłużej.

— Przypuszczasz, jak się zdaje, że usta są tylko na to, żeby mówić. Człowiek rozumny potrafi ich użyć do milczenia.

Winnetou rzucił mi zdziwione spojrzenie, choć nie rzekł nic, domyślając się słusznie, że skoro zniżam się do odpowiedzi, nie czynię tego bez powodu. Jeniec zaś odparł z gniewem:

— Jesteśmy wojownikami Yuma i żyjemy w zgodzie z białymi. Jakim więc prawem odważacie się nas napadać?!

— Każdy może twierdzić, że jest wojownikiem, ale nie każdy potrafi dowieść prawdy swoich słów. Ciekawe jak brzmi twoje sławne imię?

— Nie szydź! Przed moim imieniem drżą wszyscy nieprzyjaciele. Nazywam się Czarny Sep.

— A twoi towarzysze?

Jeniec wymienił ich imiona i dodał:

— Są oni równie sławni jak ja; będziesz mocno żałować, że się na nas porwałeś.

— Twoja gęba większa niż czyny. Nie słyszałem jeszcze nigdy waszych imion. A gdybyście byli rzeczywiście tak sławnymi mężami za jakich się podajecie, nie bylibyście wpadli tak głupio w nasze ręce.

— Było już ciemno; nie mogliśmy was widzieć, a ponieważ żyjemy w zgodzie ze wszystkimi białymi i czerwonymi mężami, więc nie podejrzewaliśmy nikogo o wrogie względem nas zamiary. Żądam natychmiastowego uwolnienia!

— Zaczekaj jeszcze chwilę! Twierdzisz, jakobyście żyli w zgodzie ze wszystkimi ludźmi. Dlaczego więc Vete-ya napadł na hacjendę del Arroyo i spustoszył ją? Dlaczego zachowujecie się wrogo względem Mimbrenjów? Pohamuj się! Mówisz do ludzi, którym nie jesteś godzien podać kropli wody. Popatrz na tego sławnego wojownika. Jest to Winnetou, wódz Apaczów, a mnie nazywają Old Shatterhandem.

Jeniec zamilkł. Widocznie nasze imiona wywarły na nim pożądane wrażenie. Mimbrenjo chciał położyć Yumę i jego towarzyszy obok trzech pierwszych jeńców; ja jednak dałem mu potajemny znak, żeby tego nie czynił.

Yuma uznał za stosowne milczeć; za to wyręczyli go inni. Hacjendero i *juriskonsulto* już dawno wrócili do siebie i władca Ures pieniał się ze złości:

— Co to ma znaczyć, senior, żeście się porwali na mnie, uderzyli i związali na nowo? Za ten postępek pociągnę was do odpowiedzialności!

— Nie pleć pan głupstw! — odpowiedziałem. — Prawnik i uczonec powinien przecież wymyślić coś dowcipniejszego! Nie ja pana uderzyłem, a poza tym widzę pana w tym samym położeniu, w jakim go tutaj zastałem. Jakże być może mowa o odpowiedzialności?

— W międzyczasie byłem wolny, a pan kazał nas związać z powrotem. To jest gwałt na wolności, karany więzieniem! Powtarzam, że w Ures będzie senior odpowiadał przed sądem!

— Pańskie piękne Ures już nigdy nie powita mnie w swoich murach, a pan również nie zobaczy go więcej, ponieważ ów krótki czas, jaki pozostaje mu jeszcze do przeżycia spędzi pan tu, przy tym drzewie, do którego jesteś przywiązany.

— Czy pan jest przy zdrowych zmysłach?! Pan nie ma zamiaru mnie uwolnić?

— Nie. Raz tylko byłem niemądry, ale się tak sparzyłem, że nie przyjdzie mi już więcej do głowy powtarzać podobnego głupstwa. Naprawię je w ten sposób, że pozostawię was w takim samym położeniu, w jakim znalazłem. Jutro z rana odejdziemy i nie będziemy się więcej o was troszczyć.

— Senior chce nas tylko zastraszyć! — zawołał hacjendero. — To przecież niemożliwe, żeby człowiek biały i chrześcijanin w ten sposób postępował.

— Czy pańska wdzięczność była wdzięcznością człowieka białego i chrześcijanina?

Oczywiście, czekałem tylko na prośbę z jego strony, na jakieś ciepłe słowo. Hacjendero wszakże nie mógł się na nie zdobyć, a *juriskonsulto* zawołał nawet:

— Rób pan co chcesz, senior! Mimo to nie dopnie pan swego celu, a tym bardziej nie ujdzie pan zasłużonej kary. Nawet gdyby sennor wprowadził w czyn swoją groźbę, znajdą się ludzie którzy nas odwiążą, skoro pan odjedzie.

— Któż to taki? — Ci Indianie!

Mówiąc to, wskazał ruchem głowy na Yuma.

— Ci? Oni są sami w niewoli i skrępowani. Zresztą zastrzelimy ich zanim opuścimy to miejsce.

— Zastrzelicie ich? Chyba nie mówi pan poważnie. Wtedy musielibyśmy umrzeć z głodu!

— Oczywiście!

— Senior, pan jest okrutnikiem, potworem!

Na te słowa nie mogłem się już dłużej powstrzymać; przystąpiłem całkiem blisko do niego i rzuciłem mu w twarz:

— A pan jesteś najokazalszym osiem, którego kiedykolwiek widziałem!

Na koniec poznał, że zabierał się do rzeczy z gruntu fałszywie; umilkł więc, a ja przysiadłem się do Winnetou i Mimbrenja, aby wspólnie spożyć wieczerzę. Następnie nakarmiliśmy jeńców nie rozwiązując im bynajmniej rąk. Jedynie policjantom daliśmy te swobodę. Po posiłku skrępowaliśmy ich na powrót, ale tak lekko, aby im więzy nie dolegały. Potem ustanowiliśmy kolejność czuwania, przy tej sposobności zapytał mnie Winnetou:

— Old Shatterhand zniżył się poprzednio do rozmowy z tym Yuma. Z jakiego powodu mój brat nie zbył go milczeniem?

— Nakazała mi to roztropność. Chciałem poznać imiona Yuma.

— Jaką korzyść mogą ci przynieść?

— Chcę się przekonać, co odpowiedział Bystra Ryba na doręczone mu poselstwo. Dla nas to wiadomość bardzo ważna. Ponieważ wysłańcy nie zdradzą nam jej ani dobrowolnie, ani pod przymusem, więc musimy uciec się do podstępów.

Apacz spojrział na mnie bystro i ze skupieniem, wszakże tym razem myśli moich odgadnąć nie mógł.

— Wódz Apaczów rozumie mowę Yuma; cieszyłbym się, gdyby językiem ich tak władał, żeby mógł ująć za rodowitego wojownika tego szczepu.

— Winnetou zna ten język jak rodowity Yuma.

— To bardzo dobrze. Kazałem umyślnie położyć posłańców z daleka od tamtych trzech Yuma, aby nie mogli się nawzajem porozumieć. Wódz Apaczów słyszał ich imiona. Jeden z posłańców nazywa się Czarny Sęp, a jeden z pośród tych trzech poprzednio schwytanych Ciemna Chmura. Wybieram jego, ponieważ wydaje mi się najmniej sprytny, a zatem najodpowiedniejszy do naszych zamiarów. Otóż obmyśliłem plan następujący: nie będziemy już ognia podsycać, a pozwolimy mu zgasnąć. Skoro okryją nas ciemności, zakradnie się Winnetou do Czarnego Sępa, poda się za Ciemną Chmurę i...

— Uff! — przerwał Apacz. — Teraz rozumiem mojego brata. Jestem Ciemna Chmura i udało mi się uwolnić z więzów.

— Tak jest.

— Wspaniały pomysł. Naturalnie mam zamiar rozwiązać moich czerwonych braci, żeby mogli także uciec. Podczas gdy będę usiłował uwolnić Czarnego Sępa, opowie mi co postanowił Bystra Ryba.

— Tak jest, oczywiście tylko wtedy, gdy cię nie pozna.

— Pewien jestem, że mnie weźmie za Ciemną Chmurę zwłaszcza, że będę musiał szeptać, wtedy glosy wszystkich ludzi brzmią jednakowo.

Wobec tego nie dokładaliśmy już szczap do ogniska. Winnetou i ja wyciągnęliśmy się na trawie i po kilku minutach ogarnął nas sen; Yuma Shetar objął pierwszą straż i usiadł, odwracając się plecami do Ciemnej Chmury, Skoro czuwał chłopiec, łatwiej w mniemaniu Indianina mógł się uwolnić jeden z jeńców, niż gdybym ja albo Winnetou pełnił służbę wartownika. Mimbrenjo zabrał się bardzo zręcznie do rzeczy. Jak gdyby zmorzony wysiłkami dnia, położył się również, oparł łokieć na ziemi, dłoń podłożył pod głowę i po kilkakrotnych pozornych próbach odpędzenia snu, zamknął oczy.

Zanim jeszcze ogień wygasł do cna, rozwarłem nieco powieki i spostrzegłem, że czerwonoskórzy przenikliwie obserwowali naszego strażnika, rzucając sobie przy tym wiele znaczących spojrzeń. Nie uszło również mojej uwadze, że policjanci szeptali z urzędnikiem i hacjenderem. Zrozumieli od dawna moje postępowanie względem tych ostatnich i zapewne dawali im teraz dobrą radę — jedyną jaka w obecnych warunkach mogła ich uratować. Tymczasem płomień malał coraz bardziej. Indianie nie omieszkali skorzystać ze sposobności; wyciągali się i wili w swoich więzach, usiłując je rozerwać. Jeszcze przez chwilę żarzyło się kilka gałązek; potem wygasły ostatnie szczapy i nastąpiła ciemność tak gęsta, że choć oko wykol.

Mogło się zdawać, że nasz plan był ryzykowny, nawet niebezpieczny. Yuma byli wprawdzie skrępowani, ale nie przywiązani do drzew; pod osłoną ciemności mogli się oddalić, tocząc po ziemi, a następnie rozplatać sobie nawzajem więzy zębami. Tego jednak nie obawiałem się, bo ciemność nie miała trwać długo, a Winnetou, znajdując się przy Czarnym Sępie, musiałby natychmiast zauważyć wszelkie poruszenie wśród czerwonoskórych.

Apacz, trąciwszy mnie na znak, iż odchodzi, odpełznął tak zręcznie, że nawet ja nie słyszałem najmniejszego szmeru, jakkolwiek leżałem tuż obok niego. Odłożył wszystko, co miał przy sobie i zachowując największą ostrożność, znalazł się po chwili obok Czarnego Sępa. Lekko go ręką dotknawszy, szepnął:

— Cicho! Niech się Czarny Sęp nie przestraszy i nie zdradzi żadnym ruchem, ani okrzykiem!

Czerwonego zaskoczyły te niespodziewane słowa, upłynęła bowiem długa chwila, zanim zapytał szepem:

— Kto tu?

— Ciemna Chmura.



Czy Yuma da się zwieść, czy nie? Winnetou oczekiwał wyniku z napięciem. Wtem jeniec szepnął:

— Poczulem rękę mojego brata. Czy wolna jest od więzów?

— Obie moje ręce są wolne. Ciemna Chmura nie był mocno związany i uwolnił się bez trudu.

— Niech więc Ciemna Chmura rozwiąże prędko i mnie! Te psy śpią. Napadniemy na nich i zabijemy!

Winnetou zaczął pozornie rozplątywać rzemienie więźnia pytając:

— Czy nie byłoby lepiej zostawić ich przy życiu? Bystra Ryba cieszyłby się, gdyby ich ujrzał schwytyanych żywcem.

— Ciemna Chmura nie myśli roztropnie. Ludzi takich jak Old Shatterhand i Winnetou powinien zabić każdy, komu życie drogie. Inaczej wisieliby nad nami ciągle niebezpieczeństwo. Bystra Ryba nie mógł jechać natychmiast; przybędzie tutaj przed południem z pięcioma wojownikami, żeby zabrać białych niewolników. Ale dlaczego Ciemna Chmura mitręży? Przecież węzeł rozwiązać nietrudno!

— Węzeł jest rozwiązany, ale inny, nie ten, o którym myśli Czarny Sęp. Po tych słowach Winnetou cofnął się szybko i powróciwszy do nas, położył się na powrót obok mnie udając, że śpi. Mimbrenjo rozpałił ogień na nowo i czuwał dalej.

Przez szpary powiek obserwowaliśmy z wielkim zadowoleniem z jakimi zdziwionymi oczami spoglądał Czarny Sęp na Ciemną Chmurę. Wiedział przecież teraz, że towarzysz jego leży skrępowany. To musiało mu nasunąć podejrzenia; po chwili jednak oblicze jego rozjaśniło się na powrót; pewien był, że trafił w sedno zagadki: oto Mimbrenjo obudził się i poruszył, a Ciemna Chmura posłyszawszy to, wrócił czym prędzej na swoje miejsce, założył sobie więzy z powrotem, żeby zmylić czujność strażnika.

Po krótkim czasie usnąłem. Kiedy wypadła moja kolej czuwania, zbudził mnie Winnetou. Pierwsze spojrzenie skierowałem na Czarnego Sępa. Udawał, że śpi, w rzeczywistości jednak czekał jeszcze na Czarną Chmurę. Usiadłem tak, jak Mimbrenjo, to znaczy plecami do Chmury. Sęp otwierał od czasu do czasu oczy i ciskał wściekle spojrzenia na swego towarzysza, którego ospałość już od dawna nie mogła pomieścić mu się w głowie.

Skoro nastał dzień zbudziłem Winnetou i Mimbrenja. Czarny Sęp nie mógł już dłużej ukryć wściekłości. Rysy miał wykrzywione, z oczu strzelały błyskawice gniewu. Winnetou zauważywszy to przystąpił do niego i rzekł z lekkim uśmiechem:

— Czarny Sęp mniema, że jest wielkim wojownikiem, a jednak nie umie ukryć swych myśli. Czytam w jego obliczu, że gniewa się na Ciemną Chmurę.

— Wódz Apaczów widzi rzeczy, które nie istnieją!

— Winnetou widzi fakty. Dlaczego Ciemna Chmura nie zabił strażnika. Trzej czuwali i wszyscy trzej siedzieli zwrócenii plecami do Ciemnej Chmury. Ciemna Chmura mógł ich z tyłu zakłuć lub ogłuszyć, a potem uwolnić swoich czterech towarzyszy.

— Nie rozumiem słów Winnetou!

— Czarny Sęp rozumie doskonale. Ciemna Chmura był przecież przy nim, żeby mu rozwiązać rzemienie. Opuścił go jednak sromotnie i ułożył się z powrotem na spoczynek. Długi, pokrzepiający sen jest lepszy niż wolność.

Wtedy na ustach Indianina zebrała wściekłość.

— Ciemna Chmura nie jest wojownikiem, nie jest mężczyzną, tylko starą babą, która ucieka przed każdym robakiem, jaki stanie jej na drodze.

Zelżony słyszał te słowa. Wyprostowawszy się, o ile mu na to pozwalały więzy, zawołał:

— Co Czarny Sęp powiedział? Ja mam być starą babą? On sam jest znany w całym szczepie jako najtchórzliwsza stara baba. Gdyby był mężczyzną, nie pozwoliłby się schwytać!

— Przecież i ty jesteś w niewoli — odparł Sęp. — Dlaczego więc dałeś się pojmać? I to za dnia, a nie po nocy! Co za tchórzostwo uwolnić się z więzów i założyć je sobie na powrót ze strachu przed strażnikiem.

Teraz nastąpiła gwałtowna wymiana słów między obydwojma czerwonoskórymi. Byliby się nawzajem zamordowali, gdyby nie krępowały ich więzy. Wreszcie Winnetou zakończył tę scenę wyjaśniając Czarnemu Sępowi, jak się rzecz miała w istocie.

— Ty — ty — ty to byłeś?! — zawołał Sęp z bezgranicznym zdziwieniem.

— To niemożliwe! Przecież poznałem Ciemną Chmurę po głosie!

— Jesteś więc nie tylko ślepy, ale na pół głuchy, bo nie inny, ale mój głos słyszałeś. Zdradziłeś mi wszystko co chciałem wiedzieć.

— Czy słyszycie! — zawołał Ciemna Chmura. — On uważał wodza Apaczów za mnie i wydał mu nasze tajemnice. Hańba mu! Szczep powinien go wygnać!

— Zarówno ty, jak on, nie będziecie już należeli do szczepu Yuma, bo zanim stąd odjedziemy, poczęstujemy was kulami. Wtedy słońce j zaświeci w wasze otwarte czaszki i przekona się, że nie było w nich i nigdy rozumu!

Groźba tak przestraszyła Yuma, że umilkli natychmiast, ale za to otwarła usta komuś innemu. Mianowicie przemówił *juriskonsulto*. Policjanci wyjaśnili bohaterowi sytuację. Wiedział, że chcemy zastrzelić Indian i odjechać zostawiając jego i towarzyszy skrzepowanych. Postłyszawszy więc ostatnie słowa Winnetou uznał, że zbliża się chwila krytyczna i odezwał się do mnie tonem błagalnym:

— Senior Shatterhand, czy czerwoni zostaną naprawdę rozstrzelani?

— Tak jest — odpowiedziałem — w przeciagu kwadransa. Potem odjedziemy.

— Ale przedtem uwolnicie nas!

— Nie. Powiedziałem już panu, że ani nam to w głowie powstało.

— Ale niech pan pomyśli, najszanowniejszy panie, że my przez to zginiemy!

— A pan jak czynił? Poza tym wypraszam sobie tego „najszanowniejszego”. Rezygnuję z tytułu, jaki dawaliście już poprzednio Yuma. Zdaje się, że uprzejmy bywa pan tylko wtedy, gdy włosy stają panu dęba.

— Nie, nie! Umiem być uprzejmy i będę uprzejmy. Jeśli sennor nas uwolni, nie usłyszysz pan już ani jednego niemiłego słowa. Przyznaję, że byliśmy niewdzięczni, że bez pana zginęlibyśmy marnie; hacjendero doszedł także do tego przekonania. Nieprawdaż, don Timoteo.

— Tak jest senior Shatterhand — odpowiedział zapytany. — Przez tę noc wiele przemyślałem i teraz wiem, że gdybym pana usłuchał nie spadłoby na mnie tak wielkie nieszczęście.

Prosił hacjendero i prosił urzędnik. Skruszyła ich noc spędzona w więzach, w postawie stojącej. Tego właśnie pragnąłem. Zapytałem więc tonem bardziej przyjacielskim niż dotychczas:

— Cóż więc zrobicie, skoro was uwolnię? Powróćcie do Ures i zaskarżycie mnie?

— Nie, nie! — odparł hacjendero. — Przyjechałem tutaj, żeby schwycić Meltona i odebrać swoje mienie. Tego w Ures nie osiągnę. Jeśli pan będzie tak dobry i rozwiąże nas, pojedziemy z panem do Almaden Alto, żeby tam ukarać oszustów.

— Tak jest, pojedziemy z panem — potwierdził *juriskonsulto*. — Pociągniemy tych łotrów do odpowiedzialności i dokonamy wielkich czynów walcząc z Yuma.

— Jeśli tak, to wolałbym was zostawić, gdyż jestem przekonany, że bez was dostaniemy się prędzej i łatwiej do celu. Przecież wy będziecie ciągle tylko nowe głupstwa popełniać.

— Nie, nie! Przyrzekamy panu, że będziemy postępować mądrze, jak węże, i nie uczynimy nic, nie zapytawszy pana o pozwolenie.

— Jeśli macie silne postanowienie dotrzymać tego, to dam się uprosić, przedtem jednak musicie podpisać dokument tej treści, że nie macie najmniejszego powodu robić wyrzutów

mnie i Winnetou i że jesteście zobowiązani do wdzięczności względem nas, jako ludzi, którzy wybawili was od śmierci.

— Zgadzą się.

— Następnie musicie się zwrócić z prośbą do Winnetou. On ma na równi ze mną prawo postanowić, czy macie odzyskać wolność.

Jeńcy wykonali polecenie, Winnetou jednak nie odpowiedział im wprost, lecz zwrócił się do mnie.

— Blade twarze są jak pchły, które nie przynoszą nikomu pożytku, ale i szkodzić nie potrafią. Dokuczają tylko. Jeśli Old Shatterhand chce wlec za sobą to robactwo, to jego rzecz i jego wola. Wódz Apaczów nie ma nic przeciwko temu.

Na skutek tej odpowiedzi rozwiązałem im rzemienie. Teraz okazało się, że czuli naprawdę trwogę, gdyż chwycili mnie za ręce i zaczęli dziękować. Szczęściem przeszkodził im w tym ktoś, kogo się tu najmniej spodziewałem. Mianowicie, dokładnie w tym samym miejscu, w którym doszliśmy wczoraj do stawu, rozwarły się zarośla i ukazał się młodszy Mimbrenjo, którego posłałem do Indian pilnujących trzód hacjendera, z rozkazem przyprowadzenia mi trzydziestu wojowników. Ponieważ wrócił tak prędko, więc musiało wydarzyć się tam coś niedobrego. Przybyły podał rękę swojemu bratu, a później zwrócił się do nas ze słowami:

— Moi wielcy bracia zostawiali tak wyraźny trop, że mogłem iść za nimi szybko i bez trudu. Niestety nie wszystko stało się tak, jak sobie Old Shatterhand życzył. Nasi wojownicy, prowadzący trzody, zostali napadnięci przez Yuma.

— Co?! A więc w tej okolicy grasują całe bandy tych czerwonoskórych. Naprzód był Vete-ya ze swoją gromadą, potem owych trzystu z Almaden, a teraz trzecia grupa, która napadła na trzody. To dziwne!

— Old Shatterhand zdziwi się jeszcze bardziej, skoro powiem, że na czele tego oddziału stał Vete-ya.

— Vete-ya? — zapytałem prawie z przestachem. — Ten przecież jęczy w niewoli u twego ojca, który ma go z innymi jeńcami zawieść do pastwisk Mimbrenjów!

— Zapewne udało mu się zbiec. Teraz napadł na trzody.

— Sądzę, że wasi wojownicy stawiali opór?

— Tylko krótki czas. Vete-ya miał ze sobą kilkuset wojowników. Kilku Mimbrenjów zostało zabitych, a wielu rannych. Widząc, że opór nie zda się na nic uciekli. Kierunek obrali ku hacjendzie ponieważ wiedzieli, że w tej okolicy znajdują Old Shatterhanda i Winnetou. Dlatego przybyli tam znacznie prędzej, niż mój biały brat się spodziewał; spotkałem ich już przy lesie Wielkiego Dębu Życia. Obecnie czekają u stóp tego wzniesienia, a ja poszedłem naprzód na zwiady, ponieważ domyśliłem się, że w tym lesie czuwa pierwszy posterunek naszych nieprzyjaciół.

— Nie wiadomo wam zatem w jaki sposób uwolnił się Vete-ya?

— Nie.

— Wobec tego powinniście byli posłać kilku ludzi, żeby się dowiedzieli, czy ojcu twemu i wojownikom nie grozi czasem niebezpieczeństwo i czy nie potrzebują pomocy.

— Tak właśnie postąpiliśmy. Dwaj pojechali odszukać mego ojca, a dwóch innych posłałem do naszych pastwisk z wezwaniem, żeby dwustu Mimbrenjów natychmiast ruszyło za nami do Almaden Alto. Czy powinniśmy byli uczynić coś ponadto?

— Nie. Ze względu na okoliczności i na pośpiech konieczny, uczyniliście dosyć. Sprowadź swoich wojowników. Przychodźcie jak na zawołanie, chociaż zasmuca nas powód tej szybkości.

Mimbrenjo odszedł. Żaden z naszych jeńców nie słyszał ani słowa z tej rozmowy, gdyż byliśmy ostrożni i staliśmy w odpowiednim od nich oddaleniu. Teraz, skoro zostaliśmy sami, odezwał się Winnetou z cicha surowo:

— Czy mój brat Shatterhand mógł się tego spodziewać? Jak mógł Nalgu Mokaszi do tego dopuścić?!

— Rzeczywiście! Jak strasznie rozgniewał się na myśl, że ja chcę uwolnić Vete-ya! A teraz oto pozwolił mu uciec mając do dyspozycji przeszło stu wojowników.

— Może nie tylko on uszedł.

— Tak, jest nawet prawdopodobne, że wszyscy jeńcy zdołali się uwolnić. Zapewne większa liczba Yuma napadła na Mimbrenjów i jeńcy zbiegli w czasie walki.

— Nalgu Mokaszi powinien był raczej zabić Vete-ya, niż pozwolić mu na ucieczkę. Zapewne niedługo zobaczymy tego niebezpiecznego przeciwnika. Wódz Yuma może się domyślić, dokąd pojechaliśmy i albo uda się za nami, żeby nas doścignąć, albo obierze najkrótszą drogę do Almaden Alto, żeby przyprowadzić posiłki obozującym tam Yuma. Ponieważ jest nas mało więc starajmy się go uprzedzić. Każdy z nas musi starczyć za dziesięciu, a co się nie da zdobyć przemocą tego musi dokonać podstęp.

W tej chwili nadeszli Mimbrenjowie. Było ich czterdziestu. Kilku rannych. Pozdrowili nas w milczeniu i na żądanie nasze opowiedzieli przebieg walki. Stracili sześciu ludzi; widząc przewagę nieprzyjaciół, powiedzieli sobie, iż przyniosą mi więcej korzyści, gdy przybędą w znacznej liczbie, niż gdyby miały dotrzeć do mnie tylko niedobitki. Wobec tego uciekli i skierowali się ku hacjendzie. Tam spotkali syna Nalgu Mokaszi.

Chociaż czas naglił musieliśmy jeszcze poczekać na przybycie Bystrej Ryby i jego pięciu ludzi. Należało ich schwytać. Aby w czas powiadomić się, że nadjeżdżają, posłałem Yuma Shetara na czaty, na skraj lasu, skąd można było objąć wzrokiem dużą przestrzeń prerii. Nie czekaliśmy długo; już około dziewiątej przed południem przybył nasz młody towarzysz z doniesieniem, że spostrzegł sześciu. Liczba zgadzała się; wobec tego wzięłem piętnastu Mimbrenjów, aby przygotować zasadzkę. Mieliśmy przewagę tak znaczną, że o oporze nie było mowy. Przestрах wywołany niespodziewanym napadem miał dokonać reszty. Yuma zostali ściągnięci z koni i rozbrojeni, zanim się zorientowali w położeniu. Skrępowanych zaprowadziliśmy nad staw, gdzie nasi poprzedni jeńcy podnieśli wycie wściekłości i rozpaczy na ich widok.

Bystra Ryba znał dobrze Winnetou, toteż na widok Apacza zawołał przerażony:

— Uff, wódz Apaczów. Przecież powiedziano mi, że znajduje się w hacjendzie del Arroyo!

Winnetou odpowiedział z ironiczną uprzejmością:

— Czy Bystra Ryba sądzi, że wódz Apaczów został rolnikiem lub hodowcą bydła i zamieszkał na zawsze w hacjendzie? Słyszałem, iż zostałeś zawiadomiony o mojej obecności i że chcesz mnie widzieć. Ponieważ jednak jesteś tak sławnym wojownikiem, więc uważałem za swój obowiązek oszczędzić ci dalekiej drogi i dlatego wyjechałem na twoje spotkanie. Przy tej sposobności możesz poznać mojego brata Old Shatterhanda, który tu stoi obok mnie.

— To jest Old Shatterhand?! On jest przecież w niewoli u Vete-ya, naszego najwyższego wodza.

— Jak widzisz jestem wolny — odpowiedziałem. — Vete-ya zasługuje na swoje imię w zupełności. Gęba jego wielka i mowa brzmi dumnie, ale Old Shatterhanda nie potrafi zatrzymać ani on, ani jego niewolnicy. Uciekłem, a potem wzięłem go do niewoli.

Oczywiście nie uważałem za stosowne mówić mu, że Vete-ya zdołał się uwolnić. W odpowiedzi na moje słowa, jeniec wyraźnie przestraszony zapytał:

— Nasz wódz w niewoli? Gdzie się znajduje?

— W rękach Nalgu Mokaszi, waszego śmiertelnego wroga, który poprowadzi jego i wszystkich wojowników Yuma, przez nas schwytanych, do pastwisk Mimbrenjów, gdzie umrą przy palu męczarni. My tymczasem pojechaliśmy w górę, żeby poznać Bystrą Rybę. Chciałem udać się do niego do Fuentes, ponieważ jednak był tak uprzejmy i przyszedł do nas, więc możemy już tutaj złożyć mu ukłony powitalne. A w końcu odprowadzimy go z należnymi honorami na powrót do Fuente de la Roca.

Ta odpowiedź zamknęła czerwonym usta. Nareszcie mogliśmy wyruszyć do Źródła Skalnego.

Mieliśmy ciężkie zadania przed sobą. Skąpymi siłami musieliśmy znieść jeszcze trzy posterunki po pięciu ludzi, oraz czternastu Yuma pozostałych przy Fuente. Następnie czekało nas spotkanie z Meltonem, Wellerami i trzystu czerwonymi w Almaden Alto. Choć sytuacja była bardzo trudna zdecydowałem się spróbować szczęścia, gdyż z uwolnieniem robotników nie można było zwlekać. Rzecz naturalna, nie myślałem o walce otwartej, lecz zamierzałem zdać się na podstęp. Krzepiłem się przy tym słabą nadzieją, że wezwani Mimbrenjowie przybędą jeszcze na czas.

Drogę mieliśmy wygodną; jechaliśmy całymi godzinami przez wąwozy, gęsto poprzerzynane wątlami strumykami. Wkrótce zapadł zmrok. Wierzchołki gór błyszcząły jeszcze jakiś czas w czerwonej zorzy wieczornej; potem nastąpiła zupełna ciemność. Winnetou, jako przewodnik, jechał na czele oddziału. Znał położenie Źródła Skalnego i pewien był, że pomimo ciemności, nie zbłądzi. Mniej więcej po trzech godzinach jazdy zatrzymał się nad potokiem, który wypływał z bocznej doliny, dość szerokiej i wygodnej do przebycia. Zwracając się do mnie rzekł:

— Ta dolina kieruje się na północ, jak mój brat widzi. Jednakże niedaleko stąd prowadzi boczny wąwóz, na prawo, zatem na wschód, u jego wylotu zaś tryska źródło dające początek strumieniowi, który tutaj widzimy. Źródło tryska ze skały i dlatego nazywa się Fuente de la Roca. Nieprzyjaciele będą już zapewne wszyscy razem; trudno przypuścić, żeby się jeszcze wałęsali w tej ciemności. Musimy zostawić tutaj jeńców, gdyż mogliby nas zdradzić wołaniem. Pójdę na zwiady; do źródła mam kwadrans drogi, a więc za godzinę mogę być z powrotem.

Apacz odszedł; ja zaś kazałem zdjąć jeńców z koni i ułożyć na ziemi, aby łatwiej było ich pilnować. Skoro usiadłem, żeby spocząć, podszedł do mnie *juriskonsulto* i rzekł:

— Zauważyłem, że Winnetou znikł. Dokąd się udał, senior?

— Do Fuente.

— Czego tam chce?

— Chce się zakraść do Yuma, żeby wiedzieć, w jaki sposób mamy ich schwytać.

— To przecież zbyteczne! Gdybyśmy od razu tam pojechali, zaskoczylibyśmy ich na pewno, a teraz obawiam się, że go nieprzyjaciele zauważą i umkną.

— Płonne obawy. Jak północ nie może zobaczyć południa, tak oni nie potrafią spostrzec Winnetou.

— Kto właściwie postanowił, że Apacz ma iść na zwiady?

— Oczywiście, my dwaj.

— Ja nie uważam tego za tak oczywiste, senior! On jest Indianinem i nie ma żadnego znaczenia; pan co prawda biały, ale obcy w tym kraju. Ja natomiast jestem przedstawicielem tutejszej władzy i muszę wymagać, żeby w sprawie schwytania nie przedsiębrano nic bez mojej wiedzy i pozwolenia. Powinien pan być zapytać się mnie naprzód!

— Tak pan sądzisz? Wobec tego nie zgadzamy się ze sobą, gdyż ja zwykłem czynić, nie pytając wiele.

— Więc proszę odstąpić od tego zwyczaju! Niech pan pamięta stale o mojej godności oraz o tym, że każde rozporządzenie musi wyjść ode mnie, nie od pana, a to ze względu na mój urząd. Musisz senior zapytać mnie zawsze o opinię i oczywiście o pozwolenie!

— Hm! Oryginalne zapatrywanie! Pański urząd nie obchodzi mnie zupełnie, pomimo że pan nosi uniform. Co się tyczy pańskiej godności, to nie zauważyliśmy z niej ani śladu, gdy był pan jako jeńiec przywiązany do drzewa i na pół stracony dla świata. Raczej panu potrzeba naszej pomocy, niż nam pańskich rozkazów. Najmądrzej postąpisz pan milcząc. Oto moja odpowiedź!

— Mnie ona nie wystarcza, senior! Jeżeli wyobraża pan sobie, że jest naszym komendantem to...

— Milcz pan! — przerwałem surowo. — Rzeczywiście wyobrażam sobie, że ja i Winnetou jesteśmy waszymi komendantami. Skoro to panu nie w smak, możesz powrócić tam, skąd przyszedłeś! Jeśli nie uspokoisz się w tej chwili, każę pana związać. Wtedy, skoro odjedziemy, będzie pan mógł wydawać rozkazy, jakie się panu żywnie podobają!

Poskutkowało. Skarcony powrócił do hacjendera i usiadł przy nim, mruczając coś pod nosem. Na tę przyjemność mogłem mu pozwolić.

Winnetou powrócił już po trzech kwadransach. Oznajmił mi, że Yuma czują się bardzo bezpiecznie, gdyż broń złożyli w jedno miejsce i wcale nie rozstawili straży. Co prawda konie pasą się nad strumieniem, nie zwietrzą nas jednak, jeśli pójdziemy drugim brzegiem, bo najłżejszy wietrzyk nie przenika do doliny.

Wybraliśmy dwudziestu pięciu Mimbrenjów; reszta pozostała przy jeńcach. Wyruszyliśmy gęsiego długim łańcuchem, z Winnetou na czele. Z powodu gęstych ciemności szliśmy bardzo blisko siebie, żeby się nie stracić z oczu. W bocznej dolinie postępowaliśmy jeszcze ostrożniej, każdy położył prawą rękę na ramieniu swego poprzednika, lewą zaś osłaniał się przed drzewami, napotykanymi od czasu do czasu. Niebawem ujrzelśmy przed sobą blask ognia, a z drugiej strony strumienia dobiegło nas stąpanie pasących się koni.

Podszedłem bliżej, przekonałem się, że trudno o lepsze miejsce do napadu. Skała tworzyła małą jaskinię, w której wnętrzu tryskało źródło. Indianie obozowali właśnie w tej grocie; przed wejściem, przy ognisku, trzej Yuma przyrządzali wieczerzę. Broń naszych przeciwników leżała na jednym miejscu, blisko wejścia do jaskini.

W porozumieniu z Winnetou rozkazałem utworzyć półkole przed grotą; następnie skoczyliśmy, Apacz i ja, ku ognisku; trzy uderzenia kolbą i trzej czerwoni leżeli na ziemi. Równocześnie nasi wojownicy obsadzili wejście i skierowali na Yuma lufy strzelb. Ci zerwali się przerażeni, wnet jednak poznali, że opór byłby szaleństwem. Po krótkich pertraktacjach Yuma się poddali; jeńców związaliśmy ich własnymi rzemieniami, a następnie Winnetou wrócił, żeby przyprowadzić resztę Mimbrenjów. Postanowiliśmy bowiem przenocować tutaj. Spaliśmy wyśmienicie, oczywiście z wyjątkiem rozstawionych straży. Skoro świt, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Muszę nadmienić, że w grocie znaleźliśmy obfity zapas żywności, narzędzia i przedmioty potrzebne Indianom do dłuższego pobytu. Mogliśmy również domyślić się, w jakim właściwie celu został rozstawiony ów łańcuch posterunków. Na tej linii zamierzano transportować do Ures produkty kopalni w Almaden oraz sprowadzać narzędzia i przybory górnicze; posterunki miały więc starać się o bezpieczeństwo drogi. Jak widać, o przyszłość dbano bardziej, niż o chwilę obecną.

Z Fuente skierowaliśmy się dalej na wschód, w górę doliny. Ponieważ żaden z nas nie był jeszcze w Almaden, więc należało pytać Playera o drogę i wszystkie szczegóły odnoszące się do kopalni. Wprawdzie mogłem zasięgnąć wskazówek od hacjendera, ale nie chciałem zdradzić się przed nim nawet taką odrobiną niepewności, bo zarówno on, jak *juriskonsulto*, gotowi byli okazać swoją dawną i tak nieznośną butę. Chciałem się więc, w miarę możliwości, obejść bez ich usług. Zresztą, byłem przekonany, że zeznania Playera, który dotarł przecież do Almaden jako szpieg, będą dla mnie posiadały większą cenę, niż opis hacjendera. Wkrótce miałem się upewnić, że miarkowałem słusznie.

Ażeby jeńcowi rozwiązać język, musiałem wpoić weń przeświadczenie, że znaczną mamy przewagę nad Meltonem, nad Yuma, czyli po prostu napędziłem mu stracha. Pouczyłem potem Yuma Shetara, który stale przy nim jechał, jaką postawę ma zachować i przyłączyłem się po chwili do niego, pozornie bez żadnego zamiaru. Młody Indianin, lubo rozmawiał w pospolitym tutaj mieszanym dialekcie, używał przecież mniej słów indiańskich, niż inny, więc Player mógł zupełnie dobrze zrozumieć naszą wymianę zdań. Po kilku minutach milczenia zapytał mnie Yuma Shetar:

— Czy mój słynny biały brat pozwoli mi mówić do siebie, chociaż jestem jeszcze tak młodym wojownikiem?

— Niech mój czerwony brat powie śmiało, co ma ochotę powiedzieć — odparłem.

— Moi bracia, wojownicy Mimbrenjów, ruszyli w liczbie wielu setek, prowadzeni przez swoich najwaleczniejszych wodzów, żeby połączyć się z nami w Almaden. Czy Old Shatterhand sądzi, że będą już na miejscu, gdy tam przybędziemy?

— Nie — odrzekłem. — Nie zastaniemy ich jeszcze.

— Ale przecież oni wyruszyli równocześnie z nami, a mają do przebycia krótszą drogę niż my.

— Yuma Shetar powinien zrozumieć, że wojownicy Mimbrenjów nie mogą nic przedsięwziąć przed naszym przybyciem. Gdyby się bowiem pokazali Yuma, zawrzałyby natychmiast walka, która może się odbyć tylko pod przewodnictwem Winnetou i moim. Inaczej mogłoby wszystko pójść na marne.

— Na marne? Setki Mimbrenjów zwyciężą przecież z łatwością trzystu Yuma. Czy może Old Shatterhand wątpi w to?

— Nie; wątpić mógłby tylko szaleniec. Po pierwsze — twoi bracia liczebnie dwakroć przewyższają nieprzyjaciół, a po drugie — posiadają wszyscy broń palną, czego nie mogę powiedzieć o Yuma. Nawet cudem nie unikną klęski.

— Wobec tego sądzę, że nasi wojownicy powinni mieć pozwolenie natychmiastowego rozpoczęcia walki, nawet gdybyśmy nie przyjechali na czas.

— Mój młody brat powinien pamiętać o tym, że celem naszym jest schwytanie Meltona i Wellerów; dokonamy tego na pewno, jeśli Mimbrenjowie postąpią według umowy. Gdyby natomiast napadli wcześniej na Yuma, najprawdopodobniej umknęliby wszyscy trzej.

— Mimbrenjowie przeszkadziliby im w ucieczce.

— Tak należałoby przypuszczać, a jednak to kwestia bardzo wątpliwa. Ci trzej biali nie wezmą wcale udziału w walce. Będą się jej przyglądać z daleka. Widząc, że zwycięstwo przechyliła się na stronę Mimbrenjów odjadą potajemnie, a my nie będziemy mogli temu przeszkodzić.

— Czy nie może zdarzyć się tak samo, gdy Old Shatterhand i Winnetou będą obecni?

— Nie, bo schwytamy ich jeszcze przed rozpoczęciem bitwy. Oni nie wiedzą nic o naszej wyprawie, toteż nie będą się ukrywać i wpadną nam sami w ręce, nie przeczuwając złego. Dlatego poleciłem twoim braciom, żeby się trzymali z daleka od Almaden i nie zdradzili swojej obecności, dopóki nie dołączymy do nich. Skoro to nastąpi, zabierzemy się natychmiast do oczyszczenia tego łotrowskiego gniazda.

Na tym skończyła się nasza rozmowa; teraz chodziło jedynie o to, czy wywarła na Płayerze oczekiwane wrażenie. Jeniec patrzył ponuro przed siebie i zdawał się pograżać w myślach; rzecz prosta, nie wdałem się z nim w rozmowę pierwszy. Przemówić powinien był Player. I rzeczywiście już po kilkunastu minutach zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Master, zechcecie mi powiedzieć, czy Yuma Shetar umie po angielsku?

— Może kilka słów, nie więcej — odrzekłem.

— Pozwólcie mi więc powiedzieć, że zrozumiałem wszystko, o czym rozmawialiście z nim przed chwilą. Z jakiego właściwie powodu zachowujecie się względem nas tak wrogo?

— Pytacie jeszcze o to, master Player, nie bierzcie mi tego za złe, jeżeli nazwę wasze pytanie głupim.

— Czy wyrządziłem wam jakąś krzywdę?

— Nie; ale z waszymi kamratami mam tęgo na pieńku. Spłacę im dług natychmiast w postaci kilku kul.

— A ja? Co zamierzacie ze mną zrobić?

— Tego nie mogę już teraz wiedzieć. Muszę się naprzód przekonać, czy przyłożyliście rękę do krzywdy moich rodaków.

— A gdyby się tak okazało?  
— Nagrodzimy was pewnym i dobrze wymierzonym strzałem.  
— Do stu piorunów! Któż to ustanowił was sędzią nade mną?  
— Ja sam. Zresztą nie mam nawet potrzeby mieszać się w tę sprawę. Zawiniście względem wychodźców; im więc wydam was i myślę, że nie będą robić z wami ceremonii. A może spodziewacie się łaski z ich strony?  
— Jeślibym się dostał w ich ręce, byłbym oczywiście zgubiony. Kto was jednak zmusza do wydawania mnie tym ludziom?  
— Nikt; to moja własna decyzja, moja wolna wola. Mogę was wydać w ich ręce, albo wrócić wam wolność. Wedle chęci i upodobania.  
— Wobec tego prosiłbym was o to drugie!  
— Uwolnić was? Was? Co wam strzeliło do głowy?!  
Przy tych słowach wykonałem energiczny ruch ręką, który miał mu powiedzieć, że ani mi to w głowie nie powstało. Jeniec zagryzał wargi i milczał przez chwilę z widocznym niepokojem; następnie zaczął:  
— Master, słyszałem o was wiele, a we wszystkim, co o was opowiadano, przebijała się zawsze i wszędzie humanitarność, z jaką postępujecie nawet względem swojego największego wroga. Dlaczego więc nie chcecie względem mnie stosować tych pięknych zasad?  
— Pan! Zdaje się, że macie fałszywe pojęcie o humanitarności. Ludzkim jest ten, kto traktuje swego bliźniego jak człowieka, a ja tak właśnie czynię. To znaczy: względem dobrego człowieka jestem dobry, a względem złego — zły.  
— Więc uważacie mnie za człowieka złego?  
— Tak!  
— Mylicie się master. Nie jestem zły; przyznaję jednak, że postępowałem lekkomyślnie. Chciałem się prędko wzbogacić i dlatego przyłączyłem się do przedsięwzięcia Meltona. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że wasi rodacy mają pracować całe życie pod ziemią. Możecie w to wierzyć master! Czy nie jest to zatem okoliczność łągodząca?  
Udając, że ufam w szczerłość jego słów, odpowiedziałem:  
— Hm! To rzeczywiście lekkomyślność brać udział w przedsięwzięciu, nie wiedząc dokładnie jakimi środkami ma być wykonane. Trudno mi przypisać wam taką nieostrożność.  
— A jednak tak było, master! Przysięgam, wiedziałem tylko tyle, że imigranci mają pracować w kopalni, nie przeczuwałem nawet, żeby miano ich tam zamykać na całe życie.  
— Ale skoro dowiedzieliście się o tym, przystaliście na wszystko?  
— Nie. Opierałem się temu, jak tylko mogłem, ale niestety nie wskórałem nic. Postanowiłem sobie złagodzić ich los, o ile to tylko będzie w mojej mocy.  
— Tak, hm! Wobec tego nie jesteście człowiekiem tak niegodnym, za jakiego was uważałem. Czy zdajecie sobie sprawę, co to znaczy, zostać zamkniętym w kopalni na całe życie?  
— Naturalnie; potrafię to sobie wyobrazić.  
— A do tego w kopalni ręci! Ta straszna trucizna rujnuje organizm człowieka. Jak wyglądaliby moi biedni rodacy po kilku latach, o ile utrzymaliby się jeszcze przy życiu! A jaka by ich śmierć czekała!  
— Nie zwalajcie winy na mnie, master! Ten szatański plan powstał w mózgu Meltona.  
— Całkiem słusznie: to pomysł rzeczywiście szatański. Ale wykonawcy jego poniosą karę odpowiednią do ich zbrodni. Wydam łotrów Mimbrenjom, a ci przeznaczą im pal męczarni. Łotry będą umierać całymi dniami. Możecie być tego pewni!  
— Zasłużyli na to; ja jednak wyrzekam się ich; nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.  
— Teraz za późno. Tego co uczyniliście, nie można już cofnąć.  
— Można, master, można, jeśli tylko wy chcecie. Przejdę na waszą stronę; zostaną waszym sprzymierzeńcem!



- Dziękuję za taki sojusz!
- Rzeczywiście? Czy jesteście pewni, że nie mogę wam przynieść pożytku?
- Jestem ciekaw jaki. Zbyteczna mi wszelka pomoc. Mój plan jest prosty i łatwy do wykonania. Wszystkich Yuma wystrzelamy, białych łotrów schwytny żywcem, a potem urządzimy naszym Mimbrenjom widowisko z palami męczarni. Ponieważ, jak przyznaliście, słyszeliście o mnie co nieco, więc uwierzycie chyba, że dokonam tego bez waszej pomocy.
- Naturalnie; przyznaję, że zdołacie beze mnie dobić celu; a jednak natraficie na trudności, których z moją pomocą łatwo unikniecie.
- O jakich trudnościach mówicie?
- Czy znacie drogę do Almaden?
- Mogę jej nie znać. Przecież hacjendero jest z nami.
- Czy wiecie, gdzie znajdują się owe trzy posterunki Yuma, które macie jeszcze znieść?
- Znajdziemy je.
- Wiem, że zwiadowca tej miary, co wy znajdzie je, ale po długim szukaniu. Na tym straciecie dużo cennego czasu. Musicie także wziąć pod uwagę, że nie powinien żaden z nieprzyjaciół umknąć, aby do Almaden nie dotarła wieść o waszej wyprawie. Wątpię bardzo, czy wówczas poszłoby tak gładko. Następnie, chcecie jeszcze przed bitwą wziąć do niewoli Meltona i Wellerów. Zdaje się, że uważacie to za bagatelkę?
- Oczywiście. Wystarczy przypomnieć wam wypadki ostatnich dni, a przyznacie, że wprowadzimy w życie zamiary bez większego trudu i niebezpieczeństwa.
- To prawda, jesteście mistrzem w tych sprawach, a zwłaszcza w podchodzeniu nieprzyjaciela; przekonałem się o tym na własnej skórze. Ale ponieważ nie wiecie, gdzie ci trzej ludzie mieszkają, gdzie mają ukrycie, więc nie mało trudu poniesiecie, aby ich schwytać.
- Mieszkanie znajdziemy.
- Może; ale w każdym razie nie natychmiast, a tymczasem ci, których schwytać zamierzacie, mogą dowiedzieć się o waszej obecności.
- Mówicie zagadkami, master Player. Mieszkanie to przecież nie ukrycie. Jakże to się zgadza?
- Mówię prawdę. Mają oni mieszkanie wygodne, oczywiście w tutejszym pojęciu wygody, a jednak tak ukryte, że nawet wasz osławiony zmysł wywiadowczy zawiedzie.
- Wówczas poszukamy śladów, które nam posłużą za wskazówkę.
- Śladów nie znajdziecie żadnych, gdyż okolica jest skalista na olbrzymiej przestrzeni wokoło.
- Więc położymy się na czaty. Melton musi przecież od czasu do czasu opuszczać mieszkanie, a wtedy go zobaczymy.
- Naturalnie, że wychodzi z ukrycia, ale tylko w nocy, ponieważ jest przezorny. Wiadomość o obecności Winnetou w hacjendzie, udzielona przeze mnie pierwszemu posterunkowi, dotarła już na pewno do Almaden. Wprawdzie Melton nie ma powodu przypuszczać, że Winnetou o naszym przedsięwzięciu wie coś ponad to, co wygadałem przed wami; wszelako tylko kilku zdań wystarczyło, żeby Apacz nabrał podejrzania i zachęty do dalszych badań. A chociaż nie przeczuwałem, że jesteście Old Shatterhandem, gdy rozmawiałem z wami pod murami hacjendy, to przecież musieliśmy przypuszczać, że Winnetou zechce was wyswobodzić z niewoli Yuma. Jeśliby mu się powiodło — z pewnością wyruszy natychmiast do Almaden. Dlatego zarówno Melton jak i Wellerowie, będą przestrzegać wszelkich środków ostrożności. Wychodzą z mieszkania tylko nocą, a droga do kopalni jest tego rodzaju, że obojętnie o jakiej porze się tam udają.
- Tak. Więc znacie ich kryjówkę? — Znam.
- Czy sądzicie, że nie potrafię was zmusić do wyznania? Postawię wam do wyboru: informacje albo śmierć!

— To wam nie przyniesie korzyści. Jeśli macie zamiar poczynać sobie ze mną jak z Meltonem, to i tak mnie śmierć nie ominie. Na informację zdecyduję się tylko wtedy, gdy będę mógł spodziewać się ułaskawienia.

Byłem przekonany, że postawa Playera nie jest tak kamienna i że wystarczy nacisnąć mocniej jego ręce w przegubach, aby mu wydrzeć tajemnicę; ale po pierwsze czułem wstręt do wielokrotnych represji, a po drugie, chciałem dowiedzieć się nie tylko o siedzibie naszych nieprzyjaciół. Dlatego postanowiłem okazać mu względy i odpowiedziałem:

— Przypuśćmy, że darujemy wam życie; na czyje sumienie spadnie więc odpowiedzialność za przestępstwa, jakie popełnicie później? Tylko na nasze. Gdy natomiast zginiecie, za waszą sprawą nikt już nie poniesie krzywdy.

— Bądźcie przekonani, że pogrzebię stare nawyki, jeśli mnie pozostawicie przy życiu. Nigdy nie byłem człowiekiem złym, tylko lekkomyślnym; wdzięczność dla was zachowałbym do grobu, gdybyście chcieli okazać mi łaskę, zamiast wymierzać sprawiedliwość. Spróbujcie przynajmniej!

— Hm! Próba nie jest czynem ostatecznym, którego cofać niepodobna, mogę więc przystać na waszą propozycję.

— Przystańcie, przystańcie, master! Daję wam słowo, że nie pożałujecie tego.

— Powiedzcie mi zatem, jak sobie wyobrażacie tę próbę?

— Przede wszystkim rozwiążecie mnie, a potem pokażę wam...

— Stać! — przerwałem. — O rozwiązaniu nie może być nawet mowy. Na razie pozostajecie jeńcem.

— Ale jak mogę być wam pomocny, skoro nie mam swobody ruchów?!

— Jedynym waszym ruchem koniecznym jest obecnie jazda, a do tego więzy nie przeszkadzają. Na razie możecie nam oddać jedynie tę przysługę, że co najwyżej wskażecie drogę do Almaden, jeżeli was o nią zapytam.

— Wskażę wam — zamruczał markotnie, dotknięty moją mową.

— Ale prawdziwą drogę! — dodałem z naciskiem. — Nie uszłoby naszej uwagi, gdybyście chcieli skrewić. Kiedy dotrzemy do najbliższego posterunku?

— Jeszcze przed wieczorem.

— W jakiej okolicy obozuje?

— Na skraju lasu. Przedtem musimy jechać przez otwartą równinę.

— Więc Indianie mogą nas zobaczyć?

— Tak jest. Jeśli chcecie ich zaskoczyć, równinę musicie ominąć.

— To będzie zależało od jej rozciągłości. Zwróćcie mi uwagę, skoro się do niej zbliżymy. Powiedzcie teraz, dlaczego zostaliście w hacjendzie i nie pojechaliście z Meltonem do Almaden?

— Polecono mi oczekiwać transportu retort, który niebawem nadejdzie z Ures.

— Owe retorty miano potem przewieźć do Almaden wzdłuż łańcucha posterunków?

— Tak.

— Ponieważ potrzebujecie retort, więc przypuszczam, że rtęć w Almaden znajduje się w postaci siarczku rtęci, czyli cynobru?

— Tak jest; miejscami spotyka się także rtęć czystą.

— Zatem chcielibyście rozkładać cynober w retortach na siarkę i rtęć. Ten proces chemiczny wymaga pewnych dodatków. Ponieważ syderytu tutaj nie ma, więc przypuszczam, że zamierzaliście użyć wapienia?

— Tak jest.

— Więc w okolicy Almaden są pokłady wapienia?

— Pod dostatkiem. Skaty i góry przeważnie wapienne. Można tam znaleźć wiele jaskiń.

Wyraz „jaskinia” zrodził we mnie pewną myśl. Wielką sprawiałoby trudność pilnowanie jeńców przez dłuższy czas na wolnej przestrzeni. Zawadą byłiby nam w przedsięwzięciu. Jeśli

natomiast umieścić ich w jakiejś jaskini, niewielu strażników wystarczy do czuwania nad nimi. Dlatego zapytałem:

— Czy znacie jakąś jaskinię w pobliżu kopalni?

— Owszem, znam.

— Czy obszerna?

— Może pomieścić stu ludzi.

— Ile ma wejść?

— Tylko jedno. Ciągnie się bardzo głęboko pod skałę, ale nie można dotrzeć do jej końca, gdyż nagle w pewnym miejscu grunt urywa się na takiej przestrzeni, że nawet nie można dojrzeć drugiego brzegu przepaści. Gdy rzuciłem kamień, nie usłyszałem uderzenia o dno. Po prawej stronie małą boczną grotę wypełnia woda, doskonała do picia i bardzo zimna.

— Naturalnie, wasi przyjaciele znają tę jaskinię?

— Przeciwnie! Nie powiedziałem im o tym ani słowa, ponieważ...

Player umilkł nagle. Wygadał bowiem nieco więcej niż zamierzał.

— Mówcie dalej! Ponieważ...

— Ponieważ miałem ku temu powody. Szukałem właśnie miejsca wyłącznie dla siebie.

— W jakim celu?

Jeniec zwlekał z odpowiedzią. Ponieważ się namyślał, więc przeczuwałem, że chce zataić prawdę i szuka wykrętu. Po krótkiej chwili rzekł:

— Niech mój cel poświadczy, iż rzeczywiście nie jestem złym człowiekiem. Myślałem właśnie o robotnikach. Na wypadek, gdybym zdołał potajemnie uwolnić jednego lub kilku z nich, musiałem przygotować pewne i bezpieczne schronienie; do tego celu nadawała się wymiennie jaskinia. Dlatego nie wspominałem o niej nikomu.

— To rzeczywiście przynosi chlubę waszemu dobremu sercu. Kiedy odkryliście tę jaskinię?

— Jeszcze przed rokiem, gdy byłem tutaj po raz pierwszy.

— Byliście posłani przez Meltona i po powrocie złożyliście mu naturalnie sprawozdanie z waszej podróży?

— Tak jest.

— W owym czasie nie wiedzieliście jeszcze nic o robotnikach z Europy?

— Nie.

— A tymczasem twierdzicie, że właśnie z ich powodu zatailiście przed nim ową jaskinię? Nie, powód dla którego przemilczeliście o jaskini, innego był gatunku; nie chcę jednak zmuszać was do wyjawienia go, gdyż jest mi obojętny. Starajcie się jednak, żeby mi to była ostatnia próba oszustwa. Następnym razem nie uszłoby wam tak gładko.

Właściwy powód, którym się Player kierował, nietrudno było odgadnąć. Po prostu zamysłał okradać swoich kolegów i zabraną rtęć czy cynober, przechowywać w grocie, dopóki nie nadarzy się sposobność potajemnego przewiezienia ich gdzie indziej. Przedemną maskował się nie dlatego, iżby miał nieuczciwe zamiary względem nas lub nie chciał dotrzymać danych przyrzeczeń. Zaniepokojony groźbą, pragnął rozwiązać moje podejrzenia, zdecydował się więc udzielić mi pewnej wiadomości, która dla nas miała doniosłą wagę.

— Ja was nie oszukuję, master — rzekł. — Przyznaję, że macie powody mi nie ufać; ale przecież nie przysporzą wam korzyści wyznania uboczne, nie mające najmniejszego związku z waszą wyprawą.

— Zdaję sobie z tego sprawę i nie wymuszam od was prawdy. Mam na uwadze jedynie to, co nas dotyczy. Wszak wiecie, od czego zawisło wasze życie?

— Pamiętam o tym master, a na dowód wyznam coś, co uraduje wam serce.

— Co takiego?

— W Almaden i okolicy nie ma ani trawy, ani drzew, dlatego żywność sprowadza się z daleka. Melton, który już dawno wszystko przygotował, nie zapomniał również o wikcie; zakupił prowianty w Ures i kazał je przysłać do Almaden. Pięć wozów zaprzęgniętych w muły

wyruszyło stamtąd już dawno, więc teraz wloką się pewno przed nami i niebawem zjadą na naszą drogę.

— To rzeczywiście ważna dla mnie wiadomość. Ale mówicie, że zjadą na naszą drogę. Jak mam to zrozumieć?

— Zaraz wam wytłumaczę. Droga, z której korzystaliśmy dotychczas jest dla wozów miejscami nie do przebycia. Dlatego musiałem wyszukać inną drogę, która leży bardziej na południe. Co prawda dłuższa jest, ale za to odpowiednia pod wóz. Niedaleko stąd łączy się z naszą drogą.

— Kto prowadzi wozy?

— Poganiacze z Ures oraz kilku Indian, których im przysłał Melton jako przewodników.

— Kiedy dojdziemy do zbiegu obydwu dróg?

— Pojutrze. Wozy staną tani prawdopodobnie już jutro wieczór.

— Wobec tego będziemy mogli zaopatrzyć się w żywność.

— Nie tylko w żywność. Wozy dźwigają rozmaity ładunek przeznaczony dla Almaden.

— Jeśli to prawda, oddaliście mi godną podziękowania przysługę, chociaż i bez niej natrafilibyśmy na wozy. Ale wspomnieliście o czymś, niemniej dla nas ważnym, mianowicie o braku paszy dla koni. Na jaką odległość od Almaden rozciąga się pustkowie, o którym mówiliście poprzednio?

— W promieniu jednego dnia drogi.

— Przecież wspomnieliście o wodzie, a gdzie woda tam przynajmniej trawa rośnie.

— Woda jest w jaskini. Woda w Almaden jest tylko gruntowa. Ziemia zeschła, twarda, pustynna, pokryta płytami wapienia.

— A jednak przebywa tam trzystu Indian. Chyba nie wzięli koni ze sobą?

— Zostawili je pod dozorem kilku ludzi.

— Więc my będziemy zmuszeni pójść w ich ślady, a to jest rzecz niemiła. Czy możecie przypuszczać, gdzie stoją konie Yuma?

— Nie mówiono o tym specjalnie, ale ponieważ jako wywiadowca znam dokładnie całą okolicę, więc domyślałem się gdzie ich szukać. Yuma przybyli z pomocy, zwierzęta więc musieli zostawić na północ od Almaden, prawdopodobnie na linii granicznej między krajem urodzajnym a pustynią. Jest tam tylko jedno jedyne miejsce nadające się na dłuższy pobyt trzystu koni z niewielu strażnikami. Znam je bardzo dobrze. My przychodzimy z zachodu, więc oczywiście nie natrafimy na nie, ale jeżeli mielibyśmy zamiar zabrać konie, to jestem gotów poprowadzić was; macie więc dowód, że chcę być uczciwym i dotrzymać danego słowa.

— Namyślę się nad tym — odparłem krótko, przerywając tę przydługą rozmowę. Wprawdzie miałem jeszcze wiele na języku, mogłem jednak pytać później przy odpowiedniej sposobności. Nie powinien był Player poznać jak mało właściwie wiedziałem o stosunkach w Almaden.

Przed wieczorem rozluźniłem nieco rzemienie na jego rękach, chciałem mu przez to dać do zrozumienia, że pierwsze próbki zwrotu moralnego, który mi przyrzekł, wywarły na mnie dobre wrażenie.

Po południu tego samego dnia przebywaliśmy strome zbocze górskie. Przed nami rozścielała się płaska wyżyna, zamknięta górami od północy i południa; wschodniego końca nie mogliśmy osiągnąć wzrokiem. Player posłał po mnie jednego z Indian jadących obok niego i gdy się zbliżyłem oznajmił:

— Oto wyżyna, poza którą na skraju lasu obozuje najbliższy posterunek.

— Jak długo trzeba nam jechać?

— Za dwie godziny będziemy na miejscu.

— Czy posterunek leży w prostej linii stąd?

— Tak jest.

— Zatem dam wara sposobność udowodnić mi naocznie, że mogę na was liczyć.

— Czego żądacie ode mnie?

— Pojadę teraz naprzód, żeby wziąć do niewoli Yuma, a wy będziecie mi towarzyszyć.

— Bardzo chętnie, ale oni nas spostrzegą.

— Jak to? Ach, sądzicie, że pojadę prosto? Nie, master Player. Zatoczmy półkole i jadąc brzegiem lasu, zakradniemy się niepostrzeżenie aż do posterunku. Zwracam wam jednak uwagę, że najmniejszą próbę zdrady przypieczętuję śmiercią.

— Nie wyrażajcie mi przecież tak ciągle. Nie macie już powodu do tego. Postanowiłem sobie zachować życie przez to, że będę posłuszny i wierny waszym rozkazom; byłbym chyba ostatnim osłem, gdybym się teraz narażał znowu na pewną śmierć.

Wziąwszy ze sobą obydwu synów Nalgu Mokaszi oraz sześciu Mimbrenjów, ruszyłem galopem na południe, podczas gdy Winnetou z głównym naszym oddziałem nie zmienił dotychczas obranego kierunku. Oczywiście zawiadomiłem go przedtem co zamierzam uczynić. Kierunku obejścia nie obrałem na ślepo. Pojechawszy na północ musielibyśmy potem skradać się wzdłuż lasu w stronę południową i słońce biłoby prawie wprost w oczy; a teraz mieliśmy je z tyłu i mogliśmy bez przeszkody podchodzić nieprzyjaciela.

Gdy oko nie mogło już nas doścignąć, zwróciliśmy się znowu na wschód. Po upływie godziny wyłonił się na horyzoncie las. Zdążyliśmy ku niemu.

— Czy jesteśmy już tak oddaleni od właściwej drogi, że Yuma nie mogą nas zobaczyć? — zapytałem Playera.

— Tak jest. Popatrzcie na te ciemną grupę gór, wystającą za lasem. Ona mi służy za drogowskaz. Wiem dokładnie, gdzie jesteśmy. Wspomnieliście, że będziemy się skradać. Cóż tedy pocniemy z końmi?

— Zostawimy je w bezpiecznym miejscu. Zachodzi tylko pytanie, jak daleko możemy jeszcze jechać.

— Na to zwrócę wam uwagę zawczasu.

Wkrótce, dotarłszy do lasu, obraliśmy kierunek północny. Tutaj spostrzegliśmy trop pojedynczego jeźdźca. Ślady wyraźne i świeże mówiły nam, że ów jeździec wysunął się niezbyt daleko. I słusznie: za najbliższym zakrętem lasu ujrzelśmy go w odległości najwyżej tysiąca metrów. Był to Indianin; u łęku siodła wisiało zabite zwierzę; wracał zatem z polowania. Jechał powoli z głową odchylną w bok w tak osobliwy sposób, jakby całą uwagę kierował wstecz. Ten człowiek musiał zatem widzieć nas wcześniej, a wyczekiwał tylko, jaką wobec niego przybierzemy postawę. Nie przypuszczał zapewne, że trafił na nieprzyjaciół. Moich Indian uważał prawdopodobnie za Yuma, nas dwóch białych za sprzymierzeńców Meltona. Okoliczność, że mimo to nie zatrzymał się, a jechał dalej, wynikała po prostu ze zwyczajów indiańskich. Nie mogłem pozwolić, żeby dotarł przed nami do posterunku, ale zarazem musiałem się starać, żeby pomyłki nie spostrzegł za wcześnie. Dlatego kazałem towarzyszom zwolnić, a sam popędziłem za nim pełnym galopem.

Wtedy czerwony zatrzymał się, odwrócił, sięgnął po łuk, założył strzałę i wymierzył. Ja nie zwolniłem biegu, skinąłem tylko ręką wołając:

— Melton! Vete—ya!

Na dźwięk tych dwóch dobrze mu znanych imion opuścił Yuma łuk i czekał. Myślał sobie, że jestem przyjacielem, albo przynajmniej znajomkiem jego wodza. Pozdrowiłem Yuma na modłę indiańską, w całym pędzie zatrzymując konia, na trzy kroki przed nim i zapytałem:

— Czy mojemu bratu dopisało szczęście na polowaniu? Czterej wojownicy Yuma, którzy zostali na posterunku są zapewne głodni.

— Polowanie było dobre, jak mój biały brat widzi — odpowiedziałem. — Czy mój brat powie mi skąd przybywa?

— Z hacjendy del Arroyo. Mam cię pozdrowić w imieniu Bystrej Ryby i jego wojowników z nad Fuente de la Roca. Czy posterunek, do którego zdążasz czuwa w pełnej liczbie?

— Tak.

— A co się dzieje w Almaden? Czy twoim trzystu braciom powodzi się dobrze?

— Nie słyszeliśmy, aby miało się stać coś nieprzewidzianego. Jeśli mój biały brat przyjeżdża z hacjendy, to na pewno wie, że czuwa tam blada twarz nazwiskiem Player; ten biały miał widzieć Winnetou, wodza Apaczów. Czy był tam rzeczywiście?

— Był.

— Ale potem zapewne odjechał, aby uwolnić Old Shatterhanda, którego schwycił Vete-ya?

— Old Shatterhand uwolnił się bez jego pomocy.

— Uff! Czy spotkali się ci dwaj wojownicy?

— Tak jest.

— Uff, uff! Wobec tego należy się spodziewać, że przybędą tutaj. Tę wiadomość trzeba zaraz przesłać do Almaden. Jeden z nas musi natychmiast odjechać.

— To zbyt cenne; ja sam zaniosę poselstwo do Almaden.

— Czy mój biały brat pojedzie tak prędko, że...

Yuma przerwał nagle i skierował zdziwiony wzrok na moich towarzyszy, którzy zbliżyli się już na tyle, że mógł rozpoznać ich oblicza. Położył rękę na głównej noży i spytał podejrzliwie:

— Co widzę? Walczyłem z moimi braćmi przeciw Mimbrenjom, zapamiętałem sobie twarze ich wodza i jego synów. Jeśli mnie wzrok nie myli, to widzę ich teraz przy boku mego białego brata. Co mam o tym sądzić?

— Masz sądzić, że będziesz zgubiony, jeśli wykonasz jakikolwiek ruch — odpowiedziałem skierowawszy na niego sztuciec. — Jestem Old Shatterhand, a to moja strzelba czarodziejska.

Pomimo ciemnej barwy jego oblicza, poznałem, że zbladł. Z przestrachu wypuścił uzdę i cofnął rękę od noża, bełkocąc:

— Old Shat... ter... hand. A... tto... jest... strzel... ba cza... ro — dziejska...

Oryginalna konstrukcja strzelby, która była ośrodkiem legend wśród szczepów indiańskich, przekonała go o prawdzie moich słów.

— Zsiądź z konia i odrzuć wszelką broń — rozkazałem. — W razie nieposłuszeństwa wiele kul zamieszka w twojej głowie!

Yuma był tak zmieszany, że nie bacząc na moją groźbę, zapytał:

— Old Shatterhand jest tutaj, Old Shatterhand. Gdzie jest wobec tego Winnetou?

— Winnetou przybędzie wkrótce z wojownikami Mimbrenjów. Poddaj się więc natychmiast.

Nadjechali moi towarzysze i otoczyli Indianina. Czerwonoskóry nie otrząsnął się jeszcze z oszołomienia i przestrachu, zsiadł z wierzchowca jak we śnie i przypatrywał się w milczeniu, gdy odwiązywano rzemienie od jego siodła i skrupowano go nimi. Player zwrócił mi uwagę, że jesteśmy już dość blisko posterunku i że czas podwoić ostrożność, jeśli nie chcemy narazić się na przedwczesne odkrycie. Wobec tego, zostawiwszy konie i nowego jeńca pod strażą dwóch Mimbrenjów w dalszą drogę ruszyliśmy piechotą.

Oczywiście szliśmy na łąkę otwartą, ale pod osłonę drzew. Po upływie mnie więcej dziesięciu minut odezwał się Player:

— Jeszcze kilkaset kroków, master, a dojdziemy do małego stawu, przy którym obozują Yuma.

— Dobrze! Pragnę okazać, że mam do was zaufanie. Właściwie powinienem był was tutaj zostawić, gdyż możecie pomieszać nam szyki; mimo to wezmę was ze sobą, tylko ostrzegam: jeśli napad nie uda nam się z waszej winy, to koniec wami!

— Bez obawy! Nie przyjdzie mi do głowy rzucać się w przepaść, skoro mogę ją ominąć.

Skradaliśmy się powoli i ostrożnie. Yuma Shetarowi dałem potajemny znak, żeby nie spuszczał Playera z oka, gdyż ten mógł próbować szczęścia w ucieczce, korzystając z zamieszania napadu. Niedługo potem ujrzyliśmy zwierciadło wody, przebłykujące między drzewami. Nad brzegiem stawu leżeli czterej czerwoni; w pobliżu pasty się swobodnie dwa konie, drugich dwóch widać nie było.

Przebiegając ostrożnie od pnia do pnia, zbliżyliśmy się do nieprzyjaciół i wypadłszy nagle z poza ostatnich zarośli, rzuciliśmy się na nich. Przestрах był nam sojusznikiem; czerwoni nie chwycili nawet za broń.

Skoro wywiązaliśmy się z zadania, poszedł jeden z Mimbrenjów z powrotem, aby przyprowadzić dwóch pozostałych towarzyszy oraz piątego jeńca. Równocześnie ujrzelśmy Winnetou i cały nasz oddział, nadjeżdżający z zachodu. Pochód zatrzymał się nad stawem, gdyż tam postanowiliśmy spędzić noc.

Następny dzień przeszedł podobnie. Player był przewodnikiem i postępował uczciwie względem nas. Około wieczora wskazał nam znowu najbliższy posterunek, który został pokonany z taką samą łatwością, co poprzedni. Więc jeszcze tylko jeden mieliśmy przed sobą, czyli dwa dni drogi do Almaden.

Trzeciego dnia przejeżdżaliśmy szeroką dolinę, do której uchodziła droga biegnąca z południa. Na miejscu, w którym łączyły się obydwie drogi, trawa była zmięta i stratowana na dużej przestrzeni; spostrzeżliśmy ślady wozów i szczątki dwóch ognisk.

— Czy nie mówiłem? — odezwał się Player. — To byty wozy z prowiantem; obliczenie moje zgadza się więc dokładnie.

Policzyłem ślady i rzeczywiście przekonałem się, że mieliśmy pięć wozów przed sobą. Jadąc dalej odczytaliśmy z tropu, że eskorta wozów składa się z sześciu ludzi.

— Nie rozumiem, dlaczego Melton posłał sześciu Indian — rzekłem do Playera. — Sześciu przewodników to stanowczo za dużo, a na eskortę broniącą transportu, jest ich znów za mało.

— Być może — odpowiedział. — Ale czerwonych jest tylko pięciu.

— Któż jest więc szósty?

— Albo sam kupiec z Ures, albo jego zastępca. Melton zapłacił połowę ceny, drugą połowę miał uiścić dopiero po szczęśliwym otrzymaniu transportu. Dlatego musi być tam ktoś, kto ma odebrać pieniądze w Almaden.

— Świeży trop wskazuje, że wozy są niedaleko przed nami. Trzeba tylko otoczyć nieprzyjaciół na odpowiednim terenie, tak żeby żaden z nich nie uszedł. Gdzie znajdziemy takie miejsce?

Player rozważał przez chwilę.

— Jeśli cierpliwie zaczekacie do południa, sposobność się nadarzy. Mianowicie po kilku godzinach drogi przez wąwozy i doliny staniemy w szczerym polu, gdzie łatwo schwytać będzie wszystkich czerwonoskórych.

Była to wprawdzie niemała strata czasu, ale wyperswadowałem sobie, że przecież po zdobyciu wozów nie będziemy mogli jechać prędzej, niż zaprzężone muły. Wychodziło więc na jedno.

W jakiś czas potem pojechał Winnetou naprzód, żeby przekonać się jak daleko były wozy przed nami. Po trzech kwadransach czekał już na nas. Widział wozy; eskorta składała się rzeczywiście z pięciu czerwonych i jednego białego. Od tej chwili jechaliśmy tak, że w razie potrzeby mogliśmy dopędzić transport w przeciagu pięciu minut.

Około południa przybyliśmy rzeczywiście na dość obszerną równinę. Przed nami jechały wozy, jeden za drugim. Ponieważ dwa ostatnie posterunki zagarnęliśmy pod moim przewodnictwem, więc obecnie komendę objął Winnetou. Wybrawszy sobie dziesięciu Mimbrenjów popędził za wozami, podczas gdy my jechaliśmy dalej wolnym krokiem.

Widzieliśmy jak Mimbrenjowie otoczyli nieprzyjaciół. Chwycono za broń. Posłyszeliśmy strzały. Wozy stanęły. Parobcy wrzeszczeli, nie wiem czy ze złości, czy ze strachu, a ów pojedynczy biały nawrócił konia i rejterował. Raptem zobaczył nas nadjeżdżających z tyłu; wobec nowego niebezpieczeństwa skręcił na lewo i pognął galopem na południe.

O nim nie myśleliśmy przedtem. Nie można było pozwolić, żeby uciekł, chociaż nie chcieliśmy go skrzywdzić, gdyż był to uczciwy kupiec i nie umoczył ręki w konszachtach Meltona. Mój biegun był najbardziej rączy, więc puściłem się za nim w pogoń. Kupiec obejrzał

się i na mój widok jął okładać konia bez umiaru. Nic to jednak nie pomogło; wkrótce nadjechawszy z boku, wyrwał mu uzdę z ręki, zatrzymałem zwierzę i zapytałem:

— Gdzie pan jedzie? Nie ma przecież najmniejszego powodu do takiego pośpiechu!

Był to człowiek jeszcze młody, a przy tym chudy jak chart; na pierwszy rzut oka poznać w nim było kupca. Uzbrojony od stóp do głów, wyciągnął do mnie błagalnie ręce i prosił:

— Nie mordować, senior, nie mordować! Nie wyrządziłem panu nic złego i nie bronię się; więc daruj mi życie!

— Nie bój się pan! Nie mamy zamiaru pana krzywdzić, napad był wymierzony tylko przeciw pańskim pięciu Yuma.

— Nie przeciwko mnie? — zapytał, oddychając głęboko i ocierając pot z czoła.

— Ależ nie. Przeciwnie, pańskie życie ma dla nas wartość nieocenioną; nie spadnie panu ani włos z głowy. Niech pan całkiem spokojnie powróci ze mną do wozów!

Kupiec przyglądając mi się nieufnie rzekł:

— Kim jest pan zatem?

— Jestem uczciwym człowiekiem. Tyle panu na razie powiem. Natomiast pańscy Yuma są drabami, których musieliśmy wziąć do niewoli. No chodź pan!

— Dobrze, wierzę panu i wracam, gdyż przypuszczam, że... Mój Boże! Co widzę! Wszyscy pięciu leżą tam w trawie, zastrzeleni, zabici, zamordowani!

Niestety mówił prawdę. Mimbrenjowie nie robili ceremonii z nieprzyjaciółmi; Yuma leżeli martwi.

— Zostali zastrzeleni, ponieważ się bronili — objaśniłem kupca. — Gdyby zaniechali walki, nie popłynęłaby krew.

— Tym bardziej więc usilnie proszę, aby pana pamiętał, że ja się nie broniłem!

— Chętnie to poświadczę. Żywił pan rzeczywiście uczucia tak przyjazne, że ochoczo zrezygnował z obrony. Jak się pan właściwie nazywasz?

— Mów pan do mnie Don Endimio de Saledo y Coraba!

— Dla krótkości będę pana na razie nazywał senior Endimio. Proszę mi jeszcze powiedzieć, czym pan się trudni?

— Jestem kupcem.

— A jaką godność piastuje pan tutaj, przy tych wozach?

— Jestem pełnomocnikiem seniora Manfreda, u którego Melton zakupił te towary.

— Pięknie! Proszę więc pana powtórnie, żebyś udał się ze mną do moich towarzyszy.

— Chętnie, ale oto widzę wielu jeńców wśród naszych Indian. To podsycia moje podejrzenia!

— Wolni jeźdźcy to Mimbrenjowie, a skępowani to Indianie Yuma.

— Czy ja mam także pójść w niewolę?

— Nie.

Wróciliśmy do wozów. Poganiacze stali w zwartej gromadzie, ze strzelbami w rękach, gotowi do obrony w razie, gdybyśmy wszczęli walkę.

— Porzućcie strzelby, seniores! — zawołałem do nich. — Uważamy was za swoich przyjaciół.

Opowiedziałem im krótko, lecz jasno, co nas tu sprowadza; przy sposobności wymieniłem kilka razy imię Winnetou. Ci ludzie byli to prawdziwi peoni, silne półdzikie okazy, którym jednak dobroduszość i uczciwość wyzierały z oczu. Gdy skończyłem, odezwał się najstarszy z nich, z potężną blizną na twarzy:

— Nie potrzeba żadnego wyjaśnienia, senior. Jeśli Winnetou jest z wami, to drogi wasze uczciwe, gdyż wódz Apaczów nie przyłoży ręki do niecnej sprawy. Moje stare oko raduje się, że może na koniec zobaczyć tak wielkiego wojownika, a brak mi tylko jeszcze jednego: gdyżby Old Shatterhand był tu także!

— On jest przecież. Siedzi na moim koniu.



— Pan? A więc to pan jest Old Shatterhandem? Czuję się szczęśliwy, że oglądam tak sławnego człowieka. Senior, wierzymy każdemu słowu, które pan powiedział i prosimy o radę, jak mamy postąpić.

— Chętnie wam jej udzielę. Przedtem jednak powiedz mi pan, czemu mam to przypisać, że częstujesz mnie tak miłymi słowami. Wiem, że Winnetou jest tutaj znany, ale ja wszak nie byłem jeszcze w tym kraju.

— Ja za to byłem za granicą, w Stanach Zjednoczonych. Przebywałem przez wiele lat w Teksasie, a nawet dotarłem do Kansas. Wobec tego nie może się pan dziwić, że pana znam, senior.

— Czym pan był w Stanach?

— Czym się tylko dało; cóż, kiedy nie zagrzałem dłużej żadnego miejsca. Zostałem nadal biedakiem i teraz na stare lata muszę radzić sobie jako woźnica. Ponieważ jednak przywykłem z dawna do przygód, więc przyjąłem taką posadę, przy której nie trudno o niespodziankę. Moi towarzysze są tej samej myśli. Cieszyliśmy się po prostu na tę jazdę w góry Yuma. I wygląda mi na to, że nie zawiodły nas nadzieje.

— Tak; mieliście rzeczywiście powód do uciechy, skoro wasz chlebodawca przydzielił wam tak dzielnego zastępcę.

Wskazałem na seniora Endimio, który trzymał się ciągle jeszcze w przezornej odległości.

— O! — zaśmiał się stary. — Ten zmyka nawet przed brzęczeniem muchy. Ale wróćmy do rzeczy. Towary, które wieziemy są zamówione i zapłacono już połowę ceny. Mamy je oddać w Almaden i odebrać drugą połowę pieniędzy. Pan jednak sprzeciwia się temu. Co więc mamy począć?

— Nie sprzeciwiamy się, tylko proszę, abyście je oddali adresatowi w mojej obecności.

— Mądre słowo się rzekło. Przystaję.

— Chciałbym wiedzieć, jakie wiezicie towary, gdyż prawdopodobnie wezmę z tego trochę dla siebie.

— Owszem, może senior wziąć. Ale wtedy Melton odmówi zapłaty.

— Melton zapłaci; daję gwarancję.

— Jeśli tak, to niech pan weźmie wszystko, razem z wozami i mułami! Gdy Old Shatterhand powie, dotrzyma słowa z pewnością.

— Dziękuję panu serdecznie za zaufanie, a jednak muszę przyznać otwarcie, że bynajmniej nie jestem krezusem, zwłaszcza teraz nie mam nawet czym zapłacić za sto papierosów.

— Nie szkodzi! Cały transport do pańskiej dyspozycji. Stanie się tak, jak senior zarządzi. A co się tyczy papierosów i tytoniu, to proszę tylko rękę wyciągnąć, jeśli ich panu braknie. Mamy tyle, że możemy seniora na całe lata zaopatrzyć.

— Stać! — zawołał nagle hacjendero. — Protestuję; nie pozwolę, żeby ktokolwiek przywłaszczył sobie te towary.

— A kim pan jesteś? — zapytał stary peon, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

— Jestem don Timoteo Pruchillo, właściciel hacjendy del Arroyo.

— Przecież pan ją sprzedał, jak słyszałem!

— Tak, ale na skutek łotrowskiego podstępu tego draba Meltona. Chcę odszkodowania i dlatego zajmuję te wozy, ze wszystkim co zawierają.

— Trudna będzie to sprawa, senior. Old Shatterhand ma postanowić, co się stanie z tymi rzeczami.

— To mnie nic nie obchodzi. On nie ma prawa zarządzać w tej sprawie.

— A pan tym mniej! Melton zamówił towary i jemu mamy je oddać. W jakich stosunkach jesteś senior z nim prywatnie, to nas nie obchodzi. Od niego może pan żądać oddania transportu, ale nie od nas.

Wtem przystąpił do niego buńczuczny *juriskonsulto* i zagadnął oschłym tonem urzędowym:

— Pańskie nazwisko?

— Nazywają mnie stary Pedrillo.

— Czy pan mnie zna?

— Tak.

— Więc pan wie, że musi mi pan być posłuszny?

— Nawet w Ures nie mam obowiązku seniora słuchać. Nie osobie jestem poddany, lecz prawu. Tutaj zaś w górach Yuma, znaczy pan tyle, co nic.

— Człowiecze, nie zmuszaj mnie, abym cię ukarał!

— A pan niech mnie nie zmusza, abym seniora wyśmiał. Znają pana. Tutaj jest tylko dwóch, którym będziemy posłuszni, nie dlatego, żeby mieli prawo nam rozkazywać, lecz dlatego, że należy im się szacunek. Tymi dwoma są Old Shatterhand i Winnetou. To, co piszcza myszy, może jest piękną piosenką, ale ja jej nie lubię.

— Człowiecze! — krzyknął na niego urzędnik. — Nie zapominaj kim jesteś! Parobkiem, niczym więcej, tylko parobkiem! A tutaj stoi zastępca i pełnomocnik twego pana, który chyba będzie wiedział po czyjej stronie przewaga i słuszność!

Przy tych słowach wskazał na sennora Endimio. Ten odrzekł z widocznym zakłopotaniem:

— Jestem wprawdzie pełnomocnikiem sennora Manfredo, ale... ponieważ wykonanie danych mi poleceń zdałem na Pedrilla... więc...

— Weller! Stamtąd nadjeżdża Weller! — krzyknął nagle Player, przerywając kupcowi i wskazując ku miejscu, gdzie równina przechodziła z powrotem w wąską dolinę.

Wszyscy spojrzeli w tym kierunku. Rzeczywiście: ukazał się samotny jeździec. Przez chwilę stał nieruchomo, a następnie zobaczywszy wozy, odwrócił się, skinął ręką poza siebie, jakby kogoś przywoływał i począł zbliżać się ku nam.

— Weller? Ten oszust? Ten łotr? — zapytał hacjendero. Jego muszę złapać i to natychmiast!

Pobiegł naprzeciw zbliżającego się, w którym teraz i ja poznałem młodego Wellera. Ten zbyteczny pośpiech mógł mieć złe następstwa, spodziewałem się jednak, że hacjendero przynajmniej w pierwszej chwili nie zdradzi mojej obecności. Aby zaś Weller nie spostrzegł mnie przedwcześnie, ukryłem się za najbliższym wozem.

Don Timoteo i Weller zeszli się w odległości mniej więcej stu kroków od nas, więc mogliśmy słyszeć co ze sobą mówili. Pierwszy wrzasnął na drugiego ze wściekłością?

— Dobrze, że pan przychodzi, panie złodzieju, panie rabusiu i morderco! Żądam mojej hacjendy z powrotem i to w takim stanie w jakim była przed spaleniem.

— Pan tutaj, don Timoteo? — zapytał Weller zdumiony, nie zważając zrazu na obelgi. — Myślałem, że jesteś senior w Ures. Czego pan chce na drodze do Almaden?

— Czego chcę? Chcę odebrać moje mienie przez was zrabowane!

— Nie rozumiem pana. Jak senior może zwracać się z takimi słowami do mnie, pańskiego przyjaciela.

— Milcz łotrze i nie waż się nazywać po raz drugi moim przyjacielem! Wyruszyłem, żeby się zemścić na tobie. Popatrz: tam stoją wszyscy moi towarzysze. Czy widzisz *juriskonsulto* z Ures?

Zapytany spojrział ku wozom i odparł, potrząsając głową:

— Tego nie znam?

— Ani jego policjantów?

— Nie. Co ma tutaj policja do roboty?

— Złapać was, zagarnąć w niewolę tak, jak już schwytaliśmy waszych sprzymierzeńców i współwinnych!

— Współwinnych? Kto to jest?

— Yuma. Nie udawaj, że nie widzisz rzemieni na ich rękach i nogach?

— Rzemieni? Ach, naprawdę, oni są związani! Nawet Bystra Ryba! Któż więc są ci wolni czerwonoskórzy?

— To Mimbrenjowie, którzy wyruszyli przeciw wam. A tam poza ostatnim wozem stoi Winnetou, wódz Apaczów!

— Ten papla zepsuje wszystko — szepnął do mnie Winnetou. — Niech mój brat będzie gotów w każdej chwili skoczyć na konia!

— Winnetou jest tutaj? — zapytał Weller. — Czy to możliwe? Nie widzę go!

— O, nie tylko on jest tutaj, lecz także ktoś, którego się jeszcze więcej obawiasz, mianowicie Old Shatterhand. Uciekł waszym czerwonoskórym sprzymierzeńcom i połączył się z nami.

— Old Shatterhand? Przekleństwo! Dobrze, że mi to mówisz głupcze!

Posłyszeliśmy krzyk, a potem galop konia.. Wyszliśmy zza wozu. Hacjendero leżał na ziemi, powalony przez Wellera, który uciekał na powrót w kierunku wąskiej doliny. Wskoczyłem na konia i popędziłem za nim. Winnetou nie pozwolił na siebie czekać. Słyszeliśmy jak zbieg wołał:

— Old Shatterhand, Winnetou, Mimbrenjowie! Old Shatterhand, Winnetou, Mimbrenjowie!

Dlaczego wołał? W jakim celu? Może ze strachu? Przecież podczas rozmowy z hacjenderem nie okazał trwogi. Imiona wywoływał jeszcze, gdy zniknął w zwężeniu doliny, a gdy tam dotarliśmy, na nowo posłyszeliśmy alarm.

Doścignęliśmy go szybko. Dolina się wznosiła; z prawej i lewej strony rósł dość gęsty las. Weller obejrzał się i zobaczył nas o niespełna trzysta kroków za sobą. Zrozumiał, że nie ujdzie jeśli nie chwyci się jakiegoś wybiegu. Zatrzymał tedy konia, zeskoczył z siodła i pośpieszył piechotą na lewo, w las. W chwilę później my również byliśmy na ziemi.

— Winnetou, wprost za nim! — zawołałem do Apacza i pobiegłem, jak mogłem najprędzej, pod drzewami w górę zbocza doliny.

Nie działałem odruchowo. Gdybyśmy obydwaj biegali za uciekającym, nie słyszelibyśmy odgłosu jego kroków, zagłuszając je własnym stąpaniem. Należało zatem wyprzedzić go i nasłuchiwać. To właśnie wziętem na siebie, a Winnetou miał mi Wellera wpędzić w ręce.

Znajdowaliśmy się u stóp lewego zbocza doliny, które było porośnięte gęsto drzewami i dosyć stromo wznosiło się w górę. Przypuszczając, że Weller będzie uciekał wprost przed siebie, za drogowskaz obrałem gruby buk, który musiał leżeć na jego drodze, jeśli przewidywałem słusznie. Pozostawszy daleko w tyle miałem o wiele dłuższą drogę do przebycia niż on.

Odstęp usiłowałem wyrównać zdwojona szybkością. Skakałem od drzewa do drzewa, od kamienia do kamienia, jak jeszcze nigdy dotąd. Skoro dobiegłem do buku, prawie straciłem oddech i w głowie czułem zawrót. Ale silna woła potrafi nawet to opanować. Wnet usłyszałem podwójny odgłos kroków: jeden pochodził od człowieka, zbliżającego się do buku cicho ostrożnie, a więc powoli, drugi wywołała osoba przedzierająca się szybko i głośno przez krzaki. Pierwszy był Weller, drugi — Winnetou. A zatem wyprzedziłem zbiega. Był to dowód, że człowiek w nagłej potrzebie może dokonać wiele ponad swoje siły.

Weller zbliżał się coraz bardziej; za chwilę go zobaczyłem. Nie biegł wprost do buku, lecz w odległości kilku kroków po prawej stronie od niego. Oczywiście, ani przeczuwał, że wyprzedził go ktoś, kto miał biec za nim. W chwili, kiedy się znalazł najbliżej mnie, podbiegłem z tyłu do niego, chwyciłem za włosy, gdyż kapelusz już wcześniej zerwały mu z głowy gałęzie i potężnym szarpnięciem powaliłem na ziemię. Niespodziewanie zaatakowany, wydał przeraźliwy okrzyk przestraszenia i bólu.

— Czy mój brat go złapał? — zawołał Winnetou, słysząc wrzask Wellera.

— Tak jest — odpowiedziałem, klękając kolanami na piersiach jeńca. Niebawem nadbiegł Winnetou.

— Mój brat miał dobry pomysł. Wiedziałem, że Old Shatterhand jest wyśmienitym biegaczem, ale nie przypuszczałem, że umie latać. Dlaczego nie ogłuszyłeś tego człowieka?

— Uważałem to za zbyt uczynne. Drab nie potrafi mi się oprzeć.

To mówiąc podciągnąłem Wellerę w górę i postawiłem na nogi. Winnetou podniósł karabin, który wypadł Wellerowi i ruszyliśmy z powrotem. Nie mieliśmy ze sobą rzemieni, więc wziąłem jeńca za kołnierz i popchnąwszy go rozkazałem:

— Naprzód teraz! A gdybyś nie chciał słuchać, to potrafimy wymusić posłuszeństwo!

Gdybym nawet miał powrozy, nie pętałbym go, bo człowiek ten nie wart był zabiegów.

W dolinie znaleźliśmy nasze konie w tym samym miejscu, w którym je zostawiliśmy. Wierzchowiec Wellerę pobiegł naprzód, został jednak schwytany przez kilku Mimbrenjów, którzy pojechali za nami. Skoro przyprowadziliśmy jeńca na miejsce, gdzie stały wozy, wybiegł na nasze spotkanie hacjendero, rozplywając się z radości:

— Mają go! Prowadzą! Wspaniale, wyśmienicie! Teraz odpłacę mu za cios, który mi zadał karabinem!

To mówiąc zamierzył się na jeńca i byłby zdzielił go przez głowę, gdybym nie stanął na przeszkodzie.

— Zostaw! Strzelił pan głupstwo, idąc naprzeciw niego. Przez to Weller omal nam nie uciekł. Należało milczeć i czekać aż się bardziej przybliży.

— Panu sprawia przyjemność ciągle besztać! Pan jest...

Chciał prawdopodobnie zakończyć grubiaństwem, ja jednak przerwałem surowo:

— Milcz pan natychmiast, gdyż inaczej...

W gniewie podniosłem rękę. Hacjendero cofnął się przestraszony i zrejterował za wóz, aby wspólnie z uczonym urzędnikiem narzekać na swoją niedolę.

Tymczasem Winnetou kazał przywiązać jeńca do dyszla jednego z wozów. Mimbrenjowie otoczyli go i zaczęli lżyć. Odpędziłem ich, aby nie słyszeli, o czym będę z Wellerem rozmawiał. Winnetou pozostał przy mnie.

Weller miał wygląd ponury, oczy spuszczone w dół. Zaciął się, aby nie wygadać niczego. Ja też nie obiecywałem sobie po nim obszernych zeznań; pragnąłem tylko wydusić z niego podstępem choćby kilka słów, z których mogłem wyciągnąć odpowiednie wnioski.

— Przebywa pan wśród nas tylko kilka minut, Weller — zacząłem. — Nie miał pan zatem jeszcze czasu namyślić się nad swoim położeniem; ja to panu ułatwię. Położenie pańskie jest bardzo niebezpieczne. Chodzi tutaj o śmierć lub życie. Od zachowania się pańskiego zależy los pański. Powiedz mi pan, dlaczego był tak nieostrożny, że opuścił Almaden i wpadł nam prosto w ręce?

Jeniec nie odpowiadał przez dłuższą chwilę na zadane mu pytanie. Prawdopodobnie namyślał się, czy ma w ogóle mówić, a jeśli tak, to ile prawdy może powiedzieć bez szkody dla swoich kamratów. Po głębokim namyśle odparł:

— Senior Melton mi kazał.

— Zatem wasza jazda miała jakiś cel?

— Nawet podwójny. Czekaliśmy na transport: ponieważ nie nadchodził, więc trzeba było przekonać się, jaki jest powód opóźnienia.

— To pierwszy cel. A drugi?

Weller otworzył już usta do odpowiedzi, lecz zamknął je z powrotem. Prawdopodobnie powiedział przedtem więcej, niż mógł powiedzieć teraz. Na koniec rzekł:

— To pana nie będzie interesowało.

— O, muszę wyznać, że wszystko, co dotyczy pana, interesuje mnie gorąco, choć jedynie z tego powodu, że jak wiem z doświadczenia, obdarzasz mnie pan gorbwą sympatią. Wobec wzajemnej czułości uważam za swój obowiązek zapytać o zdrowie pańskie i pańskich przyjaciół. Jak stoją sprawy w Almaden? Czy robotnicy są już pod ziemią?

— Tak — wyrwało mu się mimo woli.

— Pracują już? — Nie.

— Ach, rozumiem; muszą najpierw przyzwyczać się do powietrza w kopalni, wypełnionego wyziewami rtęci. Głód i pragnienie są dokuczliwe, te dwa środki zmuszą ich na pewno do posłuszeństwa.

Ponieważ jeniec milczał, więc mogłem uznać, że nie mijam się z prawdą i mówiłem dalej:

— Jak się panu podoba mieszkanie w Almaden? Jest ukryte tak dobrze, że nie każdy człowiek potrafi je znaleźć. Ponieważ jednak mam zamiar odwiedzić pana na powrót, więc leży to w pańskim interesie, żeby mi je opisać dokładnie.

Teraz odpowiedział z miejsca:

— Ani mi się śni coś podobnego!

— No, przekonamy się jeszcze. Czy pan wyjechał sam z Almaden?

— Tak jest — odparł szybko.

— Przypominam sobie jednak, że dawał pan znak komuś, kto się znajdował za panem.

— Być może dobiegł mnie jakiś szmer i dlatego tylko się obejrzałem.

— Być może. Ale dlaczego pan krzyczał tak głośno podczas ucieczki?

— Ze... strachu.

— Wyznanie to sprawia panu wielką przykrość, a wypowiada je pan jedynie po to, żeby ukryć prawdę. Może był tam ktoś, kogo chciał pan ostrzec wołaniem? Zdziwiłbym się, gdybym spotkał tu pana samopas. Na takiej wycieczce łatwo skrócić kark. Przecież mieszka pan razem ze swoim ojcem u Meltona?

— Daj mi pan spokój z tymi pytaniami! Możesz się przecież senior domyślić, że nie odpowiem na nie.

— A gdyby pańskie życie od tego zależało?

— Nawet wtedy nie udzielę żadnych wiadomości. Nie przyjdzie mi nigdy namyśl zdradzić ojca. A co się tyczy mego życia, to wprawdzie zawisło obecnie od pańskiej woli, ale wiem, że sennor nie jest mordercą i spodziewam się dożyć późnej starości.

— Jak się panu podoba! Nie będę się dłużej narzucał, a melinę pańskiego ojca znajdę bez niczyjej pomocy.

Okoliczność, że Weller dał znak poza siebie i wywołał tak głośno nasze imiona, zastanowiła mnie niemało. Jednakże Mimbrenjowie, którzy przyprowadzili jego konia, nie zauważyli śladów drugiego jeźdźcy. To mnie uspokoiło, przynajmniej na razie.

Co do zawartości wozów, to postanowiliśmy, że obecnie nic nie tkniemy, a zajrzemy do nich w miarę potrzeby. W każdym razie stary Pedrillo i jego czterej towarzysze stanowili dla nas bardzo pożądaną pomoc, na którą można się było zdać w zupełności.

Od tej chwili był nam przewodnikiem trop Wellera. Jechałem na przodzie, odczytując go krok po kroku. Z początku zmieszały się z nim ślady nasze i Mimbrenjów. Dopiero za miejscem, na którym zatrzymał się koń Wellera, wystąpił trop jak na dłoni. W tej samej jednak chwili zauważyłem ku zdumieniu ślady, nie pojedyncze, ale potrójne. Dwóch jeźdźców jechało naprzeciw nas, a jeden wrócił tą samą drogą. Naturalnie zawiadomiłem o tym Winnetou, który zgodził się w zupełności ze zdaniem, że Weller miał towarzysza. Do niego skierowane było owo skiniecie i alarm, który zawiadomił go o naszej obecności i pchnął do ucieczki.

Skoro doszło to do uszu naszych towarzyszy okazało się, że podczas gdy uwaga wszystkich była zwrócona na hacjendera i Wellera jeden z policjantów zobaczył drugiego jeźdźcy, także białego, który ukazał się w tym samym miejscu, gdzie Weller, lecz niebawem zniknął. Była to ze strony policjanta niedbałość nie do przebaczenia, iż dopiero teraz udzielił nam tej wiadomości. Drugim jeźdźcą był z pewnością ojciec Wellera, albo sam Melton. Nie uważałem jednak za stosowne ścigać go, bo gdybym się oddalił, ja czy Winnetou, wnet by nasza kompania, tak osobliwie sformowana, rozleciała się na cztery strony świata. Musieliśmy zostać przy wozach, a podróż kontynuować w zwolnionym tempie; wobec tego byłem pewien, że ów jeździec przybędzie przed nami do Almaden i przygotuje załogę na przyjęcie nasze. Zatem podstawa planu — zaskoczenie wroga — upadła. Brałem już nawet w rachubę, że

nieprzyjaciel nie będzie na nas czekał, lecz wyruszy naprzeciw, przygotuje zasadzkę, aby nas, nieobeznanych z okolicą, zwabić w odpowiednie do napadu miejsce i wystrzelać co do nogi.

Najbardziej dopiekało mi to, że ów zbieg wiedział kim jesteśmy. Z tej racji na pewno podwoił pośpiech. Oczywiście gładziutko wyczesafem hacjendera, on był winien wszystkiemu, ale i teraz nadęty safandula nie raczył uznać swojego błędu.

Ruszyliśmy w drogę. Winnetou jechał na przodzie oddziału, ja u jego boku. Miałem ku temu powody. Mianowicie nie było wykluczone, że ów jeździec, wiedząc że go nikt nie ściga, nie uciekał dalej, lecz starał się nas obserwować. W tym wypadku musiałby zboczyć z drogi i ukryć się w lesie. Należało więc zwracać jak najbaczniejszą uwagę na jego ślady. Niestety okazało się, że jechał ciągle w kierunku prostym. Widocznie miał tylko jeden cel przed oczyma: jak najprędzej dostać się do Almaden.

Droga prowadziła pod górę. Zrazu mieliśmy las po obydwu stronach; później tylko po lewej, a w końcu wyłoniła się znowu otwarta równina. Ślady były w trawie odcisnięte jak pieczęcią. Zbieg jechał przez las kłusem; na równinie zaś galopował. Przedtem jednak, jak poznaliśmy po tropie, zatrzymał konia i zsiadł. W jakim celu? Zsiadliśmy również i zbadali miejsce. Noski jego butów były skierowane ku bokom konia, a odciski obcasów na przemian to głębsze, to płytsze. Odgadliśmy, że jeździec ściągał mocniej gurt od siodła, aby w nim siedzieć pewniej, wobec szybkości, jaką zamierzał rozwinać. Już mieliśmy odejść, gdy wtem Winnetou wskazał na bok, na miejsce, gdzie w trawie odcinały się ślady dwóch długich przedmiotów, u jednego końca wąskie, u drugiego szerokie.

— Uff! — rzekł Apacz. — Czy to mojego brata nie dziwi?

— Oczywiście. Ten człowiek miał dwie strzelby; położył je tutaj, aby uwolnić ręce dla dociągnięcia gurta.

— Znam tylko jednego, który nosi dwie strzelby, a tym jednym jesteś ty. Jeśli ów człowiek miał dwa karabiny to na pewno jeden z nich nie jest jego własnością.

— Prawdopodobnie. W jakim celu miałyby wiec ze sobą aż dwa karabiny? Drugi zdobył zapewne podczas drogi, co oznacza po prostu, że odebrał go komuś. Przypuszczam, że wkrótce dowiemy się, kto to był. Jedźmy dalej.

Niebawem byliśmy zmuszeni zatrzymać się znowu. Ślady się rozdzielały. Trop podwójny, idący naprzeciw nas, skręcał na północ, podczas gdy ślad uciekającego przed nim zbiega zachowywał dotychczasowy kierunek wschodni?

— Który kierunek prowadzi do Almaden? — zapytałem Playera.

— Ten, który biegnie w kierunku wschodnim — odparł nasz przewodnik.

— Ale widzicie przecież, że Weller i jego towarzysz przyjechali z północy.

— Widocznie zboczyli z prostej drogi. Musieli mieć powód do tego.

— Przypuszczam, że ten powód ma związek z ową drugą strzelbą. Jedźcie dalej. Ja muszę się przekonać dokąd prowadzi ten trop. Mój młody brat, Yuma Shetar, może mi towarzyszyć!

Winnetou nie wziął mi wcale za złe, że nie jego wybrałem na towarzysza. Uważał, podobnie jak ja, że nie możemy oddalać się obydwaj równocześnie, od naszych ludzi. A Yuma Shetar cieszył się serdecznie, że znowu go wyróżniłem.

Ruszyliśmy galopem. Już po dziesięciu minutach, zmiarkowałem, że sprawa wyjaśni się za niedługo. Pragnąc wystawić na próbę bystrość młodego Indianina, rzekłem:

— Będziemy mogli wkrótce wracać. Czy mój brat wie, po czym to poznaję?

Yuma Shetar przypatrzył się tropom i odparł:

— Nie widzie nic nowego.

— Niech mój brat nie patrzy na ziemię, lecz na niebo! Wskazałem na sześć, czy siedem czarnych punktów, które daleko przed nami krążyły w powietrzu. To unosząc się to opadając.

— Uff, sępy — zawołał mój towarzysz. Krążą nad jednym i tym samym miejscem; widocznie leży tam padlina.

— Nie, to nie padlina. Na padlinę rzucają się sępy od razu; te zaś latają w powietrzu; stąd wniosek, że stworzenie, które obrały sobie za zdobycz oddycha jeszcze.

Podjechawszy bliżej ujrzeliśmy gromadę sępów siedzących na ziemi i tworzących koło, w środku którego leżał człowiek zastygły w bezruchu.

— Człowiek! — zawołał Mimbrenjo. — Zamordowany!

— Właśnie, że żywy; gdyby to był trup, sępy obsiadłby go już dawno. Musiał się poruszać jeszcze przed chwilą.

Ptaki wleciały skoro nadjechaliśmy. Znalazłszy się na miejscu zeskoczyliśmy z koni.

— Wielki Boże! — zawołałem, rzuciwszy okiem na nieszczęśliwego.

— Czy to możliwe?! To jeden z tych, których mamy ratować — wyjaśniłem towarzyszowi moje zdziwienie, klękając przy rannym, żeby go opatrzeć.

Był to Herkules. Ubranie miał podarte, jakby po zapasach. Wyglądał okropnie. Otrzymał cios w głowę, który go ogłuszył; czaszka spuchnięta, miała kolor krwistoczerwony. Spuchlizna sięgała aż do połowy czoła. Na razie nie mogłem wiedzieć, czy kość była zdruzgotana. Poza tym nie spostrzegłem żadnej innej rany. Gdy próbowałem obejrzeć głowę, sprawiły moje dotknięcia choremu ból tak dotkliwy, że wrzasnął przeraźliwie i wyprostował się do pozycji siedzącej. Skoro odjąłem rękę od rany, osunął się z powrotem na ziemię i leżał spokojnie.

— Musimy wracać — rzekłem. — Tutaj nie poradzimy nic. Przede wszystkim trzeba nam wody.

— A jeśli umrze po drodze?

— Trudno. Tutaj umarłby również. Wezmę go na konia.

— Tego dużego, ciężkiego człowieka?

— Inaczej nie można go przewieźć.

Mimbrenjo miał słuszność. Kosztowało nas dużo wysiłku zanim zdołaliśmy umieścić tego Goliata w poprzek siodła. Zabiegi nasze zraniony odczuł dotkliwie; jęczał z bólu, przytomności jednak nie odzyska! Sprawivszy się, ruszyliśmy galopem, nie tą samą drogą, która zawiodła nas tutaj, lecz na południowy wschód, ponieważ Winnetou ze swoim oddziałem posuwał się w kierunku wschodnim, a my oddaliliśmy się poprzednio na północ. Teraz wracaliśmy przekątną.

Mój koń, jakkolwiek miał wielki ciężar do dźwignia był dość silny, żeby biec galopem. Musiałem obrać tę jazdę forsowną, jako najrówniejszą i najmniej dokuczliwą dla Herkulesa. Emigrant leżał teraz cicho jak nieżywy. Gdy dopędziliśmy pochód, siły moje i konia były prawie zupełnie wyczerpane.

Powrót nasz wywołał ogólne poruszenie. Dało się słyszeć wołania i okrzyki. Powstało zamieszanie, każdy cisnął się do nas, żeby zobaczyć zranionego. Jeden Winnetou pozostał spokojny jak zwykle. Odpędził ciekawych surowym rozkazem, pomógł tym, którzy odbierali ode mnie Herkulesa, a potem zabrał się do zbadania czaszki. Na ranach znał się jak najlepszy chirurg.

— Kość jest cała — odezwał się po pewnym czasie. — Ten człowiek będzie żył, jeśli przetrzyma gorączkę. Podajcie mi wody!

Wody nie brakło. Pełne jej wiadra, przeznaczone dla mułów, wisiały pod wozami. Na rozkaz Winnetou pośpieszono do nich natychmiast. Apacz obchodził się z chorym tak delikatnie, że ten nie wydał ani jednego okrzyku. Po ochłodzeniu i obandażowaniu głowy, ułożono go w jednym z wozów, na troskliwie przygotowanym posłaniu. Po czym ruszyliśmy w dalszą drogę, kierując się znowu tropem zbiegłego towarzysza Wellera.

Myliłby się bardzo, kto by przypuszczał, że Winnetou zasypał mnie pytaniami, co do osoby rannego. Jechał cicho i spoglądał przed siebie w zamyśleniu. Znałem ten jego nawyk. Wiedziałem, że starał się wpaść na właściwy trop bez mojej pomocy. Po chwili podniósł głowę; spojrzenie, jakie rzucił na mnie, powiedziało mi że wiedział już o co chodzi. Dlatego zapytałem.

— Mój brat Winnetou znalazł wyjaśnienie, którego ja mogłem mu udzielić. Kim jest więc ten ranny?

— On należy do białych twarzy, które zostały oszukane przez Meltona.

— Słusznie. To jedyny emigrant, któremu zwierzyłem się z moich podejrzeń.

— Wobec tego również jedyny, który uszedł losu reszty robotników. Old Shatterhand wie oczywiście, kto go zranił?

— Weller i jego towarzysz. Drugi karabin należał do Herkulesa. Tak się mianowicie ranny nazywa. Gdy przyjdzie do siebie, opowie nam wszystko. Jak sądzi mój brat, kiedy odzyska przytomność?

— Nie mogę wiedzieć dokładnie. Ten olbrzym ma bardzo twardą czaszkę; każda inna pękłaby od takiego uderzenia. Kto jednak może powiedzieć, w jakim stanie znajduje się jego mózg?

— Cieszyłbym się gdyby przyszedł do przytomności, gdyż był w Almaden i mógłby nam wszystko objaśnić.

— Jak widać, moje ostrzeżenie, pobudziło go przecież do bacznej uwagi, gdyż inaczej byłby podzielił los innych. Uciekł, a Weller i jego towarzysz ruszyli w pościg. To jasne.

— Tak. Ale nie tylko ten powód zmusił ich do opuszczenia Almaden.

— Naturalnie. Zapewne czekali na transport z wielką niecierpliwością, a ponieważ nie nadszedł na czas, więc wyjechali na spotkanie. Gdyby chcieli tylko dopaść Herkulesa, byłiby zawrócili, dokonawszy dzieła.

— Sądzę tak samo. Czy mój brat nie chciałby pomówić z Wellerem. Może warto usłyszeć, co powie o rannym.

Chętnie wezwaniu temu uczyniłem zadość, gdyż sam byłem ciekaw, czy jeniec poczyni teraz jakieś zeznania. Dla oszczędzenia czasu zaczekałem, dopóki nie nadeszła pora odpoczynku. Rozłożyliśmy się nad strumieniem. Herkules nie wracał do przytomności. Winnetou za — krzątał się koło niego, ja zaś” zagadnąłem Wellera.

— Znacie tego biedaka, który tam leży nieprzytomny?

— Naturalnie, że znam — odrzekł jeniec gniewnie. — Miałem przecież zaszczyt usługiwać na statku jemu i wam!

— Za te usługi nie czujemy najmniejszej wdzięczności. Większy pożytek byłby dla nas i dla was, gdybyście się nie troszczyli o podróży, skoro opuścili statek. Herkules może to przyplącić życiem. Ten cios kolbą, który miał zabić mojego rodaka, pochodzi od was.

— Ode mnie? Co za myśl! Master, chępcie się bystrością, a szukacie błędnych dróg. Skąd właściwie przyszło wam do głowy, że to ja go chciałem zabić?

— Wy, albo wasz towarzysz.

— Twierdzenie słyszę, ale gdzie dowód? Może został wcześniej przez innych ludzi napadnięty, a ja przejeżdżałem tylko obok niego?

— Wasz ojciec ma jego strzelbę!

Powiedziałem tak umyślnie, sądząc, że jechał z nim raczej Weller senior, aniżeli Melton. I słusznie; jeniec, zaskoczony moimi słowami, dał się sprowokować do odruchowego pytania:

— Więc poznaliście go jednak? Zresztą, niech i tak będzie. Nie mam powodu zaprzeczać. Tak jest, to był mój ojciec. A wiecie czemu wam to mówię? Oto dlatego abyście posłuchali mojej dobrej rady; zawróćcie i nie troszczcie się więcej o Almaden. Inaczej opłaciecie drogo waszą zuchwałość!

— Przekonamy się jeszcze!

— I to w niedalekiej przyszłości! Uprzedzam jak będzie. Nie znacie Almaden, więc nie wiecie, co was tam oczekuje.

— Więc proszę bardzo, pouczcie mnie nieco.



— Ani mi to w głowie! Powiem wam tylko jedno: życie wasze zawisło od tego, jak się będziecie ze mną obchodzić. Z musu mi wróćcie wolność, a potem ja będę o waszym losie stanowią.

— Ach; widzicie we mnie swego przyszłego jeńca?

— Tak, jeśli już przedtem nie padniecie od kuli.

— No, nie rozpaczam jeszcze. Z owymi trzystu Yuma chętnie zmierzymy się w Almaden.

— Trzystu? Jak to, to wy wiecie?

— Tak, wiemy dokładnie, co nas czeka w kopalni, chociaż tak zazdrośnie taicie to przed nami. Wierzcie mi, nie moje życie jest w niebezpieczeństwie, tylko wasze wisi na włosku. Błądzicie bardzo jeśli...

Przerwałem w połowie zdania, gdyż w tej chwili rozległ się od strony wozu w którym leżał Herkules, głośny, przeraźliwy krzyk. Pobiegłem tam czym prędzej. Ranny siedział wyprostowany i wyglądając spod budy wozu osłupiałymi, krwią podbiegłymi oczami, wołał:

— Oddaj ją, oddaj! Judyto, Judyto, chodź za mną; on cię oszuka!

Zacisnął pięści i zgrzytnął zębami.

Obudził się wprawdzie, ale nie odzyskał przytomności i bredził o swojej dawnej narzeczonej.

Objąłem go za ręce, silnie choć łagodnie i przemówiłem do niego ciepłymi słowami. Chory słuchał. Powoli oczy jego przybrały inny wyraz i rzekł żałośnie:

— On ją ogłupia, otumania! Ona nie widzi jego podłości; ona widzi tylko pieniądze!

Chciałem go ugłaskać dobrotliwym słowem; cóż, kiedy skutek okazał się wręcz przeciwny.

— Kto tu mówi? — zapytał gniewnie. — Znam pana. Pan chce mi robić wyrzuty. Pan mnie ostrzegał, ale nie bacznym byłem. Teraz mnie nagrodzono. Melton zabrał mi, Judytę, a Weller...

Chory przerwał. Ostatnie nazwisko obudziło w nim nowe wspomnienia. Zmienionym głosem krzyknął:

— Weller! Gdzie oni są? Gdzie są obydwaj Wellerowie? Stary mnie przytrzymał, a młody uderzył w głowę. Gdzie, gdzie oni są, żebym mógł ich zadusić, zadławić?!

W jednej chwili wróciła mu przytomność. Spojrzał na mnie; potem wzrok jego prześlizgnął się poza wóz, na naszych ludzi. Przez chwilę spojrzenie błądziło po ich twarzach; wtem padło na Wellera, skrepowanego na ziemi. Poznał go natychmiast i wyskoczył z wozu z pośpiechem obłąkańca. Chciałem go zatrzymać, lecz nie wystarczyło mi na to sił. Winnetou pochwycił go również, cóż przecie, skoro w obecnym stanie w dwójnasób wzmogły się siły Herkulesa. Strząsnął nas obydwu ze siebie jak zeschnięte liście. Krzyczał:

— Tam, tam leży morderca, który mnie obudził ze snu, a potem powalił kolbą. Rozmiażdżę go na miejscu!

Przyskoczył do Wellera, któremu przerażenie krzyk wyrwało z ust, rzucił się na niego i palce zacisnął mu na szyi. Chcieliśmy go odciągnąć — daremne wysiłki. Przy jego obecnym podnieceniu nie potrafiłby go poruszyć nawet zaprzęg dziesięciu koni. Trzymał szyję swojego wroga, jakby w żelaznych kleszczach, i wydawał okrzyki, których nie można porównać ani z głosem człowieka ani zwierzęcia. Ciągnęliśmy go i szarpaliśmy; on jednak nie zważał. Twarz Wellera przybierała barwę coraz ciemniejszą; był bliski uduszenia. Wtedy zebraliśmy wszystkie nasze siły i poderwaliśmy Herkulesa w górę, ale z nim także — Wellera, bo nie zwolnił siły uścisku. Próbowano otworzyć jego palce — także bez skutku — aż przyszło mi na myśl uwagę jego od Wellera odwrócić bólem. Zadałem mu więc lekkie uderzenie w głowę, a on natychmiast puścił jeńca i sięgnął obydwoma rękami do miejsca, które poruszyłem. Stał przez chwilę nieruchomo krzycząc z bólu; potem krzyk jego przeszedł w jęk; na koniec osunął się powoli na ziemię, zamknął oczy i ucichł. Po zbyt silnym wzburzeniu nastąpił upływ sił. Gdy tak leżał przede mną, uderzył mnie jego nędzny wygląd, którego przedtem nie zauważyłem, a który nie mógł pochodzić tylko ze zranienia.

Teraz zbadaliśmy Wellera. Leżał martwy, uduszony rękami tego, którego przeznaczył na śmierć. Jak prędko i w jak straszny sposób sprawdziły się słowa, które wypowiedziałem do niego w zupełnie innym sensie: „nie moje życie jest w niebezpieczeństwie, tylko wasze wisi na włosku”.

Żałowaliśmy, że tak się stało, lecz nie czuliśmy litości dla zmarłego Zakopawczy go, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Co do ostatniego etapu naszej podróży, to wystarczy wspomnieć, że po zniesieniu wszystkich posterunków dotarliśmy do regionu, w którym życie roślinne i zwierzęce zanikło. Nie spotkaliśmy po drodze nikogo. Widocznie nieprzyjaciele nie zastawili pułapki, lecz czekali w Almaden, w przekonaniu, że zniszczą nas tam łatwiej, niż gdzie indziej, ponieważ okolica była nam zupełnie obca.

Player wywiązał się z zadania uczciwie, wbrew moim wątpliwościom. Skoro wzięliśmy do niewoli ostatni posterunek, rzekł do mnie i do Winnetou:

— Teraz radzę wam rozstać się z końmi ponieważ nie znajdziecie dla nich paszy. Musicie wyszukać schronienie, gdzie je będzie można zostawić.

— Czy znacie takie miejsce? — zapytałem.

— Znam.

— Ale musi być tak położone, aby łatwo można było odeprzeć ewentualny napad.

— W tym miejscu, o którym myślę, nie może być mowy o napadzie. Leży tak ukryte w lesie, że znajdzie je tylko wtajemniczony.

— Wobec tego właśnie nie nadaje się dla nas. Jak się bowiem przedostaniemy przez gęstwiny z wozami?

— Hm! Macie słuszność, master!

— A nawet gdybyśmy tego dowiedzieli, ślady wozów byłyby długo widoczne. Poza tym las, któryby nas ochraniał, dawałby osłonę także naszym nieprzyjaciołom. Widzicie więc, że wasze upatrzone miejsce dla nas byłoby niefortunne.

— Więc jakie ma być?

— Musi leżeć na otwartej przestrzeni, żebyśmy nieprzyjaciela z daleka spostrzegli, a jednocześnie musi posiadać tyle drzew, żeby uchronić nas przed okiem nadjeżdżających.

— Słowem, dosyć wody, dużo trawy, drzewa, albo krzaki, a mimo to dookoła szczerze pole. Takie miejsce niełatwo znaleźć. A przecież! — dodał po pewnym namyśle. — Znam takie miejsce, ale leży w bok od naszej drogi.

— Z tego możemy być jedynie zadowoleni. W Almaden oczekują nas z zachodu. Jeśli nadjedziemy z innej strony, może nam to tylko przynieść pożytek. Jak daleko musimy zboczyć?

— Zajedziemy na miejsce dopiero za trzy godziny, a więc pod wieczór.

— Nic nie szkodzi, ponieważ dzisiaj i tak nie możemy już nic przedsięwziąć. Zresztą, nie myślcie, że pojedziemy od razu z całym towarzystwem do kopalni. Naprzód musi się tam udać wywiadowca. Według tej reguły postępujemy zawsze.

— Na tym jednak tracicie dużo czasu!

— Lepiej tracić czas na środki ostrożności, niż biec na oślep i w przepaść!

— Czy nie zechcecie pomyśleć, że wywiadowcy może się wydarzyć coś, na co większy oddział nie bywa narażony?

— A wy zechcecie wziąć pod uwagę, że są położenia, w których pojedynczy człowiek naraża się na daleko mniejsze niebezpieczeństwo niż gromada. Zresztą, nie wysłemy głupca. Myślę, że Winnetou weźmie to na siebie.

— Nie, nie ja, lecz mój brat Old Shattehand — odpowiedział Apacz stanowczo. — Winnetou musi zostać przy chorej bladej twarzy, jeśli ma ją uratować.

Jak widać z tych słów, mój przyjaciel nie chciał opuścić pacjenta, skoro już raz się nim zajął. Dobroć jego serca i poczucie obowiązku kazały mi ustąpić, chociaż byłem przekonany, że wódz Apaczów jest lepszym wywiadowcą, aniżeli ja.

Zboczyliśmy zatem z naszego dotychczasowego kierunku i pod wieczór dojechaliśmy do lasu, który był ze wszystkich stron otoczony prerią. Miał może dwa tysiące kroków średnicy; obszar był przestronny. Drzewa stały tak szeroko, że wozy mogły pojechać między nimi. Wody był również dostatek. Przez dwie ostatnie godziny szliśmy za wozami i starali się zatrzeć, o ile to możliwe, ich ślady.

Zanim rozbiliśmy obóz zapadła noc. Ognisk nie palono, gdyż wozy zawierały dość prowiantów, które można było spożyć na zimno. Jeszcze nie skończyłem posiłku, gdy zbliżył się do mnie Winnetou:

— Niech mój brat pójdzie ze mną do chorego. Odzyskał przytomność i pragnie mówić z Old Shatterhandem.

Poszedłem natychmiast. Pacjent leżał na miękkiej murawie; pod głowę podłożono mu koc. Gdy usiadłem przy nim wyciągnął do mnie rękę i rzekł powoli, bardzo słabym głosem:

— Słyszałem od tego Indianina, który rozmawiał ze mną, że pan jest tutaj i że zawdzięczam panu życie. Daj mi senior rękę! Jakże się ucieszyłem, posłyszawszy, że tu jesteś! Przecież pan był w niewoli! Jak pan sobie poradził?

Opowiedziałem mu wszystko, co działo się, aż do chwili obecnej. Pamięć Herkulesa urywała się na chwili, gdy został ogłuszony przez Wellera. Skoro skończyłem, zapytał zdumiony:

— Czy to prawda, co pan opowiada? Ja miałbym zadusić Wellera?

— Tak jest. Wołał pan w gorączce, że on powalił pana uderzeniem kolby w głowę. Czy tak było rzeczywiście?

— Tak. Nie jestem odpowiedzialny za to, co uczyniłem w gorączce i obłąkaniu.

— Co też pan musiał przeżyć! Opowie mi pan to później; teraz jesteś pan zbyt osłabiony.

— O nie! Głowa mnie wprawdzie boli, ale pan wie, że posiadam naturę słonia. Gdy mówię pomału i cicho, nie męczę się wcale. Pozwól mi senior opowiadać. Skoro pan przybył, żeby uratować moich towarzyszy musi pan jak najprędzej dowiedzieć się, jaki los ich spotkał.

— Jestem rzeczywiście ciekaw usłyszeć o waszym położeniu. Byliście w niewoli u Vete-ya, a potem zwrócono wam wolność. Meltona, Wellerów i hacjendera uwolniono także. Co się stało dalej?

— Sennor miał słuszość, że nas ostrzegął. Wszystko skupiło się na nas. Melton kupił hacjendę i skutkiem tego zostaliśmy jego robotnikami.

— Tak, przypominam sobie; czytałem w kontrakcie, że wszystkie prawa hacjendera przechodzą na jego prawnego następcę. Dzisiaj rozumiem, iż to wszystko było już naprzód obmyślane. Was jednak zwerbowano do pracy w hacjendzie więc nie mieliście obowiązku iść do kopalni.

— Czy pan przypuszcza, że zgodziliśmy się na to dobrowolnie? Nie wspomniano ani słowa o kopalni. Melton nas okłamał mówiąc, że niespełna dzień drogi poza hacjendą leży mała estancja, do niej należąca. Tam mieliśmy na razie zostać zatrudnieni. Wellerowie musieli nas zaprowadzić ponieważ Melton pojechał z hacjenderem do Ures, żeby uzyskać prawne potwierdzenie kupna. Zgodziliśmy się na to, gdyż w hacjendzie nie można było obecnie zostać z powodu braku wszelkich środków do życia. Niebawem wyruszyliśmy, a oto pod wieczór wyłonił się przed nami, zamiast estancji, obóz Indian. Było ich trzystu i mieli przeszło sto luźnych koni. Część była przeznaczona dla nas, część dla pakunków. Kazano nam wsiąść i skrepowano jak barany. Zaczęła się wielodniowa podróż do Almaden. Przybywszy w góry musieliśmy zejść do szybu.

— Więc i tam nie stawialiście oporu?

— O sobie nie mówię, bo gdybym zszedł pod ziemię nie rozmawiałbym teraz z panem; ale inni, dzieci, kobiety, ojcowie, coż mogli zrobić? Garstka ludzi przeciw trzystu dzikim! Zresztą zagrożono nam śmiercią w razie oporu. Dzieci i kobiety nie mogły się bronić, a ze względu na ich spokój musieli mężczyźni zrezygnować z obrony.

— Co się stało z imigrantami, gdy weszli do sztolni?

— Czy ja wiem? Nie było mnie z nimi.

— Ach tak! Jak pan sobie poradził?

— Skoro mnie oswobodzono z rzemieni i popchnięto do otworu sztolni, przebiłem się przez Indian i popędziłem wprost przez siebie powaliwszy wielu po drodze i wyrwawszy jednemu z nich karabin. Nie strzelano, ponieważ pragnęli pochwycić mnie żywcem; to mnie uratowało. Czerwoni pędzili za mną. Jestem wprawdzie siłacz nie lada, ale biegacz kiepski i ci lekkonodzy rozbójnicy byliby mnie na pewno dognali, gdyby nie to, że ziemia zapadła się pode mną. Straciwszy mnie z oczu wrócili z niczym.

— Dziwne! Jeśli biegli za panem, to musieli przecież widzieć miejsce, w którym się pan zapadł?

— Tak, ale ja nie uciekałem prosto, lecz skręciłem za róg skały. Za drugim skretem usunęła mi się ziemia spod nóg i nagle znalazłem się w podziemnym korytarzu, który biegł ukosem w dół.

— Zbadał go pan?

— Nie miałem światła. Szedłem w dół, ale nie daleko, gdyż wydawało mi się to niebezpieczne. Potem skręciłem w górę, krok za krokiem macając ostrożnie przed sobą, zanim postawiłem nogę. Ta ostrożność uratowała mnie, gdyż niebawem natrafiłem na przepaść.

Przy tych słowach przyszła mi na myśl jaskinia, o której mówił Płayer. Dlatego zapytałem:

— Czy może mi pan opisać dokładnie okolicę, w której się pan zapadł?

— Mogę panu opisać całe Almaden.

— To mnie cieszy. Miał pan zatem sposobność przypatrzeć się okolicy, mimo że nie śmiał się nikomu pokazać.

— Powążyłem się na to ze względu na Judytę. Jedyne jej nie więziono podczas drogi i nie wtrącono do szybu. Właśnie, gdy mnie popchnięto do otworu sztolni szydziła ze mnie, że będę musiał wykopywać rtęć, podczas gdy ona będzie tutaj na wolności gospodynią właściciela kopalni. To mnie rozgniewało i wściekłość z tego powodu dodała mi sił do przebicia się, a później do szukania Judyty.

— W jaki sposób wydostał się pan z owego korytarza?

— Wybudowałem podmurze z kamieni.

— Znalazł pan Judytę?

— Miejsca jej pobytu nie mogłem odszukać, ponieważ wychodziłem tylko w nocy; raz jednak spotkałem ją. Zrazu przestraszyła się, lecz potem była dla mnie przychylna i słodka. Przyrzekła wskazać swoje mieszkanie, uprzedziła jednak, że musi naprzód zobaczyć, czy Melton śpi, gdyż on nie powinien mnie spostrzec.

— Pan wierzył?

— Wierzyłem. Ale gdy poszła, nasunęły mi się wątpliwości. Opuściłem więc miejsce, w którym miałem na nią czekać i ukryłem się w pobliżu. Judyta nie wróciła, ale za to przyszedł Melton z obydwoma Wellerami i kilku Yuma, aby mnie schwytać.

— Więc Judyta zdradziła pana. Jak może pan żywić jeszcze do niej jakieś uczucie? Jak długo ukrywał się pan?

— Dopiero przed dwoma dniami opuściłem kryjówkę. Wypędził mnie stamtąd głód. Oczywiście obrałem tę samą drogę, którą przyjechaliśmy do Almaden. Zamierzałem sprowadzić pomoc, gdyby udało mi się dotrzeć do zaludnionej okolicy. Ale dzięki Bogu spotkałem pana. Pańska pomoc będzie szybsza i skuteczniejsza.

— Czym się pan żywił?

— Roślinami, które można znaleźć tu i ówdzie pomimo pustynnego charakteru okolicy. W kryjówce znalazłem trochę wody; zlizywałem ją ze ścian.

— Okropność! Nie mógł pan upolować jakiejś dziczyzny?

— Nie miałem amunicji. Gdy zjadłem wszystką trawę musiałem iść dalej.

— Nikt pana nie zatrzymał?

— Nie.

— Więc Indianie nie otoczyli Almaden pierścieniem straży?

— Nie. Jednak widziałem i słyszałem, że szukali mnie po całej okolicy bez wytchnienia. Cały dzień wędrowałem przez pustynny obszar zanim natrafiłem na trawę i drzewa. Wtem spotkałem jakiegoś Indianina, który jechał zapewne do Almaden; ale nie odważył się do mnie zbliżyć; miał tylko łuk i strzały, a na moim ramieniu widział strzelbę. Prawdopodobnie doniósł o mnie w Almaden, a wtedy obaj Wellerowie ruszyli w pogoń. Co się dalej stało, to pan już wie.

— A jeśli jeszcze czegoś będę potrzebował, to pan mi powie, a może czuje się pan za słaby? Herkules mówił z przerwami i powoli, a mimo to zapewnił.

— Mówiąc cicho wytrzymam jeszcze dłużej. Mam czaszkę bawołu i wkrótce będę zdrow.

— Tak; Wellerowie nie znając pańskiej twardej czaszki sądzili, że już przeniósł się pan w lepsze światy. Teraz proszę przypomnieć sobie dokładnie Almaden i opisać swoją kryjówkę?

— Przejeżdżaliśmy przez kraj pustynny, pofałdowany, który rozciąga się na dzień drogi. Poza nim grunt opada dość szybko i tworzy szerokie, prawie okrągłe zagłębienie, jak się zdaje dno dawnego jeziora. Na tym jeziorze leżała wyspa, która dzisiaj zwie się Almaden i wygląda jak olbrzymi sześcian skalny. Z dwóch stron można wydostać się na górę; tam pośrodku tarasu płaskiego stoi domek, a właściwie cztery ściany i dach z kamienia. W tym domu jest ujście sztolni.

— Którędy można dostać się na górę?

— Z północy i południa. Zbocze wschodnie wznosi się zupełnie pionowo, a po stronie zachodniej można wdrapać się tylko na niewielką odległość — i tam właśnie leży moja kryjówka.

— Gdzie jej szukać?

— Prawie dokładnie w połowie zachodniego zbocza leży duży blok skalny, który odłamał się kiedyś na pewnej wysokości i spadł tuż obok grzbietu góry; z lewej strony przytyka do niej, a z prawej tworzy szeroką szparę wypełnioną całkowicie żwirem. Na północ od tego bloku skała podmyta jest w taki sposób jakby kiedyś spływał tu z góry strumień. Dawne łóżysko wije się na prawo i lewo i właśnie to były owe dwa zakręty, które przesadziłem, zanim ziemia zapadła się podę mną. Nie można się pomylić.

— Więc muszę wspinać się łóżyskiem potoku, poczynawszy od lewej strony owego odłamu skalnego?

— Tak jest, aż do trzeciego zakrętu. Otwór przykryłem kamieniami, jak mogłem najlepiej; ale oko Old Shatterhanda odnajdzie go natychmiast.

— A korytarz, w który pan wpadł, czy korytarz ten murowany?

— Tak jest, przynajmniej tam, gdzie się zapadłem. Dalej nie mogłem dokładnie rozeznaczyć, ponieważ nie miałem światła.

— Więc wiem już dosyć i chciałbym tylko zapytać, co się dzieje z ojcem Judyty?

— W sztolni jest, tam gdzie wszyscy inni.

— A Judyta nie wstawia się za nim?

— Nie.

— Więc niech mi pan nie weźmie za złe tego co powiem; ona jest wprawdzie piękna, ale jest potworem. Gdyby mi wpadła w ręce, nie obszedłbym się z nią zbyt delikatnie.

Na to Herkules, który miał nie tylko głowę, ale i serce zranione, zapytał szybko, z obawą:

— Chyba nie chcecie jej zrobić nic złego?

— Przyznaję, że gdyby nosiła spodnie, kazałbym dać jej tęgie kije. Herkules, usłyszawszy to, począł biadać. Uspokoilem go jednak zapewnieniem, że zaniecham jej, i opuściłem rannego, gdyż słabość jego charakteru wprawiła mnie w rzetelny gniew. Podszedłem jeszcze do Playera, żeby się dowiedzieć, czy wnioski moje co do jaskini były słuszne. Ów zauważył moją rozmowę z Herkulesem, więc zagadnął:

— Prawdopodobnie ten człowiek opowiadał wam teraz o Almaden. Dziwię się, jakim cudem uciekł stamtąd.

Nie kwapiąc się do wyjaśnień, zbyłem go zapytaniem:

— Uważacie zatem, że tak trudno stamtąd uciec?

— Nie tylko trudno, ale niepodobna, skoro się człowiek znajduje w sztolni.

— Czy kopalnia ma tylko jedno wyjście?

— Nie inaczej. Jest to budowla stara, założona jeszcze przez hiszpańskich zdobywców. Jeśli było kiedy jakieś drugie wejście, zostało prawdopodobnie już dawno zasypane.

Poprosiłem teraz, żeby mi opisał Almaden. Opis jego zgadzał się zupełnie ze słowami Herkulesa. Skończywszy Player dodał:

— Ale na co wam opis! Jak słyszałem macie iść na zwiady. Weźmiecie więc mnie ze sobą jako przewodnika, a ja wam pokażę wszystko lepiej, niż mogę opisać.

— Nie wezmę was ze sobą, master; obejdę się bez przewodnika.

— Nie? A przecież wyprawa nad wyraz niebezpieczna. Nie byliście tam jeszcze nigdy. Jak łatwo możecie dostać się w ręce nieprzyjaciół!

— Nie troszczcie się o mnie, master! Przebyłem szczęśliwie niebezpieczniejsze drogi. Gdybyście zostali razem ze mną złapani, moglibyście doświadczyć na własnej skórze, jak trudno uciec z Almaden. Wiem już, co chciałem wiedzieć, jeśli to wam nie sprawia trudu, opiszcie mi położenie jaskini.

— Ach, prawda, jaskinia! Przychodzicie do Almaden z zachodu i macie przed sobą stromą ścianę skalną. U jej stóp i prawie pośrodku, leży duży, odłamany blok skalny, po prawej stronie była między nim a zboczem wolna przestrzeń, obecnie zasypana żwirem. Jeśli odgarniecie górną warstwę, przytykającą do zbocza, dostaniecie się do wnętrza jaskini.

— Czy ona jest zupełnie pusta?

— Zupełnie. Czy poprzestaniecie na tym?

— W zupełności.

— Sądziłem, że ciekawi was mieszkanie Meltona?

— Oczywiście, ale obiecuję sobie, że je odnajdę.

— Nie wierzcie temu! Tak jest ukryte, że nie dostrzeże go nawet oko sokole. Przylega do ściany jak gniazdo jaskółcze, ale nie na zewnątrz, tylko do środka, więc z dołu nie można się dostać do niego.

— Wiem już! — podchwyciłem. — Leży przy wschodnim zboczu.

— Jak to? Skąd wiecie? — zapytał Player zdziwiony. — Kto wam to zdradził?

— Wy sami. Powiedzieliście, że leży przy zboczu i że od dołu nie można się do niego dostać. Wobec tego znajduje się na tej ścianie, po której nie można się wspiąć. Północna i południowa są łatwe do przebycia; po stronie zachodniej leży wasza jaskinia; gdyby nad nią mieszkał Melton, nie zachowałibyście jej w tajemnicy, ponieważ widziałby jak wchodzić i wychodzić. Pozostaje więc tylko wschodnia strona i tam musi Mękom mieszkać.

— Tak jest rzeczywiście. Sennor, wierzę teraz, że skoro wam pokazać tylko „a”, z jednej litery wyprowadzicie cały alfabet!

— Przesada master. Ciężka konieczność zmusza mnie nieraz do bystrego myślenia i oto dociekanie, na pozór tak trudne, stało się dla mnie chlebem powszednim. Konieczność i mus, to najlepsi nauczyciele.

— Chciałbym widzieć, czy tak jest rzeczywiście. Może potraficie wyrozumować, jaka droga prowadzi do mieszkania Meltona, chociaż wam nie podam żadnych wskazówek?

— Dobrze! Potrzeba mi tylko tam pójść i przyrzeć się tarasowi góry.

— Taras nie powie wam nic.

— A może jednak! Na przykład poszukałbym, czy nie ma tam jakiegoś ukrytego zagłębienia. Następnie widziałbym z czego składa się płyta, czy ze skały czy też z czegoś innego.

— Składa się z gruzu, tylko z gruzu, który wydobywano ze sztolni i rozsypywano! Tak skromna okoliczność nie zdradzi przecież mieszkania Meltona?

— A jednak drogę znam.

— Więc musiał ją wam ktoś odkryć!

— Mówiłem o tym jedynie z wami i wiem tyle coście mi sami powiedzieli.

— Zaciekawiacie mnie coraz bardziej. Czy zechcecie mi powiedzieć, coście obliczyli, czy też odgadli?

— Dlaczego nie? Przecież to dla was nie jest tajemnicą, że trzeba zejść do szybu, aby się dostać do mieszkania, o którym mówimy.

— Naprawdę, on wie, on wie! — krzyknął Player tak głośno, że wszyscy zwrócili na nas uwagę. — Czy to możliwe? Wszak macie tylko te wiadomości, których ja wam udzieliłem?

— Uważajcie, master. Powiedzieliście przecież, że od dołu nie sposób się dostać; więc trzeba szukać u góry. Ponieważ mieszkania nie widać, więc nie leży ono u szczytu, w pobliżu krawędzi skalnej, ale głębiej nieco, czyli pod tarasem; wobec tego i droga prowadzi na tej samej głębokości. Jeśli jednak biegnie pod tarasem, wewnątrz skały, to przez jakiś otwór można się do niej dostać? A, że przecież oprócz sztolni innego wejścia nie ma, więc to chyba jasne jak słońce, iż tylko sztolnia prowadzi do niej. Czy wiecie, gdzie się znajdują wojownicy Yuma?

— Nie. Przypuszczam tylko, gdzie są ich konie i mogę was tam zaprowadzić.

— Na to mamy czas później. Stary Weller doniósł o naszym przybyciu, więc przypuszczam, że Yuma ustawią się raczej po stronie zachodniej od Almaden i wyślą naprzeciw nas wywiadowców. Czy przy domku nad szybem i przy wejściu do szybu stoi straż?

— Tak. Czuwają tam stale dwaj Indianie, aby zapobiec ewentualnej ucieczce robotników, aczkolwiek do obawy o to nie ma żadnych podstaw.

Mógłbym wypytać jeszcze hacjendera, który musiał przecież znać okolicę, jako dawny właściciel Almaden. Unikałem jednak rozmowy z tym pyszałkiem, przewidując zresztą, że udzieli mi fałszywych wiadomości.

Z Winnetou nie miałem prawie nic do omówienia. Gdy jeden z nas przedsięwziął coś, drugi wiedział, że owo przedsięwzięcie zostanie wykonane pieczołowicie. Zbytecznej rady żaden nie żądał, ani nie dawał. Apacz zapytał mnie tylko kiedy wyruszę.

— Jeszcze przed świtem — odpowiedziałem. — Muszę zatoczyć łuk. Yuma spodziewają się nas z zachodu, dlatego przybędziemy do Almaden z południa. Mam nadzieję, że mimo okrążenia staniemy tam na wieczór.

— Mój brat Shatterhand mfewi: staniemy. Czy nie uda się w drogę sam

— Nie. Muszę mieć towarzysza, który by czuwał przy mojej broni i koniach, gdybym musiał skradać się pieszo.

— Przy koniach? Mój brat chce jechać, chociaż w Almaden nie ma trawy?

— Na wozach jest dość ryżu i kukurydzy.

— A kto będzie towarzyszył Shatterhandowi?

— Młody brat Yuma Shetara. Przedsięwzięcie nie należy do łatwych, ale jestem przekonany, że Mimbrenjo będzie dokładał wszelkich starań, aby okazać się godnym mego zaufania.

— Winnetou poznał dobre serce swego białego brata. Młody Mimbrenjo ma dostąpić imienia, jak Yuma Shetar, który tylko przez ciebie został w tak krótkim czasie wojownikiem.

Tak było rzeczywiście. Wprawdzie ponosiłem ryzyko, biorąc niedoświadczonego chłopca na tę niebezpieczną wyprawę, ale miałem do niego przynajmniej tyle zaufania, ile do każdego starszego wojownika Mimbrenjów.

Prowianty na drogę przygotowaliśmy sobie jeszcze wieczorem. Ledwie gwiazdy zaczęły błędnąć, poszliśmy po konie. Jakże się zdziwiłem, kiedy podszedł do nas Apacz i rzekł:

— Może się zdarzyć, że moi bracia będą zmuszeni rozwinąć największą szybkość; wtedy koń młodego Mimbrenja nie dotrzymałby kroku ogierowi Old Shatterhanda; niech więc mój młody brat weźmie na tę wyprawę mojego konia; jestem pewien, że przyprowadzi mi go z powrotem.

Fakt, że Winnetou zawierzył cennego wierzchowca bezimiennemu chłopcu, był dla mnie zaskoczeniem, ale zarazem świadczył, jak daleko sięgała przychylność Apacza dla młodzieńczego Indianina. Chłopak nie śmiał odtrącać tak wspaniałej propozycji; więc pomknęliśmy w orzeźwiającym powietrzu ranka, obydwaj na równie bystrych rumakach i obydwaj pewni pomyślnego wyniku sprawy.